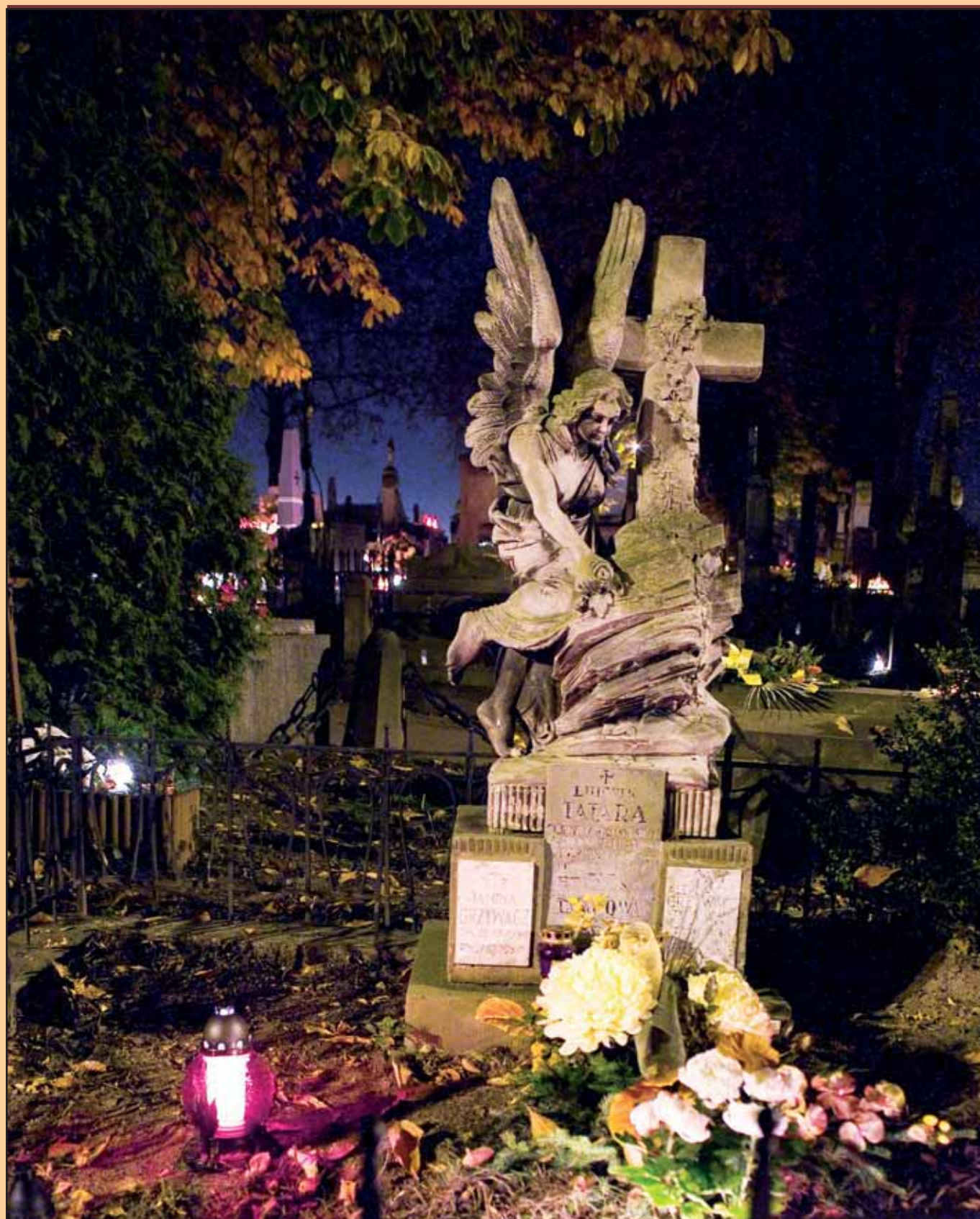


# WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY  
STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW  
I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

ISSN 1426-195  
ROK XVI nr 3 (82)  
jesień 2009  
Cena: 4 zł



# Muzeum Motyli „Arthropoda”

## Nowe muzeum w Bochni



12 września bieżącego roku zostało otwarte w Bochni Muzeum Motyli „Arthropoda”. Nazwa pochodzi od greckiego określenia stawonogów do których należą motyle – najliczniejsze zwierzęta na świecie. Jest to jedyna w Polsce taka placówka prezentująca systematyczny przegląd motyli świata.

Muzeum Motyli Arthropoda ma na celu przybliżyć ich pasjonujący świat, który oglądamy tylko w mediach. Właśnie tu podczas wizyty posłuchać można o krótkim życiu motyla, o tym jak rodzi się piękno, jak motyl chroni się przed drapieżnikami, o życiu motyla, wcale nie tak kolorowym jak jego skrzydła. To miejsce gdzie przekonasz się, że ćma nie zawsze jest szara, a motyl może być liściem, zebra czy tygrysem.

Na parterze wybudowanego na ten cel pawilonu przy ulicy Czackiego 9 (wejście od strony plant), na ścianie wschodniej południowej i zachodniej zamontowane są specjalne łukowate stelaże, w których umieszczono gabloty z okazami. Na ścianie północnej i częściowo południowej w pionowych gablotach przedstawione są w górnej części tematy ogólne, o których była mowa wyżej, a w dolnym rzędzie motyle z Holarctyki czyli nearktyki (Ameryka Północna) i Palarktyki czyli Euroazji.

Na ścianie wschodniej pokazane są motyle afrykańskie, pochodzące głównie z hodowli prowadzonej przed paroma laty przez siostry zakonne ze Zgromadzenia Foyer de Charite z Bangui z Republiki Centralnej Afryki w celu utrzymania działalności misyjnej w tej części kontynentu.

Na ścianie południowej przedstawione są motyle z krainy orientalnej czyli azjatyckiej strefy zwrotnikowej:

Indie, Półwysep Malajski, Filipiny i Indonezja z Celebesem. Jak w każdej krainie zoogeograficznej prezentację rozpoczyna rodzina *Papilionidae* – Pазie, następnie *Pieridae* – bielinki, *Nymphalidae* – rusalki, później inne rodziny charakterystyczne dla danej krainy (np. *Amathusidae* dla Orientu) następnie *Satyridae* i *Lycaenidae* – motyle małe.



*Sagra buqueti*

Na ścianie północnej są w górnej części motyle nocne Azji, a na dole największe motyle świata *Athacus Atlas*. Na pietrze prezentowane są motyle z rejonu Australii na stelarzach od strony północnej i motyle Ameryki Południowej i Środkowej.



*Morpho*

Muzeum powstało jako firma rodzinna Krystyny i Jacka Kobielów, a prowadzi je ich syn Filip Kobiela. Kolekcję motyli zbierał przez ponad trzydzieści lat Jacek Kobiela, z zawodu artysta plastyk konserwator dzieł sztuki. Zbiór powstał w większości przez zakupy starych zbiorów oraz okazów od firm z całego świata, które trudnią się hodowlą motyli. Największy wpływ na charakter zbioru miał przyjaciel Jacka Ko-



bieli, zmarły w 2008 r. pan Edward Palik entomolog-entuzjasta, kustosz zbioru motyli Polskiej Akademii Nauk, którego życiorys zamieszczamy poniżej.

Zbiór obejmuje motyle dzienne świata w układzie systematycznym, którego ojcem był Linneusz. Prezentowana jest większość przedstawicieli rodzin motyli i rzędów, a nawet rodziny monotypowe czyli reprezentowane tylko w jednym gatunku. Jest ich około 5000 sztuk. Muzeum ma charakter edukacyjny i stanowi pomoc naukową dla szkół.

Jacek Kobiela jest wnukiem prof. Stanisława Fischera otwarcie tego muzeum nieprzypadkowo połączone zostało z uroczystościami 50-lecia Muzeum im.

S. Fischera, w hołdzie Profesorowi jako dowód kontynuacji pasji zbierackiej i idei myśli kolekcjonerskiej.

**W jakich okolicznościach zrodziła się to zainteresowanie motylami z całego świata. Jest pan przecież z wykształcenia konserwatorem dzieł sztuki, a nie przyrodnikiem?** - pytamy pana Jacka Kobiela.

To, że jestem artystą plastykiem nie znaczy, że nie jestem humanistą interesującym się człowiekiem i wszystkim, co go otacza tu na ziemi. Umiłowanie piękna zaczyna się od umiłowania przyrody wśród której żyjemy, nie wyłączając zjawisk na niebie takich jak tęcza, halo czy iryzacja chmur. Tu zrodziliśmy się i wszystko co zostało wraz z nami stworzone powinno nas fascynować, a nie zawsze zdajemy sobie sprawę z otaczającego nas piękna.

#### **Czy była to pierwsza pana pasja zbieracka ?**

W miarę postępu wykształcenia podstawowego w zakresie geografii i przyrody zainteresowałem się filatelistyką. Znaczki pocztowe, a później motyle zbierał mój wujek Włodzimierz Urbanek już jako mały chłopiec ( zamordowany został później w obozie koncentracyjnym na Majdanku). Jego kolekcję znaczków posiadam do dzisiaj. W latach 60-tych i 70-tych ubiegłego wieku, w systemie totalitarnym mogliśmy jedynie marzyć o podróżach zagranicznych. Znaczki pocztowe z całego świata pochodzące z tej kolekcji rozwijały moją wyobraźnię i były namiastką mojej obecności w najbardziej niedostępnych rejonach świata, nawet w krajach, których nazwy już nie istnieją, bo wyzwoliły się z kolonializmu lub z innych przyczyn zniknęły z mapy świata jak np. słynne Pernambuco w Brazylii (obecnie stan w Brazylii), które dzisiaj znane jest raczej tylko z legendy (mam nawet motyla w tego państewka). Bogata wyobraźnia pozwoliła mi podróżować po całym świecie, bez żadnych kosztów.

#### **Zachętą do tworzenia zbioru była pewnie kolekcja pana dziadka prof. S. Fischera ?**

Dziadek mój Stanisław Fischer mówił mi wielokrotnie : *tyle jesteś wart, ile sam dokonasz, nie zasługi przodków, nie nazwisko, nie pochodzenie czyni o tym kim jesteś, pokaż co potrafisz, nie chwal się !* Chciałem choć w ułamku przypodobać się mojemu Dziadkowi, który myślę, że mnie teraz widzi i stworzyć wraz z moją Rodziną coś na obraz i podobieństwo jego kolekcji i Muzeum jego Imienia, by godnie uczcić 50-tą rocznicę jego otwarcia. To była moja idée fixe, znalazłem pełne zrozumienie u mojej żony Krystyny jeszcze w czasie, gdy w zamiarze było



rozszerzenie istniejącego Muzeum o ekspozycję na adaptowanym do tego celu strychu. Z różnych przyczyn do tego nie doszło, a data jubileuszu zbliżała się. Z końcem 2004 roku z pomysłu mojej żony Krystyny zdecydowaliśmy się wybudować specjalnie na ten cel budynek w naszym ogrodzie. Wzięliśmy kredyt bankowy i tak powstał budynek. Pół roku trwało układanie ekspozycji. Opracowanie graficzne wykonał mój syn Filip, który prowadzi tę placówkę edukacyjną. Odbывают się tutaj także – w tej wyjątkowej atmosferze - lekcje geograficzno-przyrodnicze dla szkół i zorganizowanych grup. To alternatywa na nadchodzące dni jesienno zimowe. Można nacieszyć oczy cudownymi barwami podróżując po kontynentach świata.

#### **Muzeum Motyli w Bochni z tak starannie dobraną kolekcją pełnić będzie ważną rolę edukacyjną.**

Cieszę się, że Muzeum Motyli „Arthropoda” ma bardzo dobre oceny w prasie i w Internecie, służy młodzieży szkolnej i jest użyteczne dla wszystkich zainteresowanych. W przyszłości planujemy rozszerzyć ekspozycję o minerały i skały okolic Bochni w zestawieniu ich odpowiedników z różnych stron świata.

**Dziękujemy za rozmowę.**

**REDAKCJA**

## **EDWARD PALIK 1919 – 2008 wybitny przyrodnik-entomolog i odkrywca**

Urodził się w Krakowie. Od dzieciństwa zakochany w świecie motyli, rozwijał swoje zainteresowania motylami dziennymi i nocnymi Polski. Dzięki kontaktom ze znanymi motylarzami J. Kawalcem z Krakowa, pułkownikiem Witoldem Niesiołowskim, profesorem Romanem Wojtusiakiem i życzliwości prof. Jana Stacha dyrektora Muzeum Przyrodniczego Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie i całego zespołu naukowego tego Muzeum zdobył z biegiem lat gruntowną wiedzę entomologiczną.

Już w czasie nauki w Podchorążówce we Lwowie nawiązał kontakt z Polskim Towarzystwem Entomologicznym i osiągnął pierwszy sukces zdobywając Złotą Odznakę tego Towarzystwa. Zmobilizowany w 1939 r. do 26 pułku piechoty 5 Dywizji Piechoty gen. Juliusza Zulaufa walczył w obronie Warszawy. 30 września 1939 roku dostał się do niewoli i jako jeńiec wojenny przebywał w Oflagu VIIA w Murnau i innych niemieckich obozach jenieckich na terenie III Rzeszy. 10 lipca 1942 roku uciekł z obozu. Ucieczka powiodła się dzięki jego entomologicznym doświadczeniom. Orientował się bowiem

w terenie po zmroku bez światła, wiedział gdzie stanąć, żeby nie było go widać i jak iść, żeby nie było go słychać.

Przez dwa lata walczył w partyzantce francuskiej Maquis w masywie Vercore koło Grenoble. W kwietniu 1944 roku przez Pireneje przedostał się do Hiszpanii, następnie Portugalii i Algieru, gdzie pracował w alianckich jednostkach wojskowych jako tłumacz. Potem wyjechał do Wielkiej Brytanii i wstąpił do Polskich Sił Powietrznych w Anglii (1944-1947).

W 1947 roku wrócił do Polski i podjął pracę w Krakowskiej Fabryce Mebli. Wolne chwile w czasie służbowych wyjazdów i wakacje przeznaczał na łowienie motyli dziennych i nocnych w rejonie Poznania, w Puszczy Białowieskiej, na Pustyni Błędowskiej, w Pieninach, Tatrach i Podhalu. Ścisłe współpracował z Pienińskim Parkiem Narodowym, a złowione okazy przekazywał do Instytutu Zoologii i Ewolucji Zwierząt PAN w Krakowie.

Po przejściu na emeryturę został kustoszem zbiorów motyli PAU w Krakowie. Współpracował z instytutami entomologicznymi w Japonii. Na zlecenie Instytutu Przyrodniczego w Morioka w Japonii wyhodował bardzo rzadką odmianę motyla *Parnasius everssmannia* żyjącego tylko w określonych rejonach Japonii.

W swoich prywatnych zbiorach miał niezwyklego motyla-obojnaka *Lysandra coridon*, złowionego w 1935 t. w Mydlnikach, który jedną stroną skrzydeł miał niebieską (samiec), a drugą brązową (samica), jedno skrzydło większe, a drugie mniejsze. Takiego motyla nikt wcześniej na świecie nie widział i uchodzi on dzisiaj za jeden z najcenniejszych i najdziwniejszych na świecie okazów.

W 1997 r. w czasie penetracji trudno dostępnych rejonów Puszczy Białowieskiej udowodnił, że pięć endemicznych gatunków motyli uznanych za wymarłe na świecie, a mianowicie *Przeplatka Febe*, *Przeplatka aurelia*, *Mo-*

*draszek eroides*, *Modraszek Artakserkses* i *Dostojna tiania* nadal żyje w matecznikach tej Puszczy.

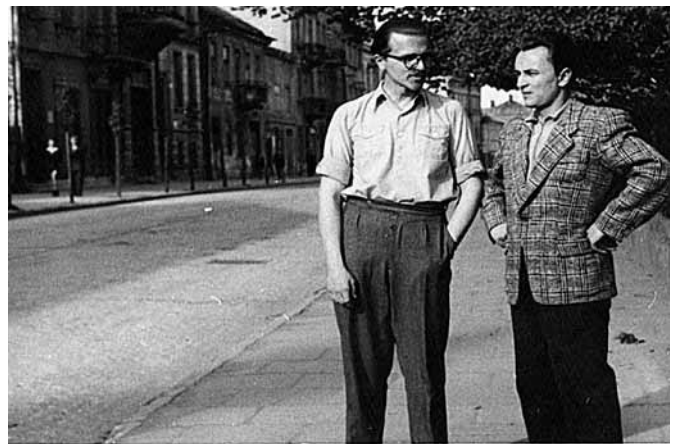
Edward Palik w Puszczy Białowieskiej złapał 550 gatunków motyli, w Tatrach – ponad 660. Uczestniczył w zagranicznych wyprawach naukowych do Korei (trzykrotnie), do lasów Wietnamu, gdzie odkrył gatunek jednego z najmniejszych motyli świata, a motyl ten otrzymał jego imię: *Tortricid palikli*, oraz kilka lat temu do Gwatemali. Przed śmiercią całą swoją prywatną kolekcję motyli przekazał do Instytutu Zoologii i Ewolucji Zwierząt PAN w Krakowie. ■

**Krzysztof Kwaśniewski (Poznań)**

## Moje bocheńskie wspominki cz. 2

Moim najbliższym przyjacielem i towarzyszem był Bolek Klimek, z którym co niedziela spacerowałem po „Linii A-B” bocheńskiego Rynku, ulicą Kazimierza Wielkiego.

Był on także nieodłącznym towarzyszem wypraw na zabawy oraz codziennych letnich wypraw pieszo albo rowerami 3 km wzdłuż torów kolejowych do Raby, do kąpieli (wstyd powiedzieć, ale dopiero on nauczył mnie pływać), z którym występowałem zawsze zdecydowanie i solidarnie, choć w życiu było tak, że nie zgodziliśmy się z sobą w prawie żadnej kwestii, o czym potrafiliśmy godzinami zaciekłe dyskutować. Do tradycji też przeszło, że po wiosennej sesji egzaminacyjnej spotykaliśmy się w Krakowie, aby korzystając z jego wiedzy architektonicznej i mojej historycznej zwiedzać ciekawe miejsca zabytkowe – a on należał przecież do grupy studentów, opracowującej pod kierunkiem przyszłego profesora Wiktora Zina inwentaryzację co ciekawszych budynków Krakowa. Lubiliśmy też recenzować sobie wzajemnie obejrzone filmy, a nawet wybierać się na nie razem, koniecznie chrupiąc sławne krakowskie obwarzanki – z solą, albo z makiem, do wyboru. Bolek był synem i bratankiem bocheńskich adwokatów. Jego matka była z domu Pankiewiczówna i była krewną znanego malarza Józefa Pankiewicza (Bolek też dobrze rysował), a córka restauratora; restauracja mieściła się na parterze szerokofrontowego budynku obok siedziby bocheńskich władz miejskich, na którego piętrze Klimkowie mieszkali jeszcze za mojej pamięci. Sam opowiadał mi z dumą, że restauracja jego dziadka była wy-

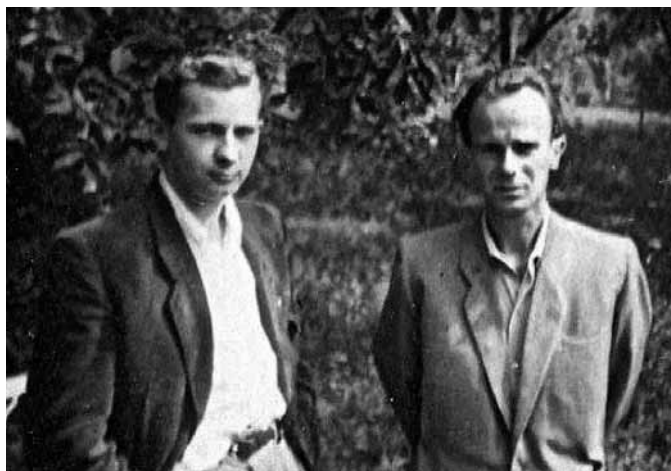


Na ul. Kazimierza Wielkiego, koło „Brandówki”, tym razem nie z Bolkim, ale z Jerzym Dobrzańskim-Suberlakiem, ówczesnym bocheńskim „playboym”, przybrany synem naczelnika Poczty<sup>1</sup>.

mieniona w przewodniku Bedekera, a na chodniku przed nią były słupki z żelaznymi kółkami do przywiązywania koni oficerskich – nie każda restauracja miała ongiś zaszczyt być dozwoloną dla austriackich oficerów. Już wtedy robiliśmy piesze i rowerowe wycieczki nie tylko do Wiśnicza, ale i do Starego Sącza, Niepołomic, a ja potrafiłem nawet samotnie w jednym dniu przejść się pieszo do Żegociny i z powrotem – po drodze zawsze podziwiając stary drewniany kościółek w Królówce; niestety pamiętam też, jak przykre wrażenie robiły piękne, nawet marmurowe macewy żydowskie, którymi *Baudienst* na niemiecki rozkaz wybrukował dłuższe odcinki tej trasy. Jakiś czas chodziłem czasem do Żegociny, bo tam próbowałem nabrać zdrowia Ojciec, który zachorował na gruźlicę (zmarł w 1956 r. w wieku lat 50 – Rodzice nie mogą być przez nikogo wliczeni w grono kombatantów, ani bezpośrednich ofiar wojny, ale gdyby nie ona z pewnością żyliby dłużej). A w Żegocinie po raz pierwszy zetknąłem się z małopolską wsią bezpośrednio. Rodzice na tym letnisku zamieszkali w jednym z nie najmniejszych gospodarstw wsi – aż 7 ha... Ale ze zdumieniem patrzyliśmy, że pożywienie tej rodziny (gospodarstwo prowadziła starsza córka, bo matka zmarła) to była trzy razy dziennie ta sama „bryjka”, czasem z kawałkiem chleba: była to grubo zmielona na własnych żarnach mąka z otrębami, zasypa- na na chudym mleku – masło i jaja były wyłącznie na sprzedaż, a warzyw chyba w ogóle nie uprawiano. A orano wyłącznie krowami, które też dawały nie więcej, jak po 1,5 l mleka dziennie.



Stary kościół drewniany w Królówce pow. bocheński, stan 1955 r., fot. K. Kwaśniewski.



Andrzej Bisztyga i Bolesław Klimek, fot. K. Kwaśniewski, ok. 1952 r.

Innego rodzaju zainteresowania łączyły mnie z Tutą Bugayskim. Był on zawsze fanatycznym miłośnikiem wszelkiego rodzaju mechanicznych środków transportu, poczynając od rowerów, a kończąc na samochodach. Z początku zawsze jeździł wszędzie na rowerze, nawet w zimie w krótkich spodenkach i z gołymi kolanami (to on przehandlował mi tanio mój pierwszy, dość zdezelowany rower i nauczył – też dopiero wtedy – na nim jeździć, co wykorzystałem robiąc później przez 8 lat tysiące kilometrów w etnograficznych badaniach wsi w prawie wszystkich regionach Polski). Nade wszystko zaś w lecie godzinami towarzyszyłem mu i pomagałem w naprawianiu motocykli. Bo motocykle były wtedy namiętnością młodego pokolenia. Nie było oczywiście nowych, jeśli nie liczyć SHL 125, który kosztował (chyba nawet jeszcze nie „na talon”) aż 99000 złotych (3 przyzwoite pensje np. mojego Ojca). Dlatego cenny był każdy ukryty gdzieś w stodole, albo wręcz wykopany z przechowania w skrzyni motocykl, który jednak trzeba było poddawać ciągłym renowacjom i naprawom, których Tuta dokonywał nawet w dużej mierze bezinteresownie i to bardzo prymitywnymi narzędziami, głównie dlatego, aby móc sobie na nim pojeździć gdy jeszcze (dłuższy czas!) nie miał własnej maszyny. A dla mnie był to kurs mechaniki – i na motocyklowe prawo jazdy, które później w Bochni zdałem tak, że od tam mogłem już jeździć na badania na WFM 125, na który dostałem nawet raz w życiu „talon”.

Trzecim moim bocheńskim przyjacielem był Antoni („Tońcio”) Janusz, później kapitan żegluga wielkiej w istniejącej wtedy jeszcze polskiej flocie handlowej. On z kolei wnosił w życie Bochni powiew wielkiego świata i egzotyki. I on, i jego starszy brat Stanisław pochodzili ze Lwowa, ale zamieszkali razem z matką w Bochni, jej miejscu pochodzenia. Jakiś czas pracowali w Zawodowej Straży Pożarnej, a po maturze najpierw jeden, potem drugi imponował mundurem marynarskim Szkoły Morskiej w Gdyni, ale po kolei byli z niej w okresie stalinizmu usuwani za „niesłuszne pochodzenie” (ojciec przedwojenny oficer, chyba nawet zamordowany w Katyniu – o tym się wtedy po prostu nie mówiło, choć o wielu sprawach „politycznych” mówiło się bez żadnego skrępowania). Kolegą starszego Janusza, Staszka, w Szkole Morskiej był Andrzej Huza, który swe wspomnienia (także nieco z Bochni) przedstawił w swojej książce. Obaj jednak zaczęli dalej pływać i awansować jako rybacy dalekomorscy, a Tońcio zdołał też (po 1956 r.) ukończyć Szkołę Morską i dojść do najwyższego stopnia kapitana ż.w. Jego matka p. Klementyna prowadziła naprzeciw szybu Sutoris mały sklepik, w którym (właśnie z „importu marynarskiego”) można było dostać tak wyszukane przy-

smaki, jak „zagraniczne” herbaty, kawy, korzenie, pieprz itp. Raz nawet Tońcio przywiózł z rejsu do Japonii trzy ręczne maszyny dziewiarskie, które były wtedy bardzo poszukiwane w związku z modą na „francuskie” swetry męskie, noszone zamiast marynarek i stanowiące rodzaj mundurów, który prawie każdy mieć musiał, tak jak i później granatowe płaszcze ortalionowe. Nieraz i pół roku, i dłużej Tońcio siedział sobie w domu i trochę się nawet nudził. Wtedy po raz pierwszy skosztowałem (z jego zapasów kupowanych w „Baltonie” za dolary, którymi im częściowo płacono za rejs) koniaku (węgierskiego! marki Budafok!) i płątałyśmy psie figle, np. strzelając takimi wybuchającymi z hałasem kuleczkami glinianymi z silnej procy tak, że wybuchwały na środku Rynku, budząc niemałe zainteresowanie, a nawet niepokój na tamtejszym posterunku MO, albo czciliśmy Sylwestra wypuszczając w nocy z ogrodu silną marynarską racę sygnałową, co już w owym czasie mogło uchodzić nawet za sygnały dla imperialistów...

Po śmierci Matki Marii Danuty (w 1950 r. w wieku 43 lat, na nowotwór, którym w czasie wojny „nie miała głowy się zajmować”...) skorzystałem z życzliwej propozycji ks. Antoniego Czaplńskiego (którego znaliśmy jeszcze z Krynicy, który mnie uczył i w „Handłowie” w czasie okupacji i egzaminował przy okupacyjnej „małej maturze”, i w powojennej już klasie maturalnej) aby oprócz stanowiska nauczyciela prawoznawstwa i ekonomii politycznej w Liceum Administracyjno-Gospodarczym objąć posadę wychowawcy w Bursie Gimnazjalnej. Nie wiem jak to wspominają moi wychowankowie, bo byłem dość „służbisty”, ale ja tę pracę wspominam dobrze, choć była absorbująca właściwie od budzenia wychowanków do szkoły do pilnowania godzin „pracy własnej” po południu, wieczornego mycia i ciszy nocnej. Przydawało się wtedy wszystko, co umiałem, od pomocy w wypracowaniach językowych i z innych przedmiotów (czasem nawet nie tylko humanistycznych) do umiejętności akompaniowania na akordeonie śpiewom bursaków w czasie tzw. „ognisk” (była to zwykle lampka nakryta czerwoną bibułą w największej salce Bursy, tzw. „uczelnia”), których stałym punktem programu było śpiewanie *Płonie ognisko i szumią knieje, ksiądz profesor jest wśród nas...* Wydaje mi się, że zyskałem też cenną przyjaźń ks. Czaplńskiego, z którym zawsze utrzymywałem kontakt, a ostatni telefon od niego otrzymałem – na parę dni przed jego przedwczesną śmiercią. Trzy razy dziennie spotykaliśmy się wtedy przy posiłkach, a toczono w tym czasie rozmowy dobrze pamiętam. Do dziś mam też w swojej bibliotece dwa otrzymane od niego prezenty: Daniela Ropsa *Od Abrahama do Chrystusa* (zasłużone wydawnictwo PAX potrafiło wydać tę książkę w 1952 r.) z jego serdeczną dedykacją oraz dwa tomy *Dziejów kultury polskiej* Aleksandra Brücknera. Bardzo interesował się też sportem, zwłaszcza świetną bursacką drużyną siatkówki, która (z braćmi Kurnikami na czele) stała się kością drużyny Bocheńskiego Klubu Sportowego, co i mnie się udzieliło – choć nie czynnie, tylko jako „działaczowi”, który razem z Bolkiem Klimkiem dbał o pozyskiwanie nowego narybku dla drużyn... Ks. Czaplński grał też w kilku meczach na I szachownicy w drużynie BKS. Nawet ja wystąpiłem raz zastępczo w barwach tej drużyny, ale w zawodach strzeleckich, i to aż na mistrzostwach okręgu na Śląsku.

c.d.n

<sup>1</sup> Swoje wrażenia, także z Bochni przedstawił w książce *Matura*, Kraków 1979, Wydawnictwo Literackie.

Wojciech Krajewski  
[Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie]

## Powietrzna walka nad Kłajem

Zupełnie zapomnianym epizodem Wojny Obronnej 1939 r., jaki wydarzył się w okolicach Bochni, jest walka powietrzna polskich myśliwców PZL P.11c stoczona rano 3 września 1939 r. z niemiecką wyprawą bombową<sup>1</sup>. Uczestnikiem tego starcia, a zarazem jego głównym bohaterem był jeden z najbardziej znanych polskich pilotów myśliwskich II wojny światowej, ppor. Wacław Król<sup>2</sup>.

We wrześniu 1939 r. nieba nad Małopolską miały bronić samoloty lotnictwa myśliwskiego Armii „Kraków”. Był to Dywizjon Myśliwski III/2, w skład którego wchodziła 121. Eskadra Myśliwska (10 samolotów PZL P.11c i 13 pilotów) oraz 122. Eskadra Myśliwska (10 samolotów PZL P.11c i 14 pilotów)<sup>3</sup>. Jak widać, siły te były bardzo skromne. 20 polskich



Samolot myśliwski PZL P.11c ppor. pil. Wacława Króla ze 121. Eskadry Myśliwskiej Dywizjonu Myśliwskiego III/2 z Krakowa-Rakowic, 1939 r. Nosi on numer seryjny 8.63, numer boczny „biała 2”, podskrzydłowy numer wywoławczy 39-K.

<sup>1</sup> Przebieg powietrznej „walki nad Kłajem” odtworzono na podstawie następujących opracowań: M. Emmerling, *Luftwaffe nad Polską 1939. Cz. II Kampfflieger*, Gdynia 2005; W. Król, *W dywizjonie poznańskim*, Warszawa 1970 r.; W. Król, *Krakowskie skrzydła*, Warszawa 1974 r.; J. Pawlak, *Polskie eskadry w Wojnie Obronnej, Wrzesień 1939*, Warszawa 1991; J.B. Cynk, *Polskie lotnictwo myśliwskie w boju wrześniowym*, Gdańsk 2000; B. Belcarz, T.J. Kopański, *PZL P.11c*, Sandomierz 2003; R. Szubański, *W obronie polskiego nieba*, Warszawa 1978.

<sup>2</sup> Wacław Król (ur. 25.12.1915 – zm. 15.06.1991). Ukończył Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie (1935-1937). Od 1937 r. odbywał służbę w 2. Pułku Lotniczym w Toruniu. We wrześniu 1939 r. walczył w składzie Dywizjonu Myśliwskiego III/2. Po klęsce wrześniowej ewakuował się przez Rumunię do Francji. W maju 1940 r. walczył nad Francją w kluczu II/7 Gruppe de Chasse. Po upadku Francji przedostał się przez Afrykę do Wielkiej Brytanii. W sierpniu 1940 r. został wcielony do 302. Dywizjonu Myśliwskiego „Poznańskiego” w którym wziął udział w Bitwie o Wielką Brytanię. Następnie latał w 316. Dywizjonie Myśliwskim „Warszawskim”. W początkach 1943 r. zgłosił się do Polskiego Zespołu Walczącego (Polish Fighting Team) zwanego potocznie Cykiem Skalskiego, w którym wziął udział w walkach nad Tunezją w Afryce. Po powrocie do Wielkiej Brytanii w lipcu 1943 r. latał w 303. i 302. Dywizjonie Myśliwskim. W 1944 r. służył w dowództwie 11. Grupy Myśliwskiej i dowodził 61. Jednostką Szkolenia Operacyjnego (61. OTU). Wiosną 1945 r. został dowódcą 3. Skrzydła Myśliwskiego. Latem 1945 r. pełnił funkcje dowódcze w 131. Skrzydle Myśliwskim. Służbę w polskim lotnictwie zakończył w polskim stopniu majora i angielskim Wing Commandera.

W Wielkiej Brytanii wykonał 137 lotów bojowych i 86 operacyjnych. W czasie wojny wykonał ogółem 432 loty bojowe. Stoczył 51 walk powietrznych. Był 4 razy zestrzelony. Uplasował się na 15 pozycji na liście polskich pilotów myśliwskich. Zestrzelił w czasie wojny łącznie 8 i 1/2 samolotu na pewno, 1 prawdopodobnie i 1 uszkodził. Latał bojowo na samolotach PZL P.11c, francuskich Morane Saulnier MS-406, Dewoitine D-520, brytyjskich Hurricane i Spitfire oraz amerykańskich P-51 Mustang.

Był odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari (nr 9543), czterokrotnie Krzyżem Walecznych, a także francuskim Croix de Guerre i angielskim Distinguished Flying Cross.

Po demobilizacji, w październiku 1947 r. powrócił do Polski. Był represjonowany jako lotnik z Zachodu. Zmuszony był wykonywać różne podrzędne zawody. Zmianę sytuacji przyniosły dopiero przemiany polityczne w kraju w 1956 r. W styczniu 1957 r. został powołany do czynnej służby w lotnictwie. Odbył wtedy szkolenie na samolotach odrzutowych. Następnie pracował w Dowództwie Wojsk Lotniczych, ale nie pełnił tam eksponowanych funkcji.

W lipcu 1958 r. został awansowany do stopnia podpułkownika, a w październiku 1965 r. na pułkownika.

W 1971 r. na własną prośbę przeszedł na emeryturę. Mieszkał w Warszawie. Zajmował się popularyzacją lotnictwa. Napisał kilkadziesiąt książek o tematyce lotniczej (w tym wiele wspomnieniowych). Był członkiem Związku Literatów Polskich. Za powojenne zasługi odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 15 czerwca 1991 r. w wieku 75 lat. Pochowany został na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie w kwaterze Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie.

<sup>3</sup> Dywizjon Myśliwski III/2 powstał tuż przed wybuchem wojny, wyodził się w prostej linii z przedwojennego 2. Pułku Lotniczego stacjonującego na lotnisku Ra-

myśliwców miało zwalczać setki, niemal bezkarnie operujących nad Małopolską, niemieckich bombowców.

1 września 1939 r. Dywizjon Myśliwski III/2, stacjonował na lotnisku polowym w Balicach na zachód od Krakowa<sup>4</sup>. Od kowice w Krakowie.

<sup>4</sup> Na lotnisku polowym w Balicach, dywizjon znalazł się świcie 31 sierpnia. Analogiczny rozkaz dowództwa wykonały wszystkie polskie jednostki lotnicze. Chodziło o to, by przenieść sprawne do walki samoloty bojowe na wytypowane przed wojną tajne lotniska polowe. Było to trafne posunięcie. Gdy 1 września na bazy lotnicze poszczególnych pułków lotniczych spadły niemieckie bomby – uderzenie trafiło w próżnię. Zniszczone zostały jedynie samoloty szkolne i te niezdolne do lotu. Samoloty bojowe uniknęły ataku. Znajdowały się na nieznanach Niemcom, starannie zawczasu wybranych, lotniskach polowych w terenie, skąd mogły prowadzić działania bojowe. Gdy lotnisko takie zostało przez Niemców wykryte, przenoszono się na następne. W publikacjach zachodnich, a nawet w muzeach historyczno-wojskowych w Europie Zachodniej, często można spotkać błędne informacje, że 1 września 1939 r. polskie lotnictwo



Samoloty Heinkel He 111 w locie nad Polską. Fot. „Der Adler”.

razu, pierwszego dnia wojny poniósł bardzo bolesną stratę – podczas startu został zestrzelony i poniósł śmierć jego dowódca kpt. pil. Mieczysław Medwecki. Wszedł on do historii jako pierwszy poległy pilot przyszej koalicji antyhitlerowskiej. Były i sukcesy – należało do nich na pewno zestrzelenie 2 samolotów bombowych Dornier Do 17 przez pchor. pil. Władysława Gnysia nad Żuradą pod Olkuszem. Są one uznawane za pierwsze samoloty niemieckie zestrzelone w II wojnie światowej.

3 września w niedzielę, Dywizjon Myśliwski III/2 stacjonował na kolejnym (po Balicach) lotnisku polowym w Igołomii (25 km na półn-wschód od Krakowa)<sup>5</sup>. Na ten dzień nie otrzymał jakichś specjalnych zadań do wykonania, ale w nocy 2/3 września dowództwo dywizjonu wysłało w teren samochód z radiostacją i „wypatrywaczy”, by wydłużyć zasięg łączności radiowej z patrolującymi samolotami i w razie konieczności kierować je na zauważone samoloty Luftwaffe.

Niemcy nie pozostawali bezczynni. O świcie 3 września do kolejnego nalotu na cele w Polsce przygotowywały się załogi niemieckich pułków bombowych. Samoloty z I/Kampfgeschwader 4 „General Wever” (I/KG 4)<sup>6</sup> stacjonujące na lotnisku polowym Langenau<sup>7</sup> na Śląsku miały zniszczyć wybrane cele (stacje i transporty wojskowe) wzdłuż linii kolejowej od Krakowa po Tarnów<sup>8</sup>. Wyznaczono do tego zadania trzy eskadry w sile 26 bombowców Heinkel He 111P. Każda z nich miała atakować swój cel samodzielnie. Celem 1 eskadry były instalacje kolejowe na odcinku od Bochni do Tarnowa<sup>9</sup>. 2 eskadra miała zniszczyć analogiczne obiekty między Tarnowem a Dębicą<sup>10</sup>. Samoloty 3 eskadry miały zbombardować dworzec kolejowy w Krakowie<sup>11</sup>. Niemieckie bombowce wystartowały z Langenau na Śląsku we wczesnych godzinach rannych. By osiągnąć cele na głębokim polskim zapleczu, na wschód od Krakowa, mijały to miasto od południa i kierowały się dalej wzdłuż doskonale widocznej z powietrza linii kolejowej Kraków–Tarnów.

zostało zniszczone na swoich lotniskach. Nie jest to zgodne z prawdą.

<sup>5</sup> Lotnisko w Balicach zostało wykryte przez Junkersy Ju 87 Stuka, które powracając z nalotu na Kraków zestrzeliły nad lotniskiem startującego kpt. pil. M. Medweckiego. Lotnisko w ten sposób zostało zdekonspirowane i pod wieczór zarządzono jego przeniesienie do Igołomii.

<sup>6</sup> Gruppe Kampfgeschwader 4 (I/KG 4), czyli I Grupa 4. Pułku Bombowego. W skład grupy wchodziły 3 Staffel (eskadry).

<sup>7</sup> Langenau to dzisiejsze Długopole k. Bystrzycy Kłodzkiej.

<sup>8</sup> Inne Gruppen z KG 4 atakowały cele w innych rejonach Polski południowej.

<sup>9</sup> 1 Staffel w sile 7 Heinkli He 111P.

<sup>10</sup> 2 Staffel w sile 8 Heinkli He 111P.

<sup>11</sup> 3 Staffel w sile 11 Heinkli He 111P.

## Alarm

Pierwsza eskadra licząca 7 Heinkli He 111P, zgodnie z rozkazem, miała zbombardować linię kolejową w rejonie Brzeska, leżącego pomiędzy Bochnią a Tarnowem. To właśnie ta eskadra będzie celem ataku polskich myśliwców w drodze powrotnej na przedpolu Bochni. Pilot jednego z niemieckich bombowców Gefr. Walter Dymek tak wspominał ten nalot:

*W dniu 3 września 1. Eskadra otrzymała zadanie, aby siłą dwóch kluczy dokonać zniszczenia linii kolejowej na południowy wschód od Krakowa oraz idących nią transportów wojskowych. Eskadra poleciała na wyznaczone miejsce uszykowana w dwa klucze. Tuż przed osiągnięciem celu oba klucze rozdzieliły się, aby osiągnąć lepszą skuteczność ataku. Wysokość nalotu wynosiła 2000 m. Przeprowadzony atak był skuteczny [...].*

Heinkle po wykonaniu zadania, zawróciły i kierując się na zachód zmierzały w stronę Śląska, gdzie było ich macierzyste lotnisko. By tam dotrzeć musiały minąć Kraków. Posterunki obserwacyjne pracujące dla Dywizjonu III/2 naturalnie zauważyły przelot niemieckiej wyprawy bombowej. Według oceny obserwatorów zespół 12 samolotów zbliżał się do Krakowa z kierunku wschodniego na wysokości około 3000 m.

Wiadomość przekazano drogą radiową na lotnisko Dywizjonu III/2 w Igołomii. Według polskich źródeł była godzina 7:15<sup>12</sup>. Natychmiast ogłoszono alarm. Na przechwyconie wroga wystartowało 9 samolotów P.11c ze 121. i 122. Eskadry Myśliwskiej<sup>13</sup> pod dowództwem ppor. pil. Waclawa Króla. Tak wspominał on te wydarzenia<sup>14</sup>:

*3 września była niedziela [...]. Od samego rana cała eskadra została powołana w stan pogotowia alarmowego. Znow siedzę w kabinie tym razem „jedyńki”, należącej do dowódcy eskadry, moja „dwójka” bowiem była w naprawie<sup>15</sup>. Na wypadek startu mam dowodzić całością. W kombinezonie i hełmofonie na głowie jest w kabinie ciepło, robi mi się błogo, zamykam oczy i marzę [...]. Spod namiotu stanowiska dowodzenia wystrzelono trzy zielone rakiety. Był to umówiony znak na uruchomienie silników i start całej eskadry. Wzbijamy się w powietrze trójka za trójką, formujemy szyk. Lecę na czele 9 samolotów myśliwskich, nawiązuję łączność radiową ze stanowiskiem dowodzenia.*

– Ziemia, ja Jastrzęb, jak mnie słycać?

– Ja, Ziemia, dla ciebie kurs 90, wysokość 3000 – skrzeczy w słuchawkach głos dowódcy dywizjonu.

– Ja, Jastrzęb, zrozumiałem – odpowiadam, siląc się na spokój. Co też spowodowało poderwanie w powietrze całej eskadry?

– Od wschodu lecą bombowce na Kraków! Nawiązać łączność z Rolą (kryptonim naszej stacji radiowej na przedpolu<sup>16</sup>).

– Zrozumiałem!

<sup>12</sup> Istnieje rozbieżność co do czasu. Według opracowań autorów niemieckich, bombowce KG 4 wystartowały pomiędzy godz. 7:30 a 9:30. Według historyków polskich zespół polskich myśliwców dowodzonych przez ppor. pil. W. Króla wystartował na ich przechwyconie o 7:15, czyli... 15 minut przed ich startem, co jest naturalnie niemożliwe. Istnieje tu pewna niezgodność.

<sup>13</sup> W dniu 3 września stan Dywizjonu Myśliwskiego III/2 był następujący: Dowództwo – 2 pilotów + 1 pilot łącznikowy z samolotem RWD 8; 121. Eskadra Myśliwska – 12 pilotów + 10 samolotów PZL P.11c; 122. Eskadra Myśliwska – 14 pilotów + 9 samolotów PZL P.11c – wg. J.B. Cynk, *Polskie lotnictwo...*, Gdańsk 2000, str. 213.

<sup>14</sup> W. Król, *W dywizjonie poznańskim*, Warszawa 1970 r, str. 50-53.

<sup>15</sup> „Jedyńka” i „dwójka” – mowa o numerach bocznych namalowanych na kadłubach samolotów.

<sup>16</sup> Mowa o stanowisku obserwatorów „w terenie”, którzy zauważyli niemieckie bombowce.



Wrak Heinkla He 111. Na pierwszym planie grób członków załogi tego samolotu. Fot. zb. autora.

Wznosiliśmy się na maksymalnych obrotach silników całym szykiem w kierunku wschodnim aż do wysokości 3500 metrów. Wykonywałem przy tym zakosy, aby skuteczniej obserwować przestrzeń, gdyż jaskrawe słońce raziło w oczy. Wysoko nad nami rozłożyły się warstwowe chmurki, przez które przebijały promienie słoneczne.

Przecieliśmy wstęgę Wisły, daleko w tyle pozostał Kraków. W dole rozpościerała się ciemnozielona Puszcza Niepołomi-



Obserwator (z lewej) i pilot w kabine samolotu bombowego Heinkel He 111. Fot. zb. autora.

cka. Cienkie chmurki pozostały w tyle, blask słoneczny utrudniał bardzo obserwację do przodu. Dymi pociąg zdążający z Bochni do Krakowa po ciemnych kreskach żelaznej drogi. Z przodu majaczyło miasto wyrosłe z soli<sup>17</sup>. Na świetle jest pięknie w słoneczny, letni poranek...

Ale oto już ich widać! Lecą zwartym szykiem. Na przedzie trójka, a za nią jeszcze trzy trójki. Pomalowane są na ciemnozielony kolor. To są niemieckie He-111, niosące potężny ładunek niszcycielski dla naszej królewskiej stolicy<sup>18</sup>! Lecą równo, spokojnie, majestatycznie, pełne wojennej grozy. Są nieco niżej od nas, może o 500 metrów. Lecimy im na spotkanie, zachodzimy do kierunku ich trasy od południa. Na tle nieba muszą nas chyba widzieć, ale nie zmieniają kursu, tylko jakby zwiększyli nieco prędkość [...].

Jak wynika z tej relacji, Niemcy lecieli wzdłuż linii kolejowej Tarnów–Kraków, ze wschodu na zachód, na swe lotnisko na Śląsku. Zespół polskich myśliwców lecący im na spotkanie, zmierzał z Igołomii w kierunku południowo-wschodnim. Po

<sup>17</sup> Waclaw Król ma tu na myśli na pewno Bochnię. Nie może być to Wieliczka ponieważ lecąc z Igołomii na południowy-wschód nad Puszcza Niepołomicką, Wieliczkę miał za plecami. Przed sobą na horyzoncie widział Bochnię.

<sup>18</sup> Waclawa Króla w powojennej relacji poniosła fantazja. Celem Heinkli nie był Kraków. Jest to nonsens, gdyż Kraków atakowano nadlatując bezpośrednio z zachodu, tymczasem zespół bombowców nadlatywał od wschodu już po zbombardowaniu rejonu Brzeska i miał tylko obok Krakowa przelecieć w drodze na swe lotnisko na Śląsku.

przekroczeniu Wisły znalazł się nad zachodnią częścią Puszczy Niepołomickiej. Waclaw Król widział przed sobą na horyzoncie Bochnię i pociąg zmierzający z Bochni do Krakowa. Pozycja polskich myśliwców była jednak niekorzystna. Król wspominał, że lecieli „pod słońce”, które „utrudniało bardzo obserwację do przodu”. Dlatego, gdy tylko dostrzegł samoloty wroga, poprowadził swój zespół tak, by mieć słońce za plecami. W tym celu Polacy skierowali się na południe, wprost „pod słońce”, przecięli trasę lotu niemieckich samolotów, ale zaraz potem zawrócili na północ. Był to zręczny manewr. Tym sposobem mieli słońce za plecami, a przed sobą doskonale widoczne samoloty wroga.

### Powietrzna walka

Niemcy szybko dostrzegli polskie myśliwce i zwiększyli prędkość<sup>19</sup>. Walka rozegrała się pomiędzy Klajem a Cikowicami. Strzelcy pokładowi Heinkli natychmiast otworzyli ogień. Pilot jednego z nich, Gefr. Walter Dymek tak wspominał te wydarzenia<sup>20</sup>:



Widok z oszklonego nosa Heinkla He111 fot. „Der Adler”

[...] Jako dowódca samolotu zauważyłem tuż za celem ataku nieprzyjacielski samolot rozpoznawczy, wobec czego rozkazałem radiowcowi obserwowanie go i meldowanie mi o wszystkim na bieżąco. W tym czasie mechanik pokładowy Ogefr. Paul Kania leżał w wannie<sup>21</sup>, obserwując uderzenia bomb<sup>22</sup>. Nagle Kania krzyknął: „Myśliwce nieprzyjaciela!”.

<sup>19</sup> Niemieckie samoloty bombowe zwiększając prędkość mogły łatwo uciec zbyt powolnym polskim myśliwcom PZL P.11c. W ten sposób unikały pościgu rozpoznawcze Dornier Do 17, które przed wybuchem wojny zapuszczały się głęboko nad teren Polski.

<sup>20</sup> M. Emmerling, *Luftwaffe nad Polską 1939. Cz. II Kampfflieger*, Gdynia 2005, str. 71.

<sup>21</sup> Wanna, czyli gondola pod kadłubem Heinkla He 111, w której znajdowało się stanowisko dolnego strzelca.

<sup>22</sup> Sprawa zrzutu bomb przez zaatakowane niemieckie samoloty bombowe wymaga komentarza. Jak wynika z opracowań historycznych, celem Heinkli była linia kolejowa w okolicach Brzeska i tam niemieckie samoloty bez przeszkód zrzuciły swój ładunek bomb. Samoloty nie niepokojeone zawróciły następnie na zachód w kierunku Krakowa i Śląska. Zostały zaatakowane przez zespół polskich myśliwców dopiero po przelecieciu ok. 20 km w rejonie Cikowic.

Tymczasem z relacji lotników niemieckich wynika, że zaatakowano ich już w czasie zrzucania bomb. Polskie opracowania nie wspominają jednak o jakiejś walce z bombowcami Luftwaffe w rejonie Brzeska. Możliwe jest jednak, że niemieccy lotnicy opisali oba wydarzenia (bombardowanie i atak polskich myśliwców) tak jakby wydarzyły się w jednym czasie, gdy w rzeczywistości zostali zaatakowani dopiero w kilka minut po wykonaniu bombardowania. O beładnym zrzucie bomb przez ostrzeliwane bombowce wspomina też Waclaw Król. Jeżeli istotnie samoloty zostały zaatakowane w drodze powrotnej po wykonaniu zadania, nie powinny mieć już bomb na pokładzie. Tylko istotne okoliczności mogłyby zdecydować o niewykonaniu nalotu, a takich nie było.

Stwierdził, że chodzi o 10 nieprzyjacielskich maszyn. Nastąpił atak na oba samoloty z klucza. Natychmiast otworzyliśmy ogień, chcąc odciąć się od agresorów. Zauważyliśmy przy tym, że myśliwce skupiły swą uwagę na naszej maszynie. Wobec takiego obrotu sprawy lecieliśmy ciasno w kluczu i odpowiadaliśmy na ogień. Wtem zauważyłem liczne postrzały na lewym skrzydle. W tym samym czasie spadł jeden z nieprzyjacielskich myśliwców. Nie mogliśmy ustalić, przez kogo został zestrzelony, jako że cały czas lecieliśmy jeszcze w kluczu [...].

### Zestrzelony

Pilotem tego zestrzelonego polskiego myśliwca był ppor. pil. Wacław Król. Tak wspominał on swe przeżycia w powietrzu<sup>23</sup>:

[...] Moja „jedyńka” rwie do przodu na pełnym gazie, zostawiam nieco w tyle kolegów, jestem z przodu około 300 metrów od naszego szyku. „Jedyńka” to rzeczywiście najlepszy samolot<sup>24</sup>.

– Uwaga samoloty! Cel z przodu! Atakujemy! – wydają rozkaz przez radio do tych, co mają radiostacje pokładowe na samolotach. Jednocześnie dają znak reszcie przez wykonywanie skrzydłami ruchów poprzecznych do kierunku lotu<sup>25</sup>.

Nurkuję wprost w zwarty szyk wrogich bombowców, w sam środek. Przycelowuję się, strzelam krótkimi seriami. Swąd spalonego prochu kręci w nosie<sup>26</sup>. Trzeba jeszcze zmniejszyć odległość od nich. Musimy ich rozbić i zniszczyć! Samolot mój otoczony jest rojem świetlnych pocisków. To strzelcy pokładowi bombowców niemieckich ostrzeliwiają mnie z karabinów maszynowych. Pociski dudnią po płacie, jak groch rzucany o blachę. Biorę na cel samolot dowódcy...

Nagle stuk! Jakby grom z jasnego nieba uderzył w silnik mojego samolotu, który jednocześnie zadymił czarnym dymem. Płomienie ogarnęły zbiornik benzynowy, umieszczony tuż za silnikiem, a przed kabiną<sup>27</sup>. Jasne języki ognia zaczęły wciskać się do wnętrza i parzyć mnie w gołe ręce.

– Trafili mnie, sk.....! – krzyknąłem z wielkiej złości do siebie.

Z zapisów archiwalnych wiadomo, że 3 września jakieś niemieckie bomby jednak spadły na Cikowice. Zginęło od nich kilka osób, ale szkód wielkich nie było. Czy zrzucili je jakieś inne samoloty niemieckie? A może celem Heinkli było nie Brzesko, ale most w Cikowicach? Czy w Puszczy Niepołomickiej są widoczne do dziś leje po wybuchach niemieckich bomb zrzuconych bezładnie, czy jest to wyłącznie fantazja Wacława Króla? Pytania te oczekują na odpowiedź.

<sup>23</sup> W. Król, *W dywizjonie poznańskim*, Warszawa 1970 r, str. 53-56.

<sup>24</sup> Wacław Król wypowiada się w ten sposób o samolocie swego dowódcy, który wyjątkowo pilotował tego dnia. Istotnie samolot ten mógł być mniej wyeksploatowany w porównaniu z pozostałymi samolotami eskadry, które miały większą ilość wylatanych godzin.

<sup>25</sup> Nie wszystkie polskie samoloty myśliwskie były wyposażone w radiostacje pokładowe. Piloci przekazywali sobie sygnały kiwając skrzydłami samolotów lub gestami rąk. Brak możliwości porozumiewania się za pomocą radia, wymuszał wśród pilotów bardzo pożyteczny nawyk niemal instynktownej obserwacji przestrzeni powietrznej dookoła, zgodnie z wpajaną myśliwcom zasadą, że szansę na zwycięstwo ma ten, kto pierwszy wypatrzy przeciwnika, zanim sam zostanie zauważony.

<sup>26</sup> Tylce dwóch karabinów maszynowych Vickers E lub PWU wz. 33 kal. 7,92 mm w samolocie PZL P.11c znajdowały się w kabinie pilota. Dlatego w czasie strzelania, pilot zmuszony był wdychać spaliny prochu. W tym wypadku jednak na szczęście kabina samolotu była od góry otwarta i szybko się wentylowała w sposób naturalny.

<sup>27</sup> Zbiornik paliwa samolotu PZL P.11c, zainstalowany w przedniej grodzi kratownicy kadłuba, mieścił 320 litrów benzyny lotniczej. Pożar takiej ilości paliwa był zawsze tragiczny w skutkach dla pilota, gdyż płomień tłoczony pędem powietrza, błyskawicznie wdierał się do wnętrza kabiny. Samolot szybko zamieniał się w opadającą ku ziemi „kulę ognia”.

Nieraz już przedtem zastanawiałem się, co bym zrobił, gdyby mi się zapalił w locie zbiornik z benzyną. Jest on umieszczony na naszych samolotach bardzo nieszczęśliwie, tuż za silnikiem, a przed kabiną pilota, toteż siedzący w niej pilot, przy ruchu samolotu do przodu, narażony jest na bezpośrednie działanie ognia. Pilot w tych warunkach nie ma szansy na wykonanie przymusowego lądowania. Czeką go niechybna śmierć w płomieniach. Jediną deską ratunku dla niego jest natychmiastowe opuszczenie samolotu i skok ze spadochronem<sup>28</sup>, oczywiście, jeżeli na to zezwala wysokość, na której się znajduje. Rozważania moje sprowadzały się do tego, że w takim wypadku nie wolno ulec chęci ratowania samolotu próbując lądowania, lecz trzeba natychmiast opuścić kabinę skacząc ze spadochronem. Należy więc odpiąć pasy siedzeniowe, wyrzucić samolot do góry kołami, potem odepchnąć drążek od siebie. Siła odśrodkowa dokona niezawodnie reszty, pilot wypadnie z kabiny, nie narażając się na zderzenie ze sterami ogonowymi samolotu.

Nie wiem, jak to się stało, i nie mogłem sobie tego nigdy potem uzmysłwić, że opuściłem samolot. Koziołkowałem już w powietrzu, gdy świadomość na nowo zaczęła sprawnie działać. Z wielkim trudem sięgnąłem ręką do uchwyty linki wyzwalającej zapięcie spadochronowe. Pęd powietrza utrudniał bardzo wyrwanie uchwytu, ale po krótkiej szamotaniu udało mi się to zrobić. Poczulem gwałtowne szarpnięcie otwierającej się czaszy. Przestałem koziołkować, zawisnąłem na linkach spadochronowych. Nade mną rozpościerała się duża, biała czasza spadochronu, w dole, w odległości około 1000 metrów, błyszcząca w słońcu wstęga rzeki. Niedaleko od niej widniał czerwony kościół o strzelistej wieży, a dalej domostwa dużej osady. Byłem bez hełmofonu, który zgubiłem zapewne podczas opuszczania samolotu. W błogą ciszę, jaka teraz mnie otaczała, wdzierał się huk silników oddalających się samolotów, bicie dzwonu kościelnego i ujadanie psów. Z uwagą zacząłem obserwować przyszłe miejsce lądowania, które według moich przybliżonych obliczeń mogło nastąpić z powodzeniem na środku rzeki. Ale gdy się obniżyłem i bujanie na spadochronie ustało, wszystko wskazywało na to, że wyląduję na błoni i uniknę przymusowej kąpieli.

Z kościoła tymczasem szybko wychodzili ludzie i zapelniali przyległy plac, gapiąc się z podniesionymi głowami w górę. Opadałem z szybkością 8 metrów na sekundę, nie miałem więc czasu na dokładną obserwację tego, co się na dole działo. Lądowałem na własnym terenie i niczego nie potrzebowałem się obawiać. Szkoda tylko, że tak haniebnie dałem się Niemcom zestrzelić. Biedna moja „jedyńka” na pewno teraz dogorywała strzaskana przy uderzeniu o ziemię. Długa smuga dymu na niebie wskazywała jej ostatnią drogę.

Zetknięcie się z ziemią nie było przyjemne. Przewróciłem się na twardej nawierzchni błonia, poczułem silny ból w kolanach. Z trudem uwolniłem się od uprząży spadochronu i podźwignąłem na nogi. Nie chciało mi się zwijać spadochronu, ogarnęła mnie dziwna niemoc. Nerwy uległy zupełnemu rozprężeniu, byłem cały i mogłem się poruszać [...].

C.D.N.

<sup>28</sup> Konstruktorzy PZL P.11c przewidzieli w sytuacji pożaru zbiornika paliwa pewien sposób ratunku dla pilota. Zbiornik był wbudowany w przednią część kadłuba od spodu i podtrzymywany na specjalnym pasie z zamkiem. Po pociągnięciu za dźwignię umieszczoną w kabinie samolotu, zamek otwierał się, a zbiornik wypadał pod własnym ciężarem z kadłuba.

Stanisław Kobiela

# 100 lecie śmierci Heleny Modrzejewskiej

8 kwietnia b.r. minęła setna rocznica śmierci światowej sławy artystki teatralnej Heleny Modrzejewskiej (1840-1909). Artystka zmarła w swojej parterowej willi w East Newport na wysepce Bay Island w pobliżu Los Angeles. Kilka miesięcy wcześniej ujawniła się u niej choroba Brighta, ta sama, na którą zmarł wcześniej Zimajer, a rozpoczynająca się przewlekłym zapaleniem nerek, uczuciem znużenia i niemocy. A jeszcze w styczniu 1909 roku w Los Angeles brała udział w widowisku amatorskim na rzecz ofiar trzęsienia ziemi w Messynie. Publiczność zauważyła jej zmagania z własną słabością w czasie odtwarzania sceny snu lunatycznego w *Makbecie*. Znakomity emigracyjny biograf Modrzejewskiej Tymon Terlecki napisał, że być może wtedy zakotłowała w niej myśl: „*Tak 52 lata temu zaczęłam w Bochni, tak teraz kończę...*”

Staraniem męża Karola Chłapowskiego ciało jej zostało zabalsamowane w Los Angeles i rozpoczął się pogrzeb trwający kilka miesięcy a wiodący przez Amerykę, Europę, aż do Krakowa na cmentarz Rakowiecki. Trumnę wystawiono w Los Angeles na widok publiczny w lokalu „The Knights od Columbus” katolickiego stowarzyszenia świeckich, do którego Helena należała wraz z mężem. Co godzinę przed trumną przechodziło tysiąc osób z ostatnim pożegnaniem. Następnie w orszaku pogrzebowym do katedry Panny Marii Anielskiej szło 200 „Rycerzy Kolumba” i co najmniej 5000 ludzi, a na progu katedry trumnę przejęli dwaj biskupi. Podczas uroczystej mszy świętej Ludwik Opid grał na wiolonczeli marsz żałobny Chopina. Następnie po ciągiem przewieziono trumnę do Chicago – najbardziej rodzinnego miasta Heleny – i złożono w krypcie cmentarnej na okres kilku tygodni. Dzień w dzień przed kryptą klęczał mąż Karol Chłapowski. Terlecki napisał o nim, że „był cieniem światła, wierniejszym od cienia, bo trwał, gdy światło zgasło”.

Ostatni akt pogrzebu odbył się w Krakowie. Trumnę przywieziono tutaj nocą 16 lipca 1909 r. a z dworca kolejowego do kościoła św. Ducha obok Teatru im. Juliusza Słowackiego. Przedsiónek kościoła wyłożony kirem zalegały już wieńce i kwiaty. Rano w sobotę 17 lipca 1909 roku przy pięknej pogodzie rozpoczęła się ceremonia pogrzebowa nabożeństwem żałobnym w czasie którego śpiewał chór opery lwowskiej. Wokół wysokiego katafalku złożono wieńce tylko od teatrów. Srebrna gałąź laurowa leżała na czarnej poduszce. Potem wzdłuż trumny przechodziła niekończąca się rzesza ludzi. Artystka chciała być pochowana na cmentarzu Rakowieckim – cmentarzu zwykłych ludzi.

O godzinie 4-tej po południu przez połowę miasta rozwinął się ogromny kondukt pogrzebowy. Karawan pokryły letnie kwiaty. Nawet konie ciągnące karawan zamiast kiru udekorowano bukietami letnich kwiatów. Kondukt otwierał

symboliczny wieniec z kłosów zbóż splecionych w kształt liry. Pierwsi szli artyści teatru krakowskiego, za nimi delegacje sceny warszawskiej, lwowskiej, poznańskiej, „Narodnego Divadla” w Pradze, posłowie do austriackiej Rady Państwa i sejmu galicyjskiego, delegacje stowarzyszeń artystycznych, Polacy z Ameryki i górale z Zakopanego.

Za trumną szli mąż Karol Bodzenta Chłapowski, syn Rudolf Modrzejewski (Ralph Modjeski), synowa, Henryk Sienkiewicz, Ignacy Jan Paderewski, władze miejskie z prezydentem i tłum mieszkańców i przyjezdnych. Orszak pogrzebowy zatrzymał się przed Teatrem Miejskim (nazwanym imieniem Juliusza Słowackiego w 1909 r.), gdzie mowy wygłosili Sol-ski, Kotarbiński i Heller. Nad trumną żegnał Artystkę prezes Polonii amerykańskiej, poeta Lucjan Rydel, który skojarzył dwa ideały piękności i poezji: Helenę grecką z Heleną polską i aktor Michał Tarasiewicz. Nie było tylko na cmentarzu Stanisława Wyspiańskiego, który zmarł 2 grudnia 1907 r. i spoczął w Krypcie Zasłużonych Polaków na Skałce. Roman-

tyczka Modrzejewska odnalazła z nim najgłębsze powinowactwo duchowe i prawdziwą ojczyznę duchową. Kiedy dowiedziała się o jego śmierci – pisze Terlecki - uświadomiła sobie, że jest to jej własny koniec, kres epoki, kres tego, w czym się spotkali i w czym się porozumieli. Teraz spotkały się i skojarzyły ich pogrzeby w nieodległym czasie 1,5 roku – dwie wielkie manifestacje narodowe w Krakowie.

\* \* \*

Być może Bochnia, w życiu Heleny Modrzejewskiej, bogatym w olśniewające sukcesy sceniczne, była tylko epizodem, ale był to epizod ważny i znamieny. Do Bochni, jesienią 1860 roku, uciekała z Krakowa przed złymi językami, będąc w ciąży z żonatym mężczyzną, tutaj powiła syna Rudolfa, który później zyskał światową sławę jako budowniczy wielkich mostów

w Ameryce. W Bochni otrzymała swoje wielkie teatralne nazwisko Modrzejewska znane później szeroko na obu kontynentach (w Europie i Ameryce Północnej) i także tutaj rozpoczęła swoją artystyczną karierę debiutując na scenie w „Białej kamelii” w wieku 21 lat. Bochnia pamięta o Modrzejewskiej, czego dowodem jest tablica wmurowana na ścianie budynku w którym debiutowała i ulica jej poświęcona na wzgórzu Krzyczków górującym nad miastem. W setną rocznicę śmierci tej znakomitej artystki przypominamy jej młodość i związki z Bochnią.

\* \* \*

## Dzieciństwo

Urodziła się w Krakowie 12 maja 1840 r. Była córką 40-letniej Józefy Bendowej z domu Mizel (albo Misel), od pięciu



lat wdowy po uszlachconym kupcu krakowskim Szymonie Bendzie, właścicielu dwóch kamienic przy ulicy Grodzkiej pod nr 38 i 39, które otrzymał on w spadku po swoim ojcu cukierniku i handlarzu win. Z ośmiorga dzieci, jakie Józefa Bendowa miała z Szymonem Bendą żyło tylko trzech synów : Józef, Szymon i Feliks.

W chwili urodzenia Heleny matka żyła w wolnym związku z Michałem Opidem, aplikantem senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej. Nie wiadomo czy on był ojcem Heleny czy może - jak mówiono - książe Władysław Sanguszko z Gumnisk pod Tarnowem, który w Krakowie miał pałac przy ulicy Sławkowskiej 15. W czasie chrztu w księdze parafialnej zapisano Helenę tylko jako *dziecię zrodzone z pani Józefy z Mizłów Bendowej*. Helena jednak zawsze nazywała Michała Opida swoim ojcem i chociaż umarł on pięć lat po jej narodzeniu dobrze zachowała go w pamięci.

Matka była kobietą piękną i dość zaradną. Odziedziczyła po mężu obie kamienice przy ul. Grodzkiej. Spłaciła pozostałych spadkobierców dzięki kawiarni, którą założyła na parterze jednej z kamienic. Była to pierwsza kawiarnia w mieście, a nowość tego przedsięwzięcia przyciągała klientów w dni powszednie, a szczególnie w niedziele i święta. *Gdy sięgnę myślą wstecz* – wspominała po latach Helena – *zawsze widzę moją matkę w białym czepeczku i fartuchu, załatwiająca rachunki z gośćmi, ciągle w ruchu, pracy, bez chwili wytchnienia i uciechy z dziećmi, oprócz snu.*

Michał Opid miał z wcześniejszego małżeństwa syna Adolfa, a ze związku z Józefą trzy (młodsze od Heleny) córki. Helena zapamiętała, że kochał on muzykę i grał nawet na kilku instrumentach, był miłośnikiem starych sztychów i książek. *Często słuchając jego grania wpadałam w płacz spazmatyczny ze wzruszenia. Góry kochał namiętnie i całym wieczorami nam o nich opowiadał rozbudzając w naszych umysłach pragnienie ujrzenia tych cudownych światów.* W jego opowieściach przewijały się często wątki mitologiczne, a zwłaszcza fragmenty nieśmiertelnej epopei Homera. Nauczył Helenę czytać. Zmarł na galopujące suchoty (gruźlicę) na które zapadł po tygodniowych rozpaczliwych poszukiwaniach swojego ukochanego brata, w czasie słoty wśród bagnistych rozlewisk rzeki, który gdzieś tam zaginął.

Helena i jej przyrodnim rodzeństwem zaopiekowała się nabożna ciotka Teresa i starszy o 7 lat od Heleny jej przyrodni brat Feliks. Kiedy miała sześć lat matka wysłała ją z młodszą od niej siostrą Józią na znaną w Krakowie pensję do panien Radwańskich na ulicy Stolarskiej. Helena uczyła się dobrze, dużo czytała, ale była samotnicą, lubiła modlić się w ekstazie w pustym kościele, czasem miewała niezwykle zwidy i lubiła przez okno rozmawiać sobie z figurką Matki Bożej umieszczoną na przeciwnym murze.

### Bombardowanie Krakowa

W czasie Wiosny Ludów 26 kwietnia 1848 roku Austriacy rozpoczęli z Wawelu bombardowanie Krakowa. Pod kamienicą Bendowej zrewoltowani mieszczaństwo ustawili barykadę. Helena pamięta jak *wspinały się na nią służące i czerwonymi pięściami wygrażały Austriakom.* Ona sama zносиła z domu różne przedmioty na barykadę, a potem razem z Adolfem Opidem w szalonym podnieceniu biegali z pokoju do pokoju, gdy granat urwał w kamienicy balkon,

a do pokoju wpadały kule karabinowe. Adolf wrzucił je do fartucha Helenki. Potem w czasie manifestacyjnego pogrzebu ofiar strzelaniny Helena w kondukcje pogrzebowym w grupie dziewcząt ubranych na biało sypała kwiaty.

W lipcu 1850 r. wielki pożar Krakowa zniszczył dwa sąsiadujące ze sobą domy Bendowej przy ul. Grodzkiej, a ponieważ nie były ubezpieczone, więc Józefa nie miała środków na przeprowadzenie remontu. Bez środków do życia tułała się z dziećmi po domach przyjaciółek. Helena z Józią musiały odejść z prywatnej pensji i iść do tańszej publicznej szkoły klasztornej przy ul. św. Jana prowadzonej przez siostry ze Zgromadzenia Panien Prezentek. Helena postanawia nauczyć się szycia i pomagać matce pracą fizyczną.

### Gustaw Zimajer

Tego samego roku w jesieni w mieszkaniu Bendów pojawił się 25 letni Gustaw Zimajer, żonaty ze starszą od niego Katarzyną de Rautenberg Klińską. Został „przyjacielem rodziny” i nauczycielem języka niemieckiego, obywatelstwa w szkole, a zniechęconego przez uczniów. Przyprował go Józef Benda i został sublokatorzem i nauczycielem dzieci zapewne za wikt i opierunek. Trudno bowiem przypuścić, aby był on kochankiem prawie 50-letniej Heleny Bendowej. Potrafił jednak zaczarować wszystkich domowników. W zimowe wieczory czytał dzieciom śliczne opowiadania i jak wspomina Helena *to on wprowadził u nas zwyczaj czytania wieczorami na głos. Matka i ciotka Teresa szydełkowały cały czas, a my ubierałyśmy lub szyły stroje dla lalek.*

Mimo trudności finansowych matka nie zaniedbała edukacji dzieci co dobrze świadczy o jej determinacji i charakterze. W klasztorze dziewczynki miały dodatkowe lekcje języka francuskiego, w domu lekcje muzyki a także tańca. Przyrodni brat Heleny Adolf Opid starszy od niej o dwa lata był nieodłącznym towarzyszem wypraw, zabaw, żartów, niezbyt bezpiecznych popisów gimnastycznych. Helena nauczyła się także pływać, skakać do wody głową w dół. Z samotnicy przekształciła się w dziewczynę zwinną i przedsiębiorczą.

Urządzali także zabawy w teatr. Brat Feliks Benda był przecież statystą w krakowskim teatrze, a Józef debiutował już w Stanisławowie. Helena napisała razem z Adolfem tragedię „*Sophronia młoda grecka arystokratka*”. Przedstawienie odbyło się w największym pokoju. Przyszły dzieci sąsiadów. Helena grała piękną kochankę Sophronię, Adolf młodego patriotę Hektora, a Józia Ismenę. Po przedstawieniu matka orzekła, że aktorzy się wygłupiali, więc 12-letnia Helena z żalu i złości podarła rękopis.

### Pierwsza miłość

W wieku 14 lat zakochała się we Fryderyku Schillerze po przedstawieniu „Intrygi i miłości”, na które poszła do teatru z Zimajerem. W następnych dniach przy pomocy słownika przeczytała całą sztukę Schillera. *Im więcej czytałam wielkiego poetę, tym bardziej się nim zachwyciałam. Co więcej, w nim się zakochałam.* Kupiła jego statuetkę i nauczyła się pochylać głowę tak jak on w kierunku serca. *Mickiewicz, Krasiński i Słowacki byli częścią mego ja. Kochałam ich i uwielbiałam ich. Pod ich stopy rzuciłam mego ducha i patriotyczne serce, ale Schiller był kochankiem dla*

*mnie, a odsunęłam go w cień* – pisała po latach – *dopiero w styczniu 1859 roku dla daleko wznioślejszego Szekspira.*

Piękna 14-latką pracowała w roli kelnerki w kawiarni matki i zapewne jej obecność ściągała tutaj tłumy młodzieży gimnazjalnej na mleko i tzw. „butterbrot”. Jej marzeniem był teatr. Na prośbę Feliksa Bendy aktorka Hubertowa, udzieliła jej kilku lekcji i dała niewielką rolę w komedii *Papużki naszej babuni*, ale po występie oznajmiła matce, że lepiej trzymać ją w domu niż robić z niej w teatrze miernotę. Było to na rękę matce, która borykając się z problemami dnia codziennego miała w domu już dwóch aktorów, a Szymon Benda, który miał być muzykiem także myślał o teatrze. Orzekła, że Helena powinna zostać nauczycielką.

Zimajer pokrzyżował te plany. Postanowił kształcić ją na aktorkę niemiecką, uznając, że zawód aktorki polskiej nie ma żadnej przyszłości. Helena chodziła więc z Zimajerem do teatru. Była na premierze *Mazepy* Słowackiego z Feliksem Bendą w roli głównej, na *Hamlecie* wystawionym po niemiecku i po tym przedstawieniu żyła przez kilka tygodni jak czarowana. Zaczęła pisać sztuki, szukała własnego stylu, ale każdy tekst paliła tak szybko jak go napisała. Swoje sztuki pisała w nocy, gdyż w ciągu dnia pomagała matce. Tylko niedziele rodzina spędzała razem na wycieczkach pieszo lub chłopskim wozem.

Zimajer dokształcał piękną podopieczną. Znosił jej wiele książek w języku niemieckim. Umówił ją z artystą Axmannem z niemieckiego zespołu występującego w Krakowie, który za darmo uczył ją ról do tekstów niemieckich ze sztuk Schillera lub Kleista. Próbowała także śpiewu operowego w szkole śpiewu profesora Franciszka Mireckiego. Czekwała na debiut, ale zaszła w ciążę. Ojcem dziecka okazał się Gustaw Zimajer. Matka dowiedziała się o tym w połowie 1860 roku. Wydawało się, że wszystkie plany artystyczne Heleny runęły w przepaść. Miała żal do siebie, Zimajera i zapewne całego świata. Zwątpienie, że kiedykolwiek będzie aktorką przeszło w rozpacz – pisze Tymon Terlecki – kiedy w domu matki pojawiła się nowa sublokatorka piękna o południowej urodzie ciemnych oczach i kasztanowych bujnych włosach Antonina Hoffmanówna absolwentka szkoły dramatycznej. Była ona już po debiucie na scenie warszawskiej i przyjechała do Krakowa na swoją pierwszą teatralną posadę.

### Wyjazd do Bochni

Matka świadoma skandalu jaki wybuchnie kiedy wyjdzie na jaw, że Helena jest w ciąży z żonatym mężczyzną, aby uniknąć złośliwych języków postanowiła wysłać córkę będącą w piątym lub szóstym miesiącu ciąży, a więc w je-

sieni 1860 roku do Bochni odległej od Krakowa o niecałe 40 kilometrów. Dr Szczublewski sugeruje, że być może w Bochni Józefa Bendowa miała jakichś swoich dalekich krewnych.

Rzemiennym dyszlem, a może koleją żelazną w ubogiej salopce, albo spowita w burnusie z grubej materii z szerokimi rękawami i kapiszonem – pisze Terlecki – wyjechała Helena z Krakowa do Bochni. Towarzyszył jej Gustaw Zimajer. Zamieszkali w Bochni prawdopodobnie w dużej przestronnej kamienicy przy ulicy Szewskiej od wschodniej strony bocheńskiego kościoła. Tutaj 27 stycznia 1861 roku Helena urodziła syna, któremu Zimajer nadał imię Rudolf.

Inną mniej wiarygodną wersję daty i okoliczności przyjazdu do Bochni podaje dr Józef Szczublewski. Według jego hipotezy Helena urodziła syna 27 stycznia 1861 r. w Krakowie, a do Bochni przyjechała z dwumiesięcznym synkiem, Zimajerem, matką i jej wnuczką Stasią dopiero w marcu 1861 r. i dodaje, że *prawdopodobnie bieda wygnała ich z Krakowa, pewno i złe języki sąsiadów.*

Nie wypada mi wchodzić w polemikę ze znakomitym polskim teatrologiem dr Józefem Szczublewskim na temat tej właśnie hipotezy wysnutej z wielokrotnie przerabianych wspomnień bohaterki jego pierwszego (*Żywoć Modrzejewskiej* 1975) i drugiego (*Modrzejewska. Życie*

*w odstonach* 2009) wydania książki o Helenie Modrzejewskiej, ale moim zdaniem rację ma w tej sprawie wspaniały emigracyjny eseista, historyk literatury i teatru oraz krytyk literacki i teatralny Tymon Terlecki, autor książki *Pani Helena* opowieści biograficznej o Modrzejewskiej wydanej w Londynie w 1962 roku (w Polsce dopiero w 1991 r.) oraz Jerzy Got, autor noty biograficznej o Modrzejewskiej w Polskim Słowniku Biograficznym (t.XXI) i Józef Głomb autor biografii Rudolfa Modrzejewskiego (Józef Głomb, *Człowiek z pogranicza epok*, Warszawa 2004 s.14), a nie dr Szczublewski.

Matka Heleny Józefa Bendowa była osobą praktyczną, przedsiębiorczą, która umiała w porę zapobiegać konsekwencjom zdarzeń jakie już nastąpiły. Kochała swoje wszystkie dzieci miłością bezgraniczną, ale nie pobłażliwą, a więc musiała dbać także o ich reputację w środowisku. Świadoma była przecież swojej pozycji społecznej. Nie uważała się za zwyczajną mieszczkę krakowską, chociaż prowadziła kawiarnię. Po swoim mężu Szymonie Bendzie była szlachcianką i musiała zdawać sobie sprawę, że w Krakowie skandal oznacza infamię.

Nie mogła zatem – jak widzi to dr Szczublewski – czekać, aż ciąża Heleny będzie widoczna i Helena urodzi dzie-



*Jako Maria Stuart w dramacie Słowackiego*

cko. To byłby szczyt naiwności. Skandal byłby pewny już w jesieni, gdyby ciężarna Helena pojawiła się w kawiarni matki lub na ulicy. Siedząc pod kloszem w mieszkaniu przez kilka miesięcy także nie uniknęła by skandalu. Mieszkała przecież u Bendowej aktorka Hoffmanówna.

Jedynym rozsądnym rozwiązaniem był wyjazd z Krakowa już z początkiem jesieni 1860 roku (a nie dopiero w marcu 1861 r.). Wyjazd z Krakowa po urodzeniu tutaj dziecka nie miałby żadnego sensu. Druga alternatywna hipoteza Szczublewskiego, że pewno bieda wygnała ich z Krakowa także nie jest przekonująca. Na Zimajera nie czekała w nieznaney, prowincjonalnej Bochni żadna lukratywna posada. Gdyby nawet był tutaj jakiś stały teatr, to z pewnością Helena znajdująca się w ciąży nie mogła by grać na jego scenie.

Dr Szczublewski uważa, że razem z Heleną przyjechała do Bochni matka Heleny i jej wnuczka Stasia, co również wydaje się wątpliwe. Nie mogła przecież Bendowa z dnia na dzień pozostawiać kawiarni na łasce losu, ani 18-letniej Józii na opiece także 18-letniej sublokatorce aktorki Hoffmanówny, czy nawet syna 23-letniego Feliksa Bendy. Praktyczna i doświadczona życiem Bendowa nie mogła pozostawiać źródła dochodu czyli krakowskiej kawiarni i rzucać się w odmęty galicyjsko-golicyjskiej (jak mawiano) biedy w Bochni, bez żadnej perspektywy zdobywania tutaj dochodu. Mogła przyjechać do Bochni jedynie na okres porodu i kilku dni po porodzie. Na błędną hipotezę dr Szczublewskiego wskazuje zdanie ze wspomnień Modrzejewskiej iż w Bochni Helena i Gustaw żyli w *strasznej biedzie*.

### Narodziny Rudolfa

Nie powinno być więc żadnej wątpliwości, że syn Heleny Rudolf Modrzejewski, który zasłynął po latach jako budowniczy największych mostów w Stanach Zjednoczonych, pod bardziej przyswajalnym w anglojęzycznym kraju nazwiskiem Ralpa Modjeskiego, urodził się w Bochni 27 stycznia 1861 roku, a nie w Krakowie jak przypuszcza dr Szczublewski, choć przyznaje, że w Krakowie nie ma śladu, ani aktu chrztu, ani zapisu w krakowskiej „Liber naturum”. Pozostaje zatem Bochnia jako miejsce urodzenia Rudolfa.

Mieszkali w dużej jednopiętrowej kamienicy pomiędzy kościołem, a ulicą Szewską. Nie mieli żadnych widoków na pracę, aż oto pojawił się w Bochni wiosną 1861 roku aktor „o mowie nieco sepleniącej” i tancmistrz Konstanty Łobojko, który z niewiadomych przyczyn odszedł z krakowskiego zespołu teatralnego Pfeiffera. Wcześniej grywał w Lublinie, Radomiu i Kielcach. W Bochni zamierzał otworzyć zakład fotograficzny, a w mieszkaniu wynajmowanym przez Zimajera i Helenę podnajął salon do nauki tańca. Łobojko i Zimajer wpadli na pomysł urządzenia w tym salonie wieczoru teatralnego. Główne role mogli przecież grać Helena, Zimajer i Łobojko, dalsze role inni członkowie rodziny Bendowej i uczniowie z kursu tańca. Wezwano z Krakowa przyrodnią siostrę Heleny Józję. Może przyjechała wtedy matka ze swoją wnuczką Stasią. Tymon Terlecki odnalazł także nazwisko miejscowego amatora-aktora do tej sztuki, którym został pracownik miejscowej apteki Terenkoczy. Ustalono, że pierwszy występ odbędzie się na cele dobroczynne, a następne w każdą niedzielę z innym repertuarem, pod warunkiem, że pierwszy występ się powiedzie.

### Nowe nazwisko

Raczej Łobojko, a nie Zimajer wybrał na pierwszy występ jednoaktową komedię przerobioną z francuskiego p.t. *Biała kamelia* i komedio dramę *Primadonna czyli Mleczna siostra*. Nazwisko Heleny Mizel nie nadawało się jednak na afisz, Benda czy Opid tak samo, a nazwisko Zimajer było by kłamstwem, toteż Łobojko nadał Helenie pseudonim Modrzejewska. Modrzejewskim został także Zimajer oraz maleńki Rudolf. A więc w Bochni Modrzejewska otrzymała swoje wielkie teatralne nazwisko.

Przedstawienie zaplanowano na połowę roku 1861. Dochód przeznaczono na rzecz ofiar katastrofy w bocheńskiej kopalni soli. Dobroczynny cel przedstawienia zawsze zjednywał publiczność do aktorów, wzbudzał sympatię i zachęcał do udziału w kolejnych przedstawieniach. Czy jednak rzeczywiście była w tym czasie jakaś poważniejsza katastrofa w bocheńskiej kopalni soli? Wśród biografów Modrzejewskiej jedynie Tymon Terlecki stawia to pytanie, ale nie odpowiada na nie, bo tego przecież nie wie. Badacz dziejów bocheńskiej kopalni soli Stanisław Fischer w „Dziejach bocheńskiej żupy solnej” (Warszawa 1962) podaje, że 2 lutego 1850 roku wszczął się wielki pożar w komorze Zamorsko na poziomie Augusta. Spaliła się obudowa drewniana przyległych chodników i nagromadzone w komorach zapasy drzewa, a wypełniony gryzącym dymem całe wnętrza kopalni na szereg miesięcy uniemożliwił do niej dostęp. Dopiero po dwóch miesiącach, *gdy wszelkie otwory z góry pozatykano mocno nawozem, zdołano pożar ugasić i dalsze reparacje przedsięwziąć*. Podobna katastrofa, ale swoim zasięgiem większa i tragiczniejsza wydarzyła się w dzień sylwestrowy 1875 r. kiedy to w czasie pożaru pod Sutorisem zginęło w dymie ośmiu górników, a kiedy wydawało się, że pożar ugaszono zjechali w podziemie inż. Andrzej Furdzik i radca górniczy Edward Windakiewicz i obaj zginęli w szybie. Inna katastrofa częściowego zawalenia się szybu Campi miała miejsce w 1909 roku. A więc miejscowe kroniki nie odnotowują żadnej katastrofy w kopalni w roku 1860 lub 1861. Możliwe jest więc, że cel dobroczynny dotyczył czegoś zupełnie innego, a po latach dorobiono do niego legendę o górniczej katastrofie.

Przy bardzo skromnych środkach finansowych Modrzejewskich pochodzących zapewne z oszczędności Bendowej także scena i wystrój sali teatralnej musiały być nad wyraz skromne, ale Łobojko był do takich sytuacji przygotowany. Budował kiedyś w Lublinie sceny z kilku zaledwie desek ustawionych na dwóch kobylicach obłożonych perkalem, a może nawet zwykłą tekturą. Oświetlenie stanowił rząd łójówek, które należało wymieniać po każdym akcie.

### Debiut w Bochni

Debiut teatralny Heleny Modrzejewskiej odbył się w Bochni prawdopodobnie w lipcu 1861 r. przy wypełnionej sali. W *Białej kamelii* Helena grała główną rolę hrabiny Hortensji, 19-letnia Józia była Adelą, Hrabiego grał Łobojko, a lokaja Zimajer. Sztuka podobała się bardzo publiczności, nagrodzono ją dużymi brawami. Szczególnie dobre wrażenie zrobiła Modrzejewska - zdaniem lokalnej prasy - *niebywale ładna, całkiem wysoka, niebywale zgrabna, która mówiła bardzo wyraźnie a w jej głosie jest muzyka*. Modrzejewska cytuje w swoich wspomnieniach miejscowe opinie: *Tak pięknych oczu jeszcze w Bochni nie wi-*

dziano ; ciemne, duże urzekające, wywołały powszechne poruszenie w tym starym, wcale nie podłym mieście. Suflerem była 11-letnia Stasia. Może właśnie w tym pierwszym bocheńskim debiucie, kiedy Helena weszła na scenę Stasi rozleciał się egzemplarz. Zaczęła cicho płakać w budzie suflerskiej i rozpaczliwie szeptać : *Ciociu, książeczka się rozsypała. To nic – odszepnęła Helena - pobierzaj. I zaczęła mówić z pamięci.*

W przedstawieniu *Primadonna czyli Mleczna siostra* Helena grała także główną tytułową rolę. Była primadonną Signorą Roselli i śpiewała kilka arii.

Po tym drobinowym – zdaniem Terleckiego – ale brzemienym w skutki bocheńskim debiucie w 1861 r. poszły dalsze przedstawienia w Bochni we wszystkie soboty i niedziele. Łobojko wystarał się w Krakowie o dokument pozwalający mu rozpocząć oficjalną, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, działalność gospodarczą o profilu artystycznym. Powstała sześciuosobowa trupa teatralna pod nazwą : „Nowosądeckie Towarzystwo Artystów Sceny Narodowej”. Kierownictwo dzielił Łobojko, sprawami administracyjnymi zajmował się Zimajer. Helena miała otrzymywać 100 złotych reńskich i co trzy miesiące dochód z t.zw. benefisu. Wyruszyli z Bochni – jak nazwa Towarzystwa wskazuje – do Nowego Sącza. Ich jedynym domem stała się jednokonna bryczka. Modrzejewska wspomina, że zabrała z Bochni *dwie jedyne sukieneczyny : czarną i białą, sceniczne rekwizyty, papierowe dekoracje i kurtynę z perkalu z odklejającymi się złotymi gwiazdami.* Jechał z nimi najmłodszy pasażer kilkumiesięczny synek Heleny Rudolf zwany przez nią przez całe ich życie „Dolciem”.

### Per aspera ad astra

Ta wyprawa po złote runo sławy – pisze Terlecki - nie było łatwa i wesoła. Na trasie trupy teatralnej był Nowy Sącz, Rzeszów, Przemyśl, Sambor, gdzie Helena powiła tuż

po zakończeniu przedstawienia córeczkę Marię, był Stanisławów, Czerniowce i Lwów, gdzie Helena znalazła się w powietrzu pełnym zawiści i intrygi. Były sukcesy i bolesne porażki. Była tragiczna śmierć małej Maniusi od uderzenia dyszlem zaprzęzonego wozu. Pękły więzi łączące ją z Zimajerem. Wtedy uświadomiła sobie, że musi sama zagrać o swoje życie. Zostawiwszy Zimajera, uciekła z Czerniowiec z pięcioletnim Dolciem do rodzinnego Krakowa. Od tego czasu odmienił się los Heleny. Sukcesy sceniczne odnosiła w Krakowie, Poznaniu, Warszawie. Małżeństwo z Karolem Chłapowskim wprowadziło ją do innych sfer, ale ani z aktorstwa ani z nazwiska przyjętego w Bochni nie zrezygnowała. Odnosiła oszałamiające sukcesy w Europie i Ameryce Północnej pod łatwiejszym do wymówienia dla Anglików i Amerykanów nazwiskiem Helena Modjeska w rolach szekspirowskich bohaterek. Była jedną z trzech największych tragiczek tamtych czasów uwielbianą przez tłumy. Do końca kultywowała romantyczną przynależność do ojczyzny i dawała temu wyraz na każdym kroku.

Rekompensowała biedę, zapamiętaną z dzieciństwa, wystawnym życiem, drogimi strojami, ale nie zapomniała o starej matce Józefie Bendowej w Krakowie, pomagając jej finansowo i utrzymując z nią stały korespondencyjny serdeczny kontakt. *Jakby to było dobrze mieć Cię tutaj. Często płaczę z tęsknoty za Tobą – pisała w liście z 1883 r. – Oj Matusiu, Matusiu. Wydawaj na wszystko, co Ci potrzebne. Całuję Twe ręce i łzami obmywam stopy.*

### Aktorka-Polka

Pomagała też zawsze polskim artystom, sfinansowała wiedeńskie studia pianistyczne młodemu Ignacemu Janowi Paderewskiemu i wprowadziła go na salony obu kontynentów. Urządzała często występy dobroczynne na rzecz szkół



Zdj. zbiorowe pod tablicą Heleny Modrzejewskiej 1988 r.

polskich w Ameryce, a także tych, którzy przybyli tutaj *za chlebem*, szczególnie Polakom wyrzuconym z Prus przez Bismarcka. Wszędzie manifestowała wspólnotę z rodakami z trzech zaborów. Na kongresie kobiecym odbywającym się w Chicago na wiosnę 1893 r. w którym miały podobno wziąć udział kobiety Polki z trzech zaborów w półgodzinnym przemówieniu objawiła się jako polska Joanny d'Arc. Rzuciła oskarżenie w trzy chrześcijańskie monarchie, które Polskę podzieliły pomiędzy siebie. Przedstawiła mesjanistyczny obraz Polski ukrzyżowanej, Polski-Chrystusa narodów, porównała Matkę-Polkę i Matką Bożą stojącą pod krzyżem męki i zakończyła swoje wystąpienie okrzykiem: *Póki jedna Polka żyje, Polska nie zginie*.

Konsekwencje wystąpienia Modrzejewskiej okazały się dla niej samej bardzo przykre. Ukaz carski zabraniał żywej czy umarłej Modrzejewskiej wstępu do posiadłości rosyjskich, a więc także do Warszawy, do której przyjeżdżała z Ameryki regularnie co kilka lat. Generał-gubernator Hurko rządzący w Warszawie odwołał wszystkie jej zaplanowane w 1894 r. występy. Odwołano także planowane jej występy w Petersburgu, Moskwie i innych miastach carskiego imperium. Kiedy kilka lat później pojawiła się w Warszawie, aby spotkać się z nowym generał-gubernatorem otrzymała bezwzględny nakaz opuszczenia Warszawy w ciągu doby. Terlecki wskazuje, że tekst przemówienia mogli podsunąć – jak to określił kiedyś Kornel Ujejski, a powtórzył niedawno polski polityk – „polscy szatani” (w spódnicy), zazdrośni o sławę, którym zależało na wyeliminowaniu Modrzejewskiej ze scen warszawskich i nie tylko.

Modrzejewska dbała o to, aby na świecie postrzegana była zawsze jako Polka. Zdarzało się, że dla londyńskiej publiczności grywała scenę Ofelii po polsku, aby pokazać, że *nasza Polska nie jest tak małą sprawą, jak sobie myślą*. Charyzmatyczna, niepokorna, wyrastała ponad konwenanse epoki. Przez współczesnych uznana za równą Sarze Barnhardt i Eleonorze Duse nie dostrzegała w nich rywalek, ale ceniła ich talent. Za najlepszą uznawała rolę Marii Stuart, w jej twórczości wiernej zawsze Szekspirowi to była jej arcyrola, którą kochała najbardziej. Zawsze była wierna rodzinie, Polsce i Szekspirowi. Może właśnie dlatego do podpisu

na listach do przyjaciół dodawała formułkę *Sempre la stessa* (zawsze ta sama).

### Bochnia pamięta

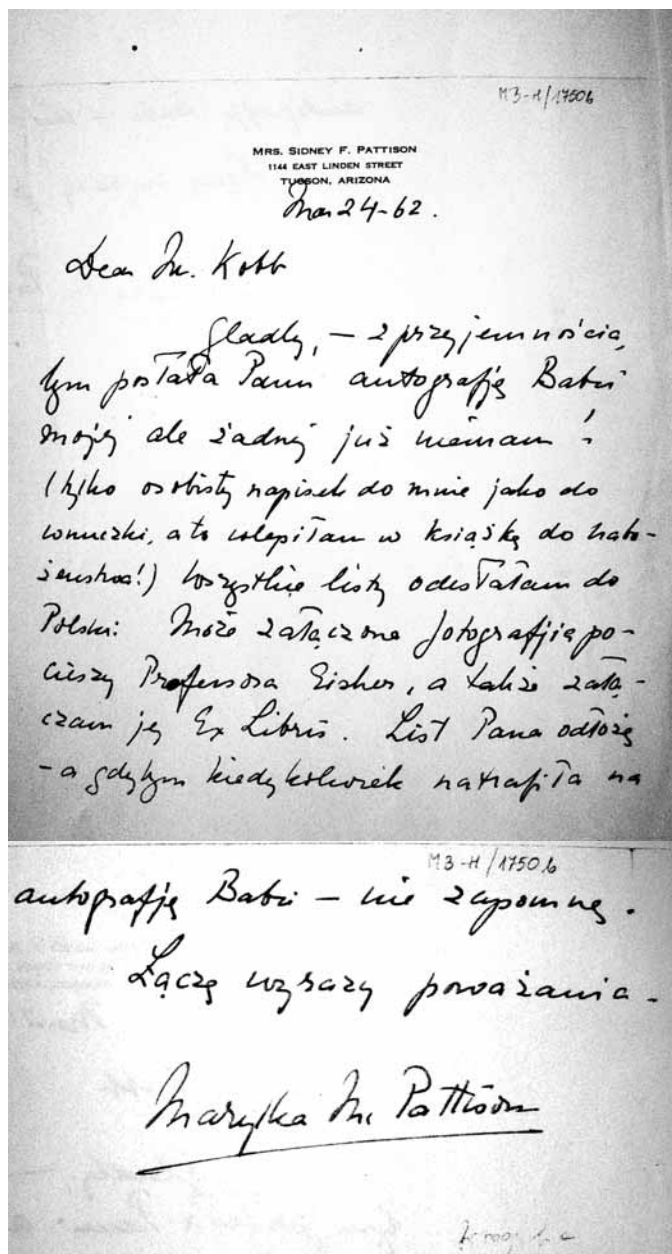
Pamięć o Helenie Modrzejewskiej trwa w Bochni od wielu lat. Stanisławowi Fischerowi udało się nawiązać korespondencyjny kontakt z wnuczką Modrzejewskiej Marylką czyli Marią Stuart Pattison, córką Ralpa Modjeskiego. Nie miała ona au-

toografu swojej wielkiej Babcie, który mógłby upiększyć zbioru bocheńskiego Muzeum, ale ze wzruszeniem odpisała na list, przysłała exlibris Heleny, jej fotografię i obietnicę odszukania autografu. Warto dodać, że imieniem Heleny Modrzejewskiej nazwana została piękna widokowa ulica ciągnąca się grzbietem Krzyczkowa od jego szczytu do ulicy Brzeskiej. W 1988 roku z inicjatywy i przy znacznym wsparciu finansowym kol. Stanisława Dobranowskiego działacza naszego Stowarzyszenia wmurowana została tablica pamiątkowa na budynku, w którym debiutowała Modrzejewska, a odsłonięcia jej dokonano w czasie obrad Walnego Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia. Po remoncie nieistniejącego dzisiaj kina „Jutrzenka” w Bochni (obecnie budynek Oratorium św. Kingi) Miejski Dom Kultury kierowany wówczas przez Jana Czechowskiego otworzył tutaj na wniosek Stowarzyszenia, a zwłaszcza kol. Dobranowskiego *Scenę teatralną imienia Heleny Modrzejewskiej*. W 1999 r. wystąpiła na niej artystka z polonijnego teatru w Toronto pani Helena Nowotarska z monogramem *Helena*, poświęconym Helenie

Modrzejewskiej. Krzysztof Baran napisał później artykuł „Z Bochni w świat, ze świata do Bochni” („Wiadomości Bocheńskie” nr 3/1999) w którym opisał to ważne dla Bochni wydarzenie artystyczne i zanotował: *Znalazł się znany w Bochni wielbiciel talentu obu Helen (Modrzejewskiej i Nowotarskiej). Po dżentelmeńsku uklęknął przed aktorką, wręczył jej bukiet róż i podziękował za powrót do miasta, które czekało na nią 138 lat*. Sądzymy, że pamięć o Helenie Modrzejewskiej w Bochni i jej bocheńskim debiucie nie zaginie, że młodzi Bochnianie będą ją nadal kultuwować.

**Stanisław Kobiela**

fot. ze zb. Muzeum im. S.Fischera i arch. SBiMZB



Ewelina Mroczek

## Oddział Partyzancki Spaleni

W nawiązaniu i dla rozszerzenia informacji zawartych w artykule *Wojenne Losy Braci Rajskich* z wiosennego numeru WB 2008 (nr 76) opiszemy tym razem historię oddziału partyzanckiego *Spaleni*, który w roku 1944 walczył z Niemcami na Kielecczyźnie. Organizatorem i dowódcą Oddziału był Bochnianin Stefan Rajski. Pamięć o Nim i partyzantach DW *Spaleni* jest nadal żywa w powiecie jędrzejowskim szczególnie Sędziszowie, Wodzisławiu i Piotrkowicach gdzie Oddział powstał i miał swoje zaplecze. Czyn *Spalonych* jest udokumentowany i opisany w literaturze Polski Podziemnej lat 1939 – 1945.

### Sędziszów – wojna i okupacja

Wojna niemiecko – polska 1939 roku zapisała w pamięci mieszkańców potyczkę, jaką stoczył niewielki oddział wojska polskiego, ulokowany w Sędziszowie na kilka dni przed 1 września z zadaniem obrony stacji i urządzeń kolejowych – rozbito wówczas niemiecki patrol i zniszczono 3 czołgi npla. Po przerwaniu polskiej obrony pod Mokrą koło Częstochowy, przez Sędziszów przeszły tłumy uciekinierów przerażonych wieściami, iż Niemcy palą wsie i rozstrzelują Polaków. Wielu Sędziszowian również uległo tej powszechnej panice. Walki obronne na zachodniej Kielecczyźnie z niemieckim 15 korpusem ominęły wszakże Sędziszów, ale miasteczko doznało półtora godzinnego bombardowania. Celem Niemców były obiekty stacji kolejowej i stojące tam transporty wojskowe. Wacław Ciechocki, były mieszkaniec Sędziszowa tak wspomina piekło lotniczego nalotu – *Największe przerażenie wywoływały oszalałe konie, pędziły na oślep i - jeśli nie padły trafione bombą – ginęły, wpadając na przedmioty z rozbitych wagonów, tratowały się nawzajem*. 12 września Niemcy bez walki zajęli miasteczko, natychmiast aresztowali mężczyzn i po tygodniu przetrzymywania ich w budynku kościoła, zapędzili do pracy przy likwidacji zniszczeń i uruchamianiu urządzeń kolejowych. Węzeł przejęli niemieccy kolejarze. Od stycznia 1940 roku w czasie bardzo silnych mrozów zaczęto przywozić wypędzonych z Bydgoszczy i Torunia, Wielkopolski i Pomorza polskich kolejarzy z rodzinami. Miejscowa ludność była świadkiem ich poniżenia, dramatycznej sytuacji życiowej i ciężkiej pracy przy rozbudowie stacji, w warsztatach naprawczych, renowacji wagonów towarowych, budowie nowego osiedla.

Powiat jędrzejowski wg okupacyjnych podziałów administracyjnych znalazł się w dystrykcie radomskim, jego mieszkańców poddano bezwzględnej eksploatacji gospodarczej i terrorowi wymuszającemu podporządkowanie i posłuszeństwo. Miejscowych Żydów zamknięto w getcie wodzisławskim i jędrzejowskim i w 1943 zgładzono w Treblince i Bełżcu. O rozmiarach zbrodniczej polityki świadczą liczby dla dystryktu radomskiego. Eksterminacja Żydów objęła 379566 osób. Na roboty do Niemiec wywieziono 215382 osoby. Liczba skazanych na więzienie, obozy koncentracyjne objęła 70 276. W obozach pracy (51 na terenie dystryktu) uwięziono 198000. W egzekucjach i pacyfikacjach zamordowano 112997 ludzi.

Dystrykt radomski podobnie jak pozostałe tereny Polski był pod władzą policyjnego Dowódcy SS i Policji, któremu

podlegali m.in. dowódcy policji bezpieczeństwa (Sicherheitspolizei) i służby bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst). Do ich zadań należało zabezpieczenie realizacji okupacyjnej polityki, zwalczanie ruchu oporu i pacyfikacja terenu. W 1943r. wraz z pojawieniem się oddziałów partyzanckich teren dystryktu uznano za obszar zagrożony wojną partyzancką i siły dotychczasowe wzmocniono oddziałami SS, Wehrmachtu, żandarmarii oraz tzw. Ostgruppen, w marcu 1943 było tu 6 ostlegionów, które liczyły 4000 ludzi na ogół sowieckich jeńców i Ukraińców, używano ich m.in. do ochrony kolei, obław na partyzantów, akcji pacyfikacyjnych.

Ponadto cały czas funkcjonowały różne służby strażniczo – porządkowe (np. Bahnschutz, Forstschutz), była też spora liczba cywilnych Niemców i polska policja granatowa.

### Opór i konspiracja

Powiat jędrzejowski w strukturach ZWZ – AK był 9 Obwodem (w latach 1943 – 1945 kryptonim *Proso*) radomsko – kieleckiego Okręgu o kryptonimie *Jodła*. Składał się z 6 podobwodów podzielonych na placówki – łącznie 14 placówek. Sędziszów stanowił 4 podobwód *Proso* (kryptonim *Niwa* komendantami byli kolejno kpt. *Okszyc* (Piotr Kulawik) i ppor./por. *Nalecz* (Stanisław Gryń)), Składał się z 3 placówek (placówka odpowiadała jednej gminie): *Dwór* – Sędziszów, *Miedza* – Mstyczów, *Nałęczów* – Nagłowice. Sąsiedni o kilka kilometrów Wodzisław był V podobwodem (kryptonim *Łąka*), obejmował placówki *Borek* – Wodzisław, *Piasek* – Nawarzyce, *Woda* - Imielno. Poza oddziałami dywersyjnymi na szczeblu obwodu, w każdym podobwodzie działała grupa dywersyjna, a w każdej placówce patrol dywersyjny. Najważniejszymi akcjami dywersji w Jędrzejowie było zlikwidowanie 31 V 1943r. gestapowca Helmuta Kappa (Ślązak, tłumacz w gestapo, osobiście zamordował 87 Polaków i 365 Żydów) oraz odbicie 2 II 1944 z siedziby gestapo 5 więźniów, żołnierzy AK przez 5 osobowy oddział dywersyjny z Wodzisława. 12/13 czerwca 1942 grupy dywersyjne przeprowadziły akcję w różnych punktach powiatu na urzędy gminne, mleczarnie, gorzelnie, urzędy pocztowe, zniszczono różne spisy kontyngentowe, listy Arbeitsamtu itp. Celem tych działań była ochrona ludności, zdobycie broni (przyjmowano też zrzucone), oddziaływanie na świadomość, służyły temu również ulotki konspiracyjne, lokalna prasa *Wiadomości Tygodniowe* od III.1942 r. z tytułem *W marszu* i dwutygodnik *Jeszcze Polska nie zginęła*. Kolportowano i przerzucano na szeroką skalę centralną prasę podziemną przewożoną przez kolejarzy, ta grupa zawodowa szczególnie odznaczyła się w dywersji Sędziszowskiej. W powiecie działały także BCH, NSZ, PPR – GL.

### Powstanie OP Spaleni

Rok 1943 przyniósł przełom w wojnie; Niemcy przegrują pod Stalingradem, na Łuku Kurskim, tracą Afrykę, alianci lądują na Sycylii. Im większe było niepowodzenie, tym bardziej szalał terror na okupowanych ziemiach, zwłaszcza w Polsce. Miał on tutaj typowe oblicze; masowe aresztowania, egzekucje, pacyfikacje całych wsi. Wielu ludzi, którym udało

się uniknąć lub obawiało się aresztowania musiało się ukrywać - nazywano ich spalonymi, gdyż jak pogorzelnicy nie mieli własnego domu. Powiat jędrzejowski nie stanowił wyjątku. Było tu wielu członków konspiracji, uczestników akcji dywersyjnych, ludzi odbitych z gestapo, zmuszonych do ukrywania się. Niemcy znali ich nazwiska, adresy, byli więc - spaleni. Powstała wówczas koncepcja utworzenia w lasach sędziszowskich uzbrojonego oddziału partyzanckiego, który dałby im wszystkim schronienie i bronił ludność przed obławami i eksploatacją. Po uzyskaniu zgody z okręgu *Jodła*, Komendant główny obwodu (*Proso*) rozkazał utworzyć na terenie podobowu *Niwa* oddział partyzancki, rekrutujący się z żołnierzy AK ocalałych po aresztowaniach. Podstawą instruktażową był dokument opracowany przez szefa Sztabu Okręgu AK ppłk *Żora* (Józef Mularczyk), wg którego oddział powinien być ruchliwy, a więc nie duży, mniej więcej 2 plutony, dowódcą oficer (wyjątkowo podoficer) podległy bezpośrednio dowódcy obwodu, po akcji oddział miał wracać w teren swojej stałej siedziby. Warunkiem istnienia oddziału było zapewnienie zaopatrzenia. Podjęto odpowiednie przygotowania; gromadzono uzbrojenie, mundury, w tej sprawie Stefan Rajski (zaprzysiężony w 1942r do ZWZ – AK, aktywny uczestnik dywersji w Sędziszowie) na rozkaz Komendanta podobowu *Niwa* wraz z kolegami z dywersji przywiózł z Krakowa, z umówionego punktu 25 par butów z cholewami i 42 koce. Mundury kolejarskie i szczęśliwy przypadek pomogły wykonać zadanie mimo ostrej kontroli stacji kolejowych i pociągów przez niemieckich strażników. Pierwsza odprawa leśnego plutonu jędrzejowskiej AK odbyła się 17 kwietnia 1944r. (w niektórych materiałach podawana jest data 18 kwietnia) Rozkaz nr 231 z 24 kwietnia 1944r. inspektora kieleckiego *Jodła* zatwierdził oddział partyzancki obwodu *Proso* o nazwie *Spaleni – Wasz oddział będzie stanowił ramię karzące zbrodniarzy hitlerowskich i ich slugusów, a jednocześnie tarczą ochronną dla ludu polskiego... Tam gdzie się oddział będzie znajdował, będzie zawsze skrawek Wolnej Rzeczypospolitej, a wy będziecie Jej przedstawicielami. Pamiętajcie by ją godnie reprezentować* - tymi słowami komendant *Niwy* porucznik *Nałęcz* na pierwszej odprawie motywował 20 żołnierzy oddziału.

### Stan osobowy i wyposażenie

Dowódcą Oddziału Komendant Obwodu mianował ppor. Rezerwy Wojska Polskiego Stefana Rajskiego, który przyjął w konspiracji ps. *Zryw*. Był to 32 letni urzędnik kolejowy pochodzący z Bochni. Od 1933 pracował jako dyżurny ruchu w Kielcach, a od 1939 w Libiążu. W 1942r. w obawie przed niemieckimi represjami za pomoc w ucieczce więźniów z transportu, podjął pracę na kolei w Sędziszowie jako dyżurny ruchu kolejowej nastawni dysponującej. Mieszkał tu ze swoimi siostrami Marią i Wandą, które opuściły Bochnię zagrożone wywozem na roboty do Rzeszy. Wanda pracowała w kasie biletowo-bagażowej. Siostry były włączone do konspiracji. Po obławie i aresztowaniach jakie dotknęły Sędziszów i okolice z początkiem 1944r., w obawie przed gestapo, opuściły miejscowość. Siostra Maria przeżyła wówczas osobistą tragedię,

w czasie obławy został rozstrzelany przez Niemców jej narzeczony, członek dywersji (z relacji rodziny).

Zastępcą dowódcy i jednocześnie szefem Oddziału mianowano st. sierż. Stanisława Borynia ps. *Tygrys*; przed wojną podoficer zawodowy broni pancernej, uczestnik wojny obronnej 1939r. Po śmierci *Zrywa* przejmie dowództwo nad *Spalonymi*. Pod koniec kwietnia oddział liczył 25 osób, byli to gimnazjaliści (2), rolnicy, rzemieślnicy, kolejarze, 4 podoficerów Wojska Polskiego uczestnicy wojny 1939, 1 elew korpusu kadetów w Rawiczu. Najmłodszy żołnierz miał 19 lat, najstarszy (S. Rajski) 32, pozostali 23 -24 lata. Ostatecznie Oddział rozrósł się do 86 żołnierzy, przez jego szeregi przeszło ponad 100 osób; 24 partyzantów pochodziło z Sędziszowa, 10 z Jędrzejowa, pozostali z dalszych stron, najmłodszy 17 – letni dołączył do *Spalonych* po ucieczce z obozu w Auschwitz, zaś 40 – letni *Senior* był uczestnikiem powstań śląskich. Oczywiście jest, że Ci młodzi ludzie różnili się też temperamentem, talentem do wojaczki, łączyła ich natomiast chęć walki i przywiązanie do oddziału, który zapewniał ochronę i przeżycie partyzanckiej przygody. O ojczyźnie śpiewali w piosenkach. Skrywane uczucia i głęboka patriotyczna motywacja ujawniały się w różnych sytuacjach, jak wtedy 7 lipca gdy Oddział zajął kwatery w lesie w zabudowaniach Piotra Szaleńca, przed wojną żołnierza 24 Pułku Artylerii Lekkiej w Jarosławiu, obrońcy Modlina w 1939 r., niemieckiego jeńca do 1943 r. Gospodarz miał w domu zegar z pozytywką



Wanda i Maria Rajskie

grającą *Hymn Narodowy*. Na prośbę *Spalonych* umieścił ten zegar w stodole, gdzie partyzanci spali. - Oczywiście jest, że do siebie odnosili słowa ... *nie zginęła, kiedy my żyjemy*.

Był w oddziale kucharz, była służba sanitarna, felczer, 6 sanitariuszek – 2 siostry zagrożone aresztowaniem trafiły do *Spalonych* z krakowskiego szpitala wojskowego (niemieckiego) przy ul. Garncarskiej, gdzie przed ucieczką pracowały jako pielęgniarki operacyjne. Środki opatrunkowe i lecznicze zdobywano przez rekwizycje w aptekach. Wg raportu wysłanego 29 czerwca przez komendanta obwodu AK do kieleckiego inspektoratu, oddział liczący wtedy 69 żołnierzy, w raporcie nazwanych strzelcami był uzbrojony w 1 karabin maszynowy, 8 pistoletów maszynowych, 52 karabiny i 12 pistoletów, ponadto miał konie wierzchowe i wozy taborowe. Do oddziału przyjmowano z rekomendacji i po sprawdzeniu kandydatów, gdyż obawiano się prowokatorów i konfidentów.

### Partyzanckie życie

Działalność leśnego oddziału była możliwa dzięki poparciu miejscowych rolników, leśniczych, którzy przyjmowali na kwatery, żywili, przechowywali tabory, dawali podwozy, byli przewodnikami oraz informatorami – płacąc za to – jakże często życiem albo obozem koncentracyjnym. Bez nich, tych na ogół anonimowych bohaterów, oddziały partyzanckie nie mogłyby w ogóle zaistnieć. Przyjmowali *Spalonych* okoliczni ziemianie, *Zryw* pozostawał w towarzyskich kontaktach z właścicielami folwarków w podobwodzie *Niwa* i *Łąka*.

Realia codziennego partyzanckiego życia nazywanego przez żołnierzy *szare dni* to; nieprzespane noce wypełnione

uciążliwymi marszami po leśnych i polnych drogach – miejsca postojów często zmieniano dla bezpieczeństwa - biwakowanie w lesie w chłodzie i wilgoci, kwatery po chłopskich stodołach, gajówkach, kłopoty z higieną, niedojadanie. Problemem były chociażby buty zdzierane szybko i wysłużone mundury. W czasie marszu z jednego krańca powiatu na drugi buty ocierały, ciążyła broń i amunicja, dokuczały wszy, przeziębienia, itp. Na szczęście obyło się bez poważnych ran postrzałowych.

Dowódcy i żołnierze uważali swój oddział za Wojsko Polskie i tak też byli postrzegani. Obowiązywał regulamin wojskowy, mundury - w miarę możliwości polskie - z naramiennikiem, na którym wyszyto znak orła w koronie i nazwę *DW Spaleni* (DW – Dywersja Wojskowa).

Dzień na biwaku zaczynał się odczytaniem rozkazu dziennego, wypełniały go zajęcia: czyszczenie broni, reperowanie odzieży, ćwiczenia, szkolenia; wyznaczone grupy organizowały aprowizację - na ogół przez rekwizycję potwierdzoną przez dowódcę; pełniono nie lubianą służbę wartowniczą. Wieczorem przy ogniskach umilano sobie czas piosenką i pieśnią patriotyczną, do zwyczaju należało odśpiewanie pieśni Adama Kowalskiego *O Boże któryś jest na niebie*. Nie brakło i własnych kompozycji, ułożono nawet pieśń marszową, jej fragment brzmiał: *Idziemy w boje o wolność Polski, my partyzanci niepowstrzymani, dla swej Ojczyzny rany i blizny*. Powstawały też mniej programowe, wesołe i z dumą wyśpiewywano ... *Narobili Szwabom grozy, wywrócili parowozy, dzisiaj głowią się mędrki, co to byli za Jędrki, i skąd ich się tylu mnoży*. Zdarzały się też zabawy z tańcami organizowane przez wieś gdzie wypadał postój albo w folwarkach.

## Akcje

Te były najważniejsze, uzasadniały istnienie oddziału. Przeważały akcje *gospodarcze*, rekwirovano kontyngenty i rozdawano przejęte dobra chłopom, niszczone spisy dotyczące powinności chłopskich wobec okupantów, wywozu ludzi do Niemiec. Rozbrajano strażników (był to łatwy sposób zdobycia broni), karano chłostą wójtów i sołtysów i tzw. kolczykarzy występujących się Niemcom, *likwidowano* agentów, szpiclów. Bezprawie i okrucieństwo władz okupacyjnych, szafowanie najwyższym wymiarem kary oraz zesłaniem do obozu koncentracyjnego, okazywana Polakom pogarda, odbiły się rykoszetem i wpływały na sposób walki z okupantem i ich pomocnikami, a także rodzimymi bandytami, których nie brakowało w warunkach ogólnego rozprężenia. Przyjmowano więc reguły radykalnej i bezlitosnej walki z przeciwnikiem. Dzisiaj trudno zrozumieć tamten czas, chociaż i nasza epoka nie jest wolna od przemocy.

W nocy z 30 IV na 1 V 1944r. na stacji kolejowej w **Sędziszowie** Oddział Dywersji Wojskowej *Spaleni* wykonał zadanie wynikające z planów dywersyjnych Komendy Obwodu *Proso* (Jędrzejów). Celem zadania było zatrzymanie ruchu kolejowego i zdobycie broni. Tę pierwszą większą akcją *Spaleni* przeprowadzili wspólnie z grupami dywersyjnymi z podobwodów *Niwa* i *Łąka*. *Zryw* swoim oddziałem uderzył na tzw. ruch czyli stację kolejową - miał opanować biura, przejąć telegraf i zatrzymać znajdujących się tam niemieckich oraz polskich kolejarzy i inne osoby, a także osaczyć Niemców znajdujących się w oddzielnym budynku. *Tygrys* z 20 żołnierzami z innej grupy miał przebrać dopływ energii elektrycznej, opanować parowozownię,

warsztaty kolejowe, pokoje wypoczynkowe drużyn parowozowych, uszkodzić obrotnicę w parowozowni. Grupa dywersyjna AK z Wodzisławia (*Łąka*) miała zlikwidować niemieckiego naczelnika parowozowni Weimanna. Inna opanować bloki nastawni i uszkodzić mechanizm nastawczy zwrotnic. Zabezpieczenie całej akcji powierzono komendantowi AK *Niwa*, który wszystkie drogi prowadzące do Sędziszowa obsadził grupami dywersyjnymi. Sygnałem do rozpoczęcia akcji były płomienie płonących wiązek słomy na okolicznych dwóch wzgórzach. Akcji nie wykonano zgodnie z planem, gdyż grupa z Wodzisławia uderzyła przed sygnałem i wyłączeniem światła przez ludzi *Tygrysa*, dlatego nie pojmano naczelnika stacji, który miał dobrze zabezpieczone mieszkanie i widząc dywersantów skutecznie bronił się z broni maszynowej. Zajęto budynek stacji, ale spodziewanej tam broni nie znaleziono. Niemcy przewidując polską akcję przed 1 maja przenieśli broń do swoich mieszkań i z tej broni ostrzeliwali się.

Poczyniono natomiast spustoszenie w parku maszynowym i urządzeniach kolejowych, zabrano broń zatrzymanym strażnikom. W sprawozdaniu Wyższego Dowódcy SS i Policji w GG z kwietnia 1944 podano *30 kwietnia na dworcu kolejowym w Sędziszowie zostały zniszczone urządzenia sygnalizacyjne, telegraficzne i aparatura elektryczna. W wyniku ostrzelania zatrzymano pociąg towarowy* (Deutsches Zentralarchiv Postdam, mikrofilm nr 1172).

Kolejną akcją wykonaną również z polecenia komendy obwodu było zabezpieczenie zrzutu na polowym partyzanckim lotnisku **Tarnina** wyznaczonym nad Nidą w rejonie wsi Kotlice – Korytnica niedaleko Pińcowa. Z nieznanых powodów samolot z ładunkiem przeznaczonym na Tarninę i zapowiedziany przez radio nie przyleciał, *zniechęceni, zawiedzeni i zmęczeni nocnym czuwaniem opuściliśmy zrzutowisko* wspominał uczestnik akcji. W nocy 28/29 V oddział skierował się ku Piotrkowicom przeprowadzając po drodze rekonesans w okolicy Tarnoskały oraz wywiady wśród mieszkańców. Podczas pobytu w rejonie *Tarniny* został bowiem powzięty zamiar wykonania *skoku* na niemiecki posterunek obserwacji lotniczej na folwarku w Tarnoskałe graniczącej z Piotrkowicami, inspiracją był rozkaz *Żora* (B. Hillebrandt *Partyzantka na kielecczyźnie 1939 – 1945 W – wa 1975 s. 301/2*, spodziewano się też ważnej dla oddziału zdobyczy: broni, amunicji, mundurów. Posterunek znajdował się na szczycie wzgórza w jednym z murowanych budynków wchodzących w skład pałacowego zespołu z XVIII wieku. Kilkunastu Niemców z obsady posterunku panowało nad okolicą zasięgiem obserwacji i ogniem swojej broni. Bezpośredni atak nie wchodził w rachubę, *Zryw* chciał uniknąć strat własnych i śmierci Niemców – gdyż to mogło spowodować odwet, na czym ucierpiałaby ludność Piotrkowic. Na podstawie informacji z terenowego wywiadu opracowano plan zajęcia posterunku tzw. sposobem, od wnętrza budynku. Należało w nocy podejść niepostrzeżenie pod budynek (na dachu budynku czuwał Niemiec) i piwnicznym okienkiem dostać się do piwnicy, przecześć tam do rana, i kiedy pootwierane zostaną wszystkie drzwi - uderzyć na Niemców. Cenne były więc zdobyte informacje o porządku dnia załogi, rozkładzie pomieszczeń, okienku do piwnicy, a nawet taki szczegół, który stopień schodów prowadzących na piętro skrzypi pod butami. W akcji uczestniczyło 9 ochotników; m.in. dowódcy *Zryw* i *Tygrys*, dwaj przedwojenni oficerowie Wojska Polskiego *Pocisk* i *Czołg* oraz bracia *Strzała* i *Orzeł* – synowie nauczyciela Wesołowskiego z Korytni-

cy w gminie Sobków byli partyzanci leśnego oddziału *Barabasz* z kieleckiego obwodu AK. To oni nawiązali kontakt ze *Spalonymi* i namawiali usilnie *Zrywa* do skoku na Tarnoskałą. Pozostali członkowie 25 osobowego oddziału ukryci w folwarcznej stodole mieli czekać rozkazów i w razie potrzeby wesprzeć *szturmową grupę*. Była to akcja godna cichociemnych. Plan sprawdził się. Opanowanie budynku trwało kilka, kilkanaście minut (wg relacji), Niemców z terroryzowano, żołnierz posterunku, który okazał się Czechem wskazał partyzantom jak zniszczyć aparaturę i gdzie znajdują się granaty. Meldunek nr 41 z 24 maja 1944 wysłany przez komendanta obwodu *Proso* do *Żora* zawiera wykaz zdobyczy. *Oddział Spalonych rozbroił posterunek Luftwaffe koło Piotrkowic pow. Busko, zabrano 1 ckm z 1600 szt. amunicji, 2 pistolety maszynowe MP z 100 szt. amunicji, 4 Kb, 4 szt. broni krótkiej, 31 granatów, 7 hełmów, tyleż kompletów umundurowania wraz z obuwem, aparat radiowo – odbiorczy, 1 wóz z kołmi.* (A. Ropelewski „Oddział partyzancki *Spaleni*” wyd. II s. 15). W literaturze Tarnoskałą uznano za jedną z najbardziej głośnych i efektownych akcji przeprowadzonych przez żołnierzy AK Ziemi Jędrzejowskiej.

W drugiej dekadzie maja 1944 *Zryw* otrzymał z komendy obwodu rozkaz przygotowania się do udziału w akcji rekwizycyjnej w Jędrzejowie. Siłami 180 ludzi miano zająć niemiecki magazyn o nazwie *Renisans*, był to budynek dawnego młyna, przechowywano tu dobra przywożone z Europy Wschodniej i Rosji. Akcja chociaż ryzykowna - w mieście stały znaczne siły wroga, 545 Niemców różnych formacji w tym 150 Ukraińców oraz 70 cywilnych Niemców – została przeprowadzona z powodzeniem. 9 czerwca 1944 roku pod *Kazinami* *Zryw* przeprowadził akcję odwetową. Wywiad komendy *Proso* tak przedstawił wydarzenie ... *7 ludzi pod dowództwem Zrywa komendanta grupy C (oznaczenie Spalonych) rozbroiła 7 Niemców z Akcyzy Tytoniowej na szosie Wodzisław – Sędziszów między Kazinami i Zielonkami. Podczas akcji zostało zabitych 4 Niemców a 2 rannych, 1 zmarł. Niemcy mieli wszyscy broń krótką i 3 karabiny. Niemcy Ci strzelali do dzieci z Potoka, w parę dni później Niemcy na tym samym miejscu rozstrzelali 10 osób.* (P. Ropelewski – „Oddział partyzancki *Spaleni*” s. 66).

*Tygrys* w tej sprawie podał, że zabici Niemcy skazali wielu chłopów na obóz koncentracyjny za nieoddawanie kontyngentu. Przedstawił akcję jako brawurową, przeprowadzoną, na wiadomość z miejscowej placówki, że owi Niemcy jadą bryczkami do stacji Sędziszów. Wówczas *Zryw* z 5 żołnierzami wasągiem dopędził Niemców, wjechał między bryczki rozdzielając je, gdy Niemcy chcieli chwycić za broń oddano do nich mordercze strzały, zabrano broń, dokumenty i czapki.

Ostatnim zadaniem *Spalonych* wykonanym pod dowództwem *Zrywa* z rozkazu Komendy Obwodu było ubezpieczenie szkolenia saperskiego w dniach 24 i 25 czerwca pod *Dzierążnią* (pow. Jędrzejów). W szkoleniu uczestniczyło 180 osób, jeden z uczestników po latach wysoko oceniając poziom szkolenia podkreślił, że spotkał tam wielu kolegów gimnazjalnych i wy-

powiedział się również pozytywnie o oddziale *Spalonych* i jego dowódcy (A. Ropelewski „Oddział ...” wyd. II s. 101 – 102).

### Ostatnia potyczka

Czerwiec 1944 przynosi Niemcom potężne ofensywy przeciwników, dnia 23 Rosjanie rozpoczynają operację *Bagration* na Białorusi. GG położona na tyłach obrony niemieckiej zostaje nasyciona wojskiem, wzrasta ruch niemieckich pojazdów na szosach. Podejmowane są wielkie oblavy na oddziały partyzanckie (np. Zamojszczyzna). Dobra passa *Spalonych* nagle się kończy.

*Zryw* zginął w czasie oblavy 8 lipca 1944 w rejonie Piotrkowic w chwili ostrzału w pobliżu gajówki w osadzie Sadki. Po odejściu Niemców *Tygrys* kazał sprowadzić z lasu ciało poległego Dowódcy. Ci, którzy wykonywali ten rozkaz opowiedzieli, że ujrzeli go leżącego na wznak pod dębem, na którego korze widać było wyraźnie miejsca uderzenia pocisku, *Zryw* miał mały ślad kuli na czole. Czapka leżała obok. Niemcy zerwali mu z lewego rękawa znak naramienny oddziału, zabrali buty i onuce zrobione z hitlerowskiej flagi ze swastyką. Zegarka ze złotą dewizką nie znaleziono. Partyzant *Jastrząb* podnosząc zwłoki chciał podtrzymać je ręką za głowę, wtedy poczuł, że palce weszły mu do wnętrza czaszki – niemiecki pocisk rozerwał potylicę. Pogrzeb odbył się nocą 9/10 lipca w Tarnawie k/Sędziszowa. Sędziszowska grupa dywersyjna była odpowiedzialna za ubezpieczenie partyzanckiego pogrzebu.

Pani Janina Jakacka, członek AK, tak zapamiętała pożegnanie dowódcy DW *Spaleni* – Stefana Rajskiego (A.R. „Oddział ...” s. 127) *Była piękna noc księżycowa, godzina 23 – 24. Słysimy ścieżkami, z dala od szosy, na cmentarz w Tarnawie z wieńcem pełnym róż... Na cmentarzu snuło się sporo postaci, każdy chciał być niewidoczny... Ludzi było co najmniej około stu. W pewnym momencie dał się słyszeć*

*z dala turkot wozu, na którym prawdopodobnie przywieziono ciało. Przed bramą ustawił się szpaler z członków oddziału i chłopaki wnieśli trumnę. Przyprawiono też konia Zrywa. Otwarto trumnę. Zryw był w mundurze oficera, w białych rękawiczkach, a na piersi miał krzyżyk drewniany. Wrażenie było ogromne – podniósł się wielki szloch uczestników pogrzebu... kwiatów było sporo. Pożegnał Zrywa jego zastępcę *Tygrysa* przyrzekając walczyć aż do zwycięstwa – oddział prezentował broń, ale też nie opanowali, płakali wszyscy. A oto słowa *Tygrysa* *Panie Poruczniku! Melduję posłusznie oddział Spalonych gotów do odmarszu. Idziemy walczyć z Niemcami, aż do zwycięstwa. Twój duch będzie zawsze z nami.**

Po kilku akcjach sabotażowych, w sierpniu *Spaleni* weszli w skład formowanego Jędrzejowskiego Pułku Piechoty AK. Rozwiązanie Armii Krajowej przyniosło ostatecznie finał partyzanckiej przygody żołnierzy DW *Spaleni*.

### Spolaryzowane opinie

Ppor. Stefan Rajski uznawany jest za zasłużonego członka dywersji jędrzejowskiej, człowieka bardzo odważnego, zdecydowanego w działaniu, który stworzył silny oddział partyzancki stanowiący liczącą się siłę bojową.



Stefan Rajski „Zryw”

Autorzy opracowań o oddziale *Spalonych* podkreślają, że bił Niemców spełniając *społeczne zapotrzebowanie*, gdyż młodzi ludzie rwali się do walki, tępił pospolitych bandytów, szpiclów i donosicieli, służalców niemieckich. Dla wiejskiej ludności był jej obrońcą i *reprezentantem Wolnej Polski i jej Wojska* (chłopi przychodzili do *Zrywa* z prośbami by rozstrzygał ich spory graniczne).

Krytycy zarzucali mu ryzykanctwo, chęć imponowania, pewność siebie z zaniedbaniem zasad bezpieczeństwa. Nie był zbyt subordynowany wobec przełożonych - Należy zauważyć, że wśród dowódców oddziałów partyzanckich, dążenie do niezależnych decyzji nie było czymś wyjątkowym.

W 1974 w miejscu śmierci *Zrywa* postawiono okazały kamienny obelisk, w 2008 roku w Sędziszowie odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika *Spalonych* i jego dowódców.

### Wodzisław 27 czerwiec 2009

*W hołdzie poległym, z dedykacją potomnym, z myślą o Polsce*

Oto motto uroczystości w Wodzisławiu zorganizowanej na okoliczność 65 rocznicy bohaterskiej śmierci ppor. Stefana Rajskiego *Zrywa*, pamięci jego żołnierzy i ofiar II wojny światowej poległych na Wodzisławskiej Ziemi. Organizatorami uroczystości byli: Wójt Gminy Wodzisław, Parafia p.w. św. Andrzeja w Nawarzacach, Oddziały ŚZZ AK i BCH w Wodzisławiu, Stowarzyszenie Miłośników Piotrkowic i Towarzystwo Przyjaciół Wodzisławia. Niestety ulewne deszcze, które w tych dniach nękały niemal całą Polskę uniemożliwiły leśne spotkanie przy pomniku *Zrywa* i rocznicowe święto niespodziewanie odbyło się w kościele w Nawarzacach. W ostatnich latach na zewnętrznych murach tej barokowej świątyni zapisano wydarzenia, które wraz z treścią aktualnej uroczystości układają się w rozdział niełatwej i jakże polskiej historii lat wojny i po wojnie, historii społeczności tu żyjącej. Czy te wydarzenia były wyjątkowe? Z pewnością nie – gdyż takie działy się wszędzie w Polsce – tylko, że ich uczestnicy związani są z Tą ziemią.

Jedną z tablic upamiętnia dzień 15 sierpnia 1946 r. kiedy w *Dniu Świątce* sztandaru Zarządu Gminnego PSL doszło do tragicznej prowokacji UB z Jędrzejowa. Drugą tablicę poświęcono *Pamięci wykładowców i studentów tajnych kompletów kursów uniwersyteckich prawa w czasach okupacji hitlerowskiej... zorganizowanych w Nawarzacach pod patronatem KUL*. W tłumnym zgromadzeniu w kościele widoczne były przedwojenne mundury wojska polskiego – to byli żołnierze AK okręgu Kieleckiego, szare mundurki harcerzy z hufca im. M. Reja w Jędrzejowie i jego 34 drużyny w Wodzisławiu. Podobnie jak ubiegłego roku w Sędziszowie przy odsłonięciu pomnika *Spalonych*, stanął w kościele szyk sztandarów.

Był obecny poseł na sejm Mirosław Pawlak (PSL), przedstawiciel ZG ŚZZ AK Piotr Kurek, starosta powiatu Jędrzejowskiego Edmund Kaczmarek.

Po zakończeniu pięknej w swej uroczystej liturgii Mszy Św. przypomniano; okupacyjną tragiczną historię Ziemi Wodzisławskiej; żołnierzy DW *Spaleni* – o Nich proboszcz ks. Kuźmierczyk powiedział *skrawek wolnej Polski był w Ich sercu* – ogromny, wspaniały bukiet złożony z maków i bławatów, wypełniający przestrzeń prezbiterium, zdawał się być symbolem tej wdzięczności i uznania.

Na uroczystości do Wodzisławia przyjechała delegacja oddziału bocheńskiego ŚZZ AK na czele z panem Zbignie-

wem Siudakiem i panią Cecylią Dźwigą – żołnierzami AK. Przedstawicielka naszego Stowarzyszenia odczytała list okolicznościowy, który wręczyła p. Syskowi wójtowi gminy, nawiązując do kontaktów Stowarzyszenia i Muzeum bocheńskiego z Sędziszowem i *Rodziną Spalonych*. Z Bochni głos zabrała również pani Maria Hojda - Kycia c. Wandy, siostrzenica *Zrywa*, dziękując za pamięć o wuju mówiła o braciach Stefana, ich wojennych i powojennych losach.

Były wspomnienia i 11 zwrotkowy wiersz złożony specjalnie na wodzisławską uroczystość przez p. Marcina Srokę. Wiersz wzruszał prostotą rymów, dosłownością metafor i porównań, - szczerą pochwałą zasług bohaterskiego dowódcy! Gdy w godzinach popołudniowych, rozjaśniło się p. Sysek zawiózł nas do Sadek, stąd już na piechotę, błotnistym, leśnym duktem, dotarliśmy do pomnika - wraz z innymi delegacjami zapaliliśmy znicze pamięci...

A potem była partyzancka grochówka i rozmowy o dzisiejszych realiach pięknej wodzisławskiej gminy, zagłębiu upraw warzywnych. Zegnani serdecznie już przy słonecznej pogodzie przez Miechów, Słomniki, Proszowice wróciliśmy do Bochni.

*Ewelina Mroczek*

#### Literatura:

A. Ropelewski *Oddział partyzancki Spaleni* wyd. II Toruń 2000

J. Szczepanik *Ocalić od zapomnienia* Wrocław 1985

W. Brzobohaty *Jodła Okręg Radomsko – Kielecki ZWZ – AK 1939 – 1945 PAX* w –wr 1985

Zenon Kowalik – *Monografia oddziału Spalonych*, maszynopis bez tytułu

Artykuły z Gazety Jędrzejowskiej z roku 2000 *Oddział partyzancki Spaleni* autor Z. Białkiewicz

Informacje rodziny

#### Wiersz Marcina Sroki

„Ku czci naszej ojczyźnie i jej bohaterom”

Jędrzejowska Ziemia, ma też bohaterów.  
Takich jak Kościuszko miał swych kosynierów  
Dowódca *Spalonych* Rajski się nazywał,  
A *Zryw* jego pseudo, gdzie trzeba przebywał

Odpłacał się Niemcom za ich okrucieństwa.  
Na czele *Spalonych* wiódł ich do zwycięstwa  
W walce kula wroga skroń jego przeszyla  
A nam wielki smutek po nim zostawiła

Złożył swoje życie drogiej Matce Polce,  
Żeby ją nie kłuły zbyt ciemniowe kolce,  
Podporucznik Rajski, bo tak się nazywał  
Pamięć pozostawił, tam gdzie on przebywał.

Na kartach historii napisać należy,  
Jakim był dowódcą dla swoich żołnierzy  
A my jemu za to zawsze nieugięci  
Zawołajmy chórem, cześć jego pamięci!

A historia o tym niech opowie światu,

**Anna Londo, Maria Langer-Włodarczyk**

## Zwrócona tożsamość Historia dwóch braci

### Zaczęło się w małej miejscowości po Lwowem

Do wybuchu drugiej wojny światowej Maria i Józef Langer mieszkali wraz z dziećmi Kazimierzem, Ottonem, Janiną i Heleną w Kamionce Strumiłowej pod Lwowem. Wiodło im się dobrze, gdyż posiadali duże gospodarstwo, pozwala-



*Rodzina Langerów. Matka Maria z dziećmi. Od lewej Otton, Janina, w środku Helena z prawej Kazimierz.*

jące na prowadzenie dostatniego, godnego życia. Syn Marii i Józefa Kazimierz miał odziedziczyć gospodarstwo, dlatego nie kontynuował nauki po szkole podstawowej, zaś pozostała trójka otrzymała wykształcenie średnie. Gdy wybuchła wojna cała rodzina Langerów oprócz Ottona została wywieziona dnia 22 maja 1941 roku do Kazachstanu, gdzie zostali skierowani do Syrdarii koło Taszkontu do pracy w Sowchozie Pachta Arat. Ponieważ Otton służył w policji konnej, obawiał się, że zostanie aresztowany i nie dołączył do rodziny mimo namowy swojego ojca. Był potem poszukiwany przez NKWD jako szpieg niemiecki i musiał się ukrywać prawie do końca wojny. Najstarszy syn, Kazimierz, niebawem umarł na chorobę zakaźną, a córki, najpierw Janka, później Helena, rozpoczęły poszukiwania stryja - Jakuba Langer, oficera Wojska Polskiego. Z pozostawionych dokumentów trudno wywnioskować jaki był rezultat tych poszukiwań.

### Otton Langer (1913 – 2003)

Otton ukrywał się początkowo w polach niedaleko rodzinnej miejscowości, potem w innych miejscach, w czym pomagały mu pod groźbą utraty życia różne obce osoby.

W 1944 Otton poślubił swoją rodaczkę, Urszulę Bilicką, z którą przybył wkrótce do Bochni i tutaj osiedlili się na stałe. Tak jak wielu innych przesiedleńców pozostawili swoje dobra na wschodzie, a w Polsce musieli zaczynać od początku. Otton podjął pracę w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, w Inspektoracie do Spraw Podatków i tam pracował aż do emerytury. Od dnia zsyłki swoich rodziców i rodzeństwa Otton nie wiedział gdzie zostali zesłani i co się z nimi dzieje. Zaraz po wojnie Polski Czerwony Krzyż intensywnie prowadził poszukiwania zaginionych w czasie wojny rodzin. Pewnego dnia, w rozmowie z kolegą z pracy p. Lupą, Otton dowiaduje się, że jest poszukiwany: „Otek, to chyba twoi rodzice cię poszukują! Słyszałem komunikat PCK!”. Jakaż była radość Ottona gdy pojechał do Krakowa i wiadomość się potwierdziła. Okazało się, że Maria i Józef Langerowie opuścili Kazachstan 8 sierpnia 1942 roku i przez Iran dotarli 19 grudnia 1942 roku do Tangeru w Afryce. 9 czerwca 1948 roku opuścili Tanger i 29 czerwca przybyli do Wielkiej Brytanii, gdzie pozostali do końca swoich dni.



*Na farmie w Tengeru (Tanganika 1942). W górnym rzędzie czwarta z lewej Maria Langer, szósty z lewej Józef Langer.*

### Janina Langer (1918-2001)

W marcu 1942 roku Janina wyjechała z Kazachstanu do Persji (Teheran), a później do Palestyny (Rehovot) i tam, 1 lipca 1942 roku wstąpiła do Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet (P.W.S.K. II Korpusu pod dowództwem Władysława Andersa. Po przeszkoleniu rekruckim otrzymała przydział do I-go Szpitala Wojennego, który później został przemianowany na Szpital Wojenny Nr 5, gdzie pracowała w Kwatermistrzostwie w administracji. Po przejściu szlaku bojowego Irak - Egipt w roku 1944 dotarła do Włoch, gdzie przebywała do 1946 roku. We Włoszech wyszła za mąż za porucznika Adama Lorenza z Kwatery Głównej III Dywizji Strzelców Karpaccich (13 D.S.K.). Z Włoch wyjechała wraz z mężem w sierpniu 1946 roku do Londynu ponieważ tam został przeniesiony jej Szpital. Później Lorenzowie mieszkali poza Londynem, a następnie w 1953 roku zamieszkali na stałe w Lon-

dynie. 28 maja 1949 roku Janina została zwolniona ze służby wojskowej w stopniu kaprala, odznaczona Krzyżem Monte Cassino, Medalem Wojska, Gwiazdą Italii i Medalem Obrony. Mąż Janiny zmarł w roku 1967 w Londynie gdzie został pochowany. Janina wróciła do Polski w 1992 roku w sierpniu i zamieszkała w Bochni wraz z rodziną swojego brata Ottona Langera w domu przy ulicy Garncarskiej a następnie przy ulicy Poniatowskiego aż do śmierci w 2001 roku.

### Helena Langer (1921- 1952)

Prawdopodobnie ten sam szlak i tułaczkę wojenną przeżyła Helena. Janina później relacjonowała ich przypadkowe spot-



*Siostry w namiocie.*

kanie we Włoszech: „Wychodząc z namiotu spostrzegłam sylwetkę kobiety podobną do mojej siostry Heleny. Pomyślałam: toż to Helena i zawałam siostrę po imieniu. Kobieta odwróciła się i... była to moja siostra. Odtąd mieszkaliśmy razem w namiocie i wspierałyśmy się w każdej trudnej chwili”. Helena także była ochotniczką P.W.S.K. i pracowała jako pielęgniarka w I-wszym Szpitalu Wojskowym. We Włoszech, podobnie jak Janina, poznała swojego męża Jana Greczanika spod Wilna, (o por. 18 Lw. Baonu Strzelców Janie Greczani-



*Helena i Jan Greczanikowie*

ku znajduje się wzmianka w książce M. Wańkowicza „Monte Cassino”). Podobnie jak Janina, Helena została odznaczona Krzyżem Monte Cassino, Medalem Wojska, Gwiazdą Italii i Medalem Obrony. Po wojnie zarówno Greczanikowie jak i Lorenzowie wyjechali z Włoch do Wielkiej Brytanii. W 1947 roku urodził się w rodzinie Greczaników syn An-

drzej, po czym wkrótce za namową przyjaciół postanowili opuścić Wielką Brytanię i wyemigrować do Argentyny, by tam rozpocząć nowe życie. W 1952 urodził się drugi syn Józef, który miał zaledwie 2 miesiące gdy rodzinę spotkała tragedia – umiera tragicznie Helena, matka Andrzeja i Józefa, pozostawiając męża z dwójką małych dzieci.

### Rozdzieleni

Jan Greczanik został sam w bardzo trudnym położeniu – z dwoma małymi synami, bez wsparcia rodziny. Nowe życie miało dla niego oznaczać życie pełne wyrzeczeń i smutku. Będąc samotnym ojcem na obczyźnie postanowił oddać star-



*Maria Langer z córką Janiną i synem Ottonem. Anglia 1972*

szego syna do internatu, w którym Andrzej przebywał do lat 16-tu, gdy tymczasem małym Józkiem zaopiekowała się rodzina Henryka i Wandy Semrau. Oto dalsze losy dwóch braci, o których po wielu latach czytamy na stronie internetowej Polonii kanadyjskiej: „Jan Greczanik wraz synem Andrzejem, gdy odwiedzają rodzinę Semrau nie zdradzają Józkiowi rodzinnej sytuacji. W roku 1959 rodzina Semrau decyduje się wyemigrować do Kanady. To musi być druga najboleśniejsza chwila w życiu Jana Greczanika. Żegna się z synem i daje pozwolenie na wyjazd. ... Andrzej, wtedy 12-letni, widzi się ze swoim bratem po raz ostatni. Dokumenty są załatwione, Józef opuszcza Argentynę jako legalny syn Henryka i Wandy Semrau. Korespondencyjne kontakty między rodzinami Greczanik i Semrau z latami stają się coraz rzadsze. W roku 1966 Jan poślubia Eugenię, swoją pierwszą narzeczoną sprzed wojny i sprowadza ją do Argentyny. W roku 1968 Jan Greczanik umiera. Andrzej, mając 21 lat rozpoczyna studia uniwersyteckie i opiekuje się drugą „mamą”. Andrzej pisze do Kanady do brata Józefa, ale listy nigdy nie docierają do jego rąk. Wanda Semrau odpisuje do Andrzeja do Argentyny i prosi, aby się wstrzymał od pisania listów do brata. Przyrzeka, że w odpowiednim czasie wszystko Józefowi opowie. ....Niestety nigdy do tego nie doszło”....

### Tymczasem w Polsce

Po przyjeździe z Wielkiej Brytanii, Janina, jak wyżej wspomniano, zamieszkała w Bochni ze swoim bratem Ottonem i bratową Urszulą oraz z ich córką Marią Langer - Wło-

darczyk i jej dwoma synami. Janina nie była osobą wylewną i niewiele opowiadała o swoich przeżyciach w czasie wojny, stąd historia rodzinna dotycząca jej osoby nie obfituje w wiele szczegółów. Po jej śmierci w 2001 roku, porządkując pozostałe po niej papiery i listy, Maria Langer - Włodarczyk znalazła, oprócz wielu cennych dokumentów, listy swojego kuzyna z Argentyny - Andrzeja Greczanika, które Andrzej pisał do Janiny, gdy jeszcze mieszkała w Londynie. Nie namyślając się długo, Maria napisała do niego list. Po 33 latach był to jej następny list do kuzyna. W liście tym poinformowała go o śmierci cioci Janiny, dołączając wycinek z gazety. Był to nekrolog, który informował o śmierci jego matki, Heleny, a na nim widniał napis „pogrążeni w żalu mąż i dzieci”. W ten sposób Maria próbowała delikatnie zasugerować, że Andrzej ma brata, myśląc, że Andrzej nic o nim nie wie. Kto by pomyślał, że list ten zapoczątkuje nową erę i tak bardzo odmieni życie obu braci.

### Odnalezieni bracia

Wzruszająca jest relacja Józefa Semrau o dniu, w którym wypełniła się nie zapisana karta w jego życiorysie: „Jak dziś pamiętam ten dzień. 15-sierpnia, 2001 roku Grażyna moja żona telefonuje do mnie z wiadomością, że nadszedł list z Argentyny od jakiegoś Andrzeja Greczanika. Pyta się czy znam to nazwisko? Oczywiście odpowiedź jest negatywna: *Grażyna właśnie wybiera się do miasta, ma iść razem ze mną do kościoła....* Po mszy świętej Grażyna pyta mnie czy mógłbym się zwolnić z pracy także i na resztę dnia? Zdziwiony i zmartwiony, pomyślałem, że coś się chyba stało z rodzicami? Nic takiego, odpowiada Grażyna. Wręcza mi list i prosi bym usiadł na ławeczce i spokojnie przeczytał...Czytam ten list i mam łzy w oczach”. Okazuje się, że Grażyna wiedziała przed ślubem od księdza, że jej mąż był adoptowany przez rodzinę Semrau ale przyrzekła, że nie zdradzi tajemnicy.

Można sobie wyobrazić dalszy ciąg tej niezwyklej historii, którą w znacznej części kreśliła wojna. Po otrzymaniu listu z Bochni, Andrzej znów rozpoczął poszukiwania i odnalazł adres Józefa w internecie. Już w październiku 2001 roku Józef poleciał do Argentyny aby uściskać brata. Wanda Semrau zmarła zaraz po pamiętnym dla Józefa dniu 15-tym sierpnia 2001. Zdażył jednak porozmawiać z ojcem, Henrykiem



Bracia Andrzej Greczanik i Józef Semrau.  
Argentyna 2001

Semrau, który potwierdził jego pochodzenie. Przybrany ojciec zmarł w 2004 roku. Józef miał wspaniałe dzieciństwo, był bardzo kochany przez swoich drugich rodziców i nie ma do nich żalu. Obaj bracia przyrzekli sobie solennie, że do końca swoich dni co rok będą się odwiedzać i jak dotąd są konsekwentni. Postępowanie Wandy Semrau tłumaczy fakt, że w czasie zsyłki na Syberię zmarł jej 2-letni wówczas synek

Piotruś z pierwszego małżeństwa. Nie mogąc mieć dzieci, całą swoją miłość przelała na adoptowanego syna - Józefa.

Józef Semrau przyjechał do Polski w odwiedziny w listopadzie 2001 roku. Otton Langer z rodziną przeżyli chwile wielkiego wzruszenia i radości. I pomyśleć, że kilka lat wcześniej Józef przejeżdżał wraz ze swoją rodziną przez Bochnię aby odwiedzić rodzinne strony żony Grażyny (Grażyna pochodzi z Łańcuta) i nie wiedział, że niedaleko mieszka jego wujek Otton z rodziną.

Dzięki relacji kuzyna Józefa z Kanady oraz dzięki zapisom swoich rodziców i ciotki Janiny Maria Langer – Włodarczyk odtworzyła ciekawą historię rodziny swojego ojca Ottona, który przez większą część swojego życia był związany z Bochnią i mieszkał wśród nas. Opowieść ta skłania czytelnika do refleksji nad tym jak bardzo wojna może poplątać ludzkie losy, rozdzielić rodziny i rzucić rozbitków na skraj świata, gdzie często trudno żyć i przeżyć, gdy brak wsparcia najbliższych. Może także warto się zamyślić nad losami wielu takich Bochnian, jak Otton Langer, żyjących i nie żyjących, którzy zmuszeni byli opuścić swoje rodzinne gniazda i tułać się po świecie, ukrywać się, cierpieć głód i strach i walczyć o przetrwanie. *Więcej szczegółów na stronie internetowej: <http://www.tnpolonia.com/dwajbracia.html>*

Całemu Gronu Nauczycielskiemu i Pracownikom I Liceum Ogólnokształcącego im. króla Kazimierza Wielkiego w Bochni, szkoły będącej chlubą wielu pokoleń wychowanków składamy serdeczne życzenia z okazji Dnia Nauczyciela.

Życzymy pomysłności w misji spełnianej dla dobra społeczności Ziemi Bocheńskiej.

Zarząd Główny dziękuje za dotychczasową życzliwą współpracę i pomoc w kolportażu wydawnictwa specjalnego Wiadomości Bocheńskich z okazji wybuchu II wojny światowej. Dziękujemy również za wypożyczanie nam sprzętu elektronicznego do przekazu obrazów na wykładach w Domu Bochniaków i za aktywny udział w kwestii cmentarnej w Dniu Wszystkich Świętych.

Barbara Marszałek (Kraków)

## Wspomnienie o moim ojcu Andrzeju Więcku



Andrzej Więcek urodzony w Łapczycy 22 listopada w roku 1905, syn Józefa i Maryi był średnim z sześciorga dzieci (trzy córki i trzech synów). Ojciec Józef był kierownikiem szkoły w Łapczycy, a później wójtem. Był bardzo surowym i wymagającym ojcem oraz kierownikiem szkoły.

Andrzej ukończył szkołę podstawową w Łapczycy, a gimnazjum ukończył w Bochni. Do gimnazjum chodził piechotą ok. 5 kilometrów. Po zdaniu matury zamierzał studiować medycynę, ale nie było to możliwe ze względów finansowych. Dlatego podjął pracę jako urzędnik na kolei w Bydgoszczy. Tam się ożenił w 1933 roku, z Marią Welz. Miał dwie córki Barbarę i Krystynę. Po pewnym czasie został służbowo przeniesiony do Brodnicy na stanowisko starszego asesora, powrócił służbowo do Bydgoszczy po około dwóch latach. Oprócz wykonywanej pracy pełnił społecznie opiekę nad sierotami i wdowami po kolejarzach organizując dla nich m. in. zapomogi pieniężne. Według relacji matki należał w Bydgoszczy do tajnej organizacji samoobrony Polaków przed Niemcami.

W 1939 roku spędził urlop z rodziną w Jaremczu, nie daleko Stanisławowa, w sierpniu zostawił tam rodzinę, a sam powrócił do Bydgoszczy do pracy. W rejonie Stanisławowa i Lwowa w sierpniu, panował duży niepokój. Jego teść przyjechał do Jaremcza i ostatnim pociągiem całą rodzinę zabrał do Stanisławowa (obecnie Iwano Frankowsk). W tym czasie nie było żadnej łączności z ojcem. Niemcy bombardowali Stanisławów. Którejś nocy w domu zrobiło się głośno, słychać było radosne okrzyki i okazało się, że pojawił się ojciec, zmęczony i wygłodzony. Opowiedział, że gdy Niemcy w Bydgoszczy zaczęli się odgrażać miasto ogarnęła panika wtedy zdecydował się wyruszyć do Stanisławowa do swojej rodziny. Jechał rowerem nocą, omijając osiedla. Opowiadał, że zmęczenie zmusiło go do spoczynku, położył się w lesie na mchu i pod rowerem zasnął. We śnie pojawiła się niezycząca matka, która szarpnęła go za ramię i krzyknęła: „Jędrku wstawaj”. Zerwał się odruchowo wsiadł na rower i odjechał. Za chwilę spadła bomba w tym miejscu, w którym spał.

Gdyby nie wyjechał z Bydgoszczy został by zapewne rozstrzelany 3 września, razem z członkami organizacji do której należał. W Stanisławowie mieszkaliśmy w domu teściów, a ojciec pracował dorywczo fizycznie. Po wkroczeniu Rosjan zostaliśmy zarejestrowani jako obcy (innostrancy). 29 czerwca 1940 roku, w nocy obudziło nas walenie do drzwi i do domu wpadli uzbrojeni w bagnety żołnierze rozkazując się pakować w ciągu jednej godziny. Popędzali rodziców, którzy zupełnie stracili głowę. Babcia dała nam pierzynę, prymus i chleb i pakowała co się dało.

Razem z nami była siostra matki Jadwiga z mężem i trojgiem dzieci w tym z trzymiesięczną córeczką. Wsadzono nas na ciężarowe auto. Był to wczesny ranek i piękny wschód

słońca. Do tego samochodu żołnierze doprowadzali następne rodziny. Zrobiło się tłoczno. Dowieźli nas na dworzec w Stanisławowie, wladowali do ciężarowych wagonów gdzie było już prawie czterdzieści osób. Staliśmy na stacji dwa dni. Nie wolno było wychodzić z pociągu, który był pilnowany przez uzbrojonych żołnierzy. Ojciec to bardzo przeżywał. Przewieźli nas do Lwowa. Na dworcu stały tłumy ludzi i mężczyźni rzucali nam chleb. Młody człowiek chciał podbiec i podać bochenek, ale został zatrzymany bagnetem. W tym czasie nie dawano nam ani jedzenia ani picia.

Pociąg ruszył i w nocy usłyszałam, jak ludzie mówili przerażonym głosem, że przejeżdżamy granicę Polski. Jechaliśmy prawie cały miesiąc w ciasnocie i brudzie. Zamiast toalety była dziura w podłodze. Postoje były tylko w nocy. Z hukiem otwierano drzwi wagonu, wstawiano wiadro z jakąś zupą i drugie z gorącą wodą. Drzwi zamykano i zaryglowywano. Czasem w czasie postoju ojciec próbował zdobyć cokolwiek do jedzenia na polach. Było to dość ryzykowne, bo pociąg mógł ruszyć w każdej chwili bez ostrzeżenia i wtedy musiał w biegu wskakiwać do wagonu. Pierwszy postój zorganizowano nam koło Archangielska. Mieszkaliśmy w jakimś baraku, a ojciec dźwigał belki z łądu na barkę, a my przenosiliśmy małe kloce. Zapłata za to były słone śledzie z beczki.

Po kilku dniach ponownie nas załadowano do pociągu, jechaliśmy około tygodnia i nagle w szczerym polu zostaliśmy pozostawieni sami sobie. Było to pole po żniwach, ojciec chodził po polu i szukał kłosów, ale były tam tylko łuski po kłosach. W niedługim czasie wsadzono nas na barkę i płynęliśmy po szerokiej rzece i po pewnym czasie barka dobiła do brzegu, kazano nam wysiąść i „urządzić się” (!). Padał deszcz i ojciec z gałęzi zrobił szałas. Spędziliśmy tam noc i następnego dnia zaprowadzono nas do nowych domków bez żadnego wyposażenia, nawet nie było słomy do spania. Natomiast na podłodze było dużo suszonych borówek, które przypuszczalnie zostawili nasi poprzednicy. Poszliśmy do lasu z nadzieją, że znajdziemy coś do jedzenia, ale były tylko borówki, a do tego zaatakowały nas chmary komarów.

Po jednym dniu pobytu w tym miejscu doprowadzono nas na stację kolejową i jechaliśmy teraz w wagonach towarowych kilka dni, aż dotarliśmy do miejscowości Mariakówka. Zamieszkaliśmy w barakach, gdzie były prycze, drewniana balia i piec. Tu zastała nas zima. Ojciec pracował w lesie. Po tygodniu wracał do domu. W rezultacie odmroził sobie twarz. Żona długo nacierała mu twarz aby ją uratować. Były duże mrozy i nie wolno nam było wychodzić z baraku. Wodę ojciec czerpał z ogromnej, oblodzonej studni. Wiadro spuszczał na sznurze, a my baliśmy się aby nie wpadł do niej. Za pracę w lesie otrzymał trochę mąki i cukru. Mama zrobiła tzw. „lepieszki” – mąka z wodą i pieczone na blasze pieca. Tak dotrwaliśmy do Wielkanocy 1941 roku

Z Mariakówki dalsza podróż odbywała się statkiem płynącym po rzece. Dotarliśmy do jakiejś miejscowości (nazwy nie pamiętam). Baraki były w lesie. Tutaj ojciec nadal pracował przy wyrębie lasu. Pamiętam, że zabrał mnie do stołówki i dał mi swoją porcję zupy, musiał przy tym wyjaśniać robotnikom,

ze jestem jego córką. Co jakiś czas była obowiązkowa łaźnia („bania”) koedukacyjna, wszyscy razem. Odzież oddawano się do odwyszawiania. Z łaźni wychodziło się do zimnej ubieralni, gdzie oddawano nam odzież, która była już bardzo zniszczona. Ojciec miał nogi owijane szmatami i gazetami, bo buty już się rozpadły.

Któregoś dnia ojciec i ja poczuliśmy się źle i poszliśmy do lekarza(?), który stwierdził, że nam nic nie dolega mimo iż bolały mnie bardzo uszy.

Znowu przewieziono nas do Kazachów, którzy mieszkali w jurtach z piecami, którymi były głębokie doły. Wszyscy siedzieli wokół i grzali się. Kazacy byli przyjaźnie do nas nastawieni i wszystkich Polaków zaprosili na przyjęcie z okazji urodzenia się syna. Były kotły pełne tłustej baraniny i placki. Nie byliśmy tam jednak długo. Dalej jechaliśmy przez pustkowia wozami zaprzężonymi w woły. Wszędzie było szaro. Dzieci siedziały na wozie, a rodzice szli obok. Po jakimś czasie zauważyliśmy na horyzoncie jakieś chaty. Przywitał nas krzyż i cmentarz. Był to kołchoz „Krasnaja Niwa” niedaleko Tomska. Wprowadzono nas do świetlicy, na oknie były okruszyny chleba, które ojciec zebrał i podzielił między dzieci. Naczelnik wyznaczył nam miejsca u jakiegoś gospodarza w wybielonym kurniku. Na środku były prycze z desek i trochę słomy. Zrobiliśmy mały ukryty w kącie ołtarzyk przy którym, bardzo często, modliliśmy się, nie zależnie od pory dnia. Ojciec pomagał gospodarzowi rąbać



drzewo. Gospodyni dała nam za to trochę mąki na placki. Po za tym ojciec pracował w lesie, matka w kołchozie. Pamiętam, że na moje imieniny ojciec dał mi zarobione landrynki. Odzież mieliśmy bardzo pniszczoną,

Usiłowano nas dać do szkoły rosyjskiej, ale Ojciec podał niższy nasz wiek i skierowano nas do „dietsatka” (rodzaj przedszkola), w którym były niemowlęta i nastolatki.

Gdy gen. W. Sikorski zaczął organizować Wojsko Polskie, ojciec otrzymał wezwanie z obietnicą, że rodziną zaopiekują się przedstawiciele WP. Ojciec i dwaj inni Polacy (Franciszek Trzaska, Piątkowski) otrzymali kufajki, walonki i opiekę trzech Rosjan. Ojciec wychodząc z kurnika pożegnał się z nami słowami: *Żegnajcie moje biedne sierotki*. Wszyscy bardzo wtedy płakaliśmy. Za wsią, jak opowiedzieli nam świadkowie, eskorta zabrała im wszystko co dostali na drogę. Ojciec dotarł do miejsca zgrupowania (Czok-Pak) i stamtąd napisał do nas list, że mieszkają w namiotach na śniegu. Warunki były skrajnie ciężkie. Pan Piątkowski, który z nimi wyruszył wrócił do kołchozu i opowiedział o przerażającej sytuacji i dużej śmiertelności z powodu chorób zakaźnych i zimna. On właśnie przyniósł nam wiadomość, że Ojciec zmarł tam 20 marca 1942 roku w wyniku zapalenia płuc. Dziesięć dni wcześniej zmarł Franciszek Trzaska.

*Barbara Marszałek z d. Więcek*

**Mieczysław J. Jagła, Zbigniew Siedlarz (Niepołomice)**

## Turystyczny szlak żeglugowy? Kraków-Uście Solne

*W sobotę 17 października b.r. odwiedził nasze Stowarzyszenie pan Zbigniew Siedlarz przedstawiciel Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Niepołomickiej z propozycją współpracy w sprawie podjęcia działań, których ostatecznym efektem może być uruchomienie turystycznego szlaku żeglugowego na Wiśle na trasie Kraków-Niepołomice-Uście Solne. Można to będzie osiągnąć przez budowę stopnia wodnego „Niepołomice” i stopnia wodnego „Podwale” pod Nowym Brzeskiem. Ten ambitny plan, któremu Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Niepołomickiej patronuje od wielu lat zyskał ostatnio nie tylko przychylność, ale duże zainteresowanie władz państwowych i samorządowych. Po przeczytaniu tego artykułu P.T. Czytelnicy zorientują się jak bardzo wielopłaszczyznowy jest to pomysł i jak duże efekty, nie tylko turystyczne może on przynieść w przypadku zrealizowania tej inwestycji z unijnych pieniędzy. Nasze Stowarzyszenie w pełni popiera działania bliskiego nam, z wielu względów, Stowarzyszenia. Liczymy na spotkanie w tej sprawie zarządów obu Stowarzyszeń, tym bardziej, że kilka lat temu pan Andrzej Pacuła z Bochni przedstawił nam turystyczny projekt wykorzystania Raby i Wisły do promocji bocheńskiej soli i watorów podziemnej kopalni soli.*

Tuż za granicami Krakowa w widłach Wisły i Raby na Nizinie Krakowsko-Sandomierskiej rozciąga się Puszcza Niepołomicka, dzięki której powstało miasto Niepołomice. Drzewostany puszczy pochłaniają zanieczyszczenia przemysłowe, stanowią osłonę przed hałasem i wibracjami, oraz łagodzą klimat w regionie. Las ten od wielu lat zwany jest „Zielonymi płucami Krakowa”, jest to atrakcyjne miejsce rekreacji i wypoczynku dla mieszkańców Krakowskiego Obszaru Metropolitalnego.

Aż do końca XVIII wieku królowie polscy przyjeżdżali tu na wypoczynek i polowania. Oczywiście dziś już nie urządza się polowań na taką skalę, ale w to miejsce zaczęła wnikać turystyka. Wzdłuż i wszerz Puszczy Niepołomickiej poprowadzone zostały turystyczne szlaki piesze, rowerowe i konne. Natomiast Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Niepołomickiej pragnie dodać do tych szlaków turystycznych kolejny szlak: **turystyczny szlak żeglugowy**.

Wydaje się, że rzeka Wisła i związana z nią szeroko pojęta żegluga śródlądowa ma raczej luźny związek z Puszcza Niepołomicka, a jeszcze mniejszy z Bochnią. Należy przypomnieć, że rzeka Wisła była najstarszą arterią komunikacyjną i handlo-

wą w Polsce pozwalającą na transport dóbr: zboża, soli, drewna budowlanego, produktów drewnopochodnych, węgla itp. Dzięki niej następował rozwój społeczny i ekonomiczny nadwiślańskich miejscowości, znajdowały się przy nich porty, przystanie lub nabrzeża do których przybijały wiślane jednostki pływające. Składy solne dla bocheńskiej soli znajdowały się w Uściu Solnym nad rzeką Rabą, które na początku XIX wieku przeniesiono do Świniar nad Wisłą.

Natomiast Niepołomice były ważnym punktem na trasie wiślanego szlaku żeglownego, istniało tu nabrzeże przeładunkowe do którego w 1858 roku poprowadzono linię kolejową. Powstał węzeł żeglugowo – kolejowy. Głównym celem wybudowanego toru kolejowego o długości prawie 6 km łączącego Podłęże z Niepołomicami było połączenie wielickiej kopalni soli z portem na Wiśle skąd odprawiano na północ galary z solą. Istniała też przystań dla statków pasażerskich, które regularnie kursowały do połowy lat 60-tych XX wieku z Krakowa do Koszyc i dalej do Sandomierza.

Zmienność stanów wody i liczne przeszkody naturalne utrudniały gospodarce korzystanie z Wisły, zmuszały do prowadzenia kontynuowanych do dziś kosztownych robót hydrotechnicznych. Meandrowanie rzeki oraz erozja brzegów Wisły szkodziła nie tylko żegludze, ale zmieniając granice własności powodowała znaczne szkody gospodarcze.

Pierwsze prace regulacyjne w Małopolsce zostały wykonane już we wczesnym średniowieczu, wielkim nakładem pracy wytyczano nowe koryta rzeki, odcinano i zasypywano starorzecza, na pozyskanych terenach rozwijało się osadnictwo. Kompleksowe prace nad uregulowaniem koryta rzeki Wisły zostały rozpoczęte na początku XIX wieku, prowadzone one były głównie na potrzeby obrony przeciw powodziowej oraz na potrzeby żeglugi śródlądowej. Regulację Wisły na odcinku od ujścia Przemszy do Krakowa wykonano między innymi za pomocą przekopów przecinających wiślane meandry. Przekopy zwiększyły lokalnie spadek i prędkość wody co przyczyniło się nasilenia procesu erozji dennej. Na początku XX wieku w samym Krakowie zwierciadło wody obniżyło się o ok. 2,5m.

Regulacja Wisły poniżej Potoku Kościelnickiego w rejonie Niepołomic polegała głównie obok przekopów, na stosowaniu tam równoległych na brzegach wklęsłych i tam poprzecznych na brzegach wypukłych, natomiast na przejściach stosowano obydwie typy budowli. Były to budowle faszynowo – kamienne. Skutek robót przestały się tworzyć odsypiska między tamami oraz nie tworzyły się zatory lodowe.

Wykonane budowle regulacyjne w korycie rzeki zasadniczo spełniały swoje zadanie do końca lat 80 XX wieku. Szlak żeglowny pozwalał wtedy na poruszanie się barek o ładowności 200-300 ton i zanurzeniu do 1m. Obok prac regulacyjnych zaczęły powstawać projekty tak zwanej kanalizacji czyli zabudowy stopniami wodnymi koryta Wisły od Oświęcimia w dół rzeki. Jednak dopiero po II wojnie światowej rozpoczęto prace nad budową tzw. Kaskady Górnej Wisły. Dotychczas na Wiśle powstało sześć spiężeń: w latach 1949-1961: „Przewóz”, „Dąbie”, „Łączany”, zaś w latach 1976-2003: „Kościszko”, „Smolice”, „Dwory”.

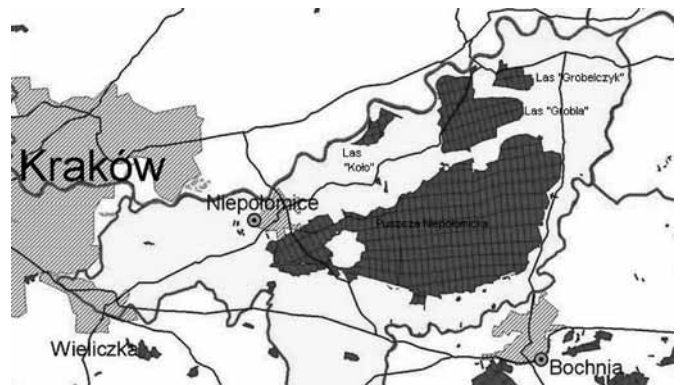
Droga Wodna Górnej Wisły zaczyna się przy ujściu rzeki Przemszy do Wisły; znajduje się tam kilometr „0” rzeki żeglownej, a dosłownie kończy się na stopniu wodnym Przewóz, usytuowanym w 92,150 km szlaku żeglownego. Każda budowla poprzeczna w korycie rzeki powoduje zatrzymanie wleczonego rumowiska w obrębie górnego stanowiska oraz jego nadmierne unoszenie bezpośrednio poniżej.

W wyniku postępującej erozji za stopniem wodnym „Przewóz”, który jako pierwszy w 1954 roku został oddany do eksploatacji, obniżyło się dno, praktycznie uniemożliwiając żeglugę w dół rzeki. Dodatkowo proces erozji dennej został przyspieszony **rabunkowym poborem kruszywa z dna rzeki w latach 1945-89 oraz z uwagi na plany budowy stopnia wodnego „Niepołomice” nie wykonano zabezpieczeń przeciw erozyjnych dna i brzegów rzeki Wisły.**



Fot. M. J. Jagła Wrota śluzy „Przewóz” od strony wody dolnej.

Głębokość wody za progiem głowy dolnej śluzy „Przewóz”, zamiast projektowanych 250cm spada do 0 cm, przeważnie zwierciadło wody dolnej układa się na poziomie nawet niższym od dna śluzy. Na odcinku rzeki Wisły od stopnia wodnego „Przewóz” aż do ujścia Raby z powodu obniżania się dna ( erozji dennej ), a co za tym idzie też lustra wody w rzece, wystąpiła tak zwana „płycizna Niepołomice”. Szacuje się, że zwierciadło wody w rzece Wiśle na omawianym odcinku obniżyło się o ponad 4 m w stosunku do lat 50 XX wieku.



Erozja denna w rzece Wiśle ma bardzo niekorzystny wpływ na zasoby przyrodnicze Puszczy Niepołomickiej. Bezpośrednio przy Wiśle znajdują się trzy odosobnione części Puszczy Niepołomickiej; las „Kolo” pow. 200 ha ( w tym rezerwat „Kolo” pow. 3,49 ha), las „Grobela” pow. 1500 ha ( w tym rezerwat „Lipówka” pow. 25,73 ha oraz rezerwat wodny „Wiśliko Kobyle” pow. 6,7 ha ), las „Grobela” pow. 300 ha. Lasy te wchodzą w skład Europejskiej Sieci Ekologicznej NATURA 2000.

Obszary te z powodu drastycznego obniżenia się wód gruntowych na wskutek między innymi postępującej erozji dennej w rzece Wiśle narażone są na długie okresy posuszy i utratę dotychczasowego charakteru lasu podmokłego. Powoli zanikają śródleśne bagna i małe rozlewiska, natomiast torfowiska na wskutek odwodnienia ulegają degradacji. W lasach tych zaob-

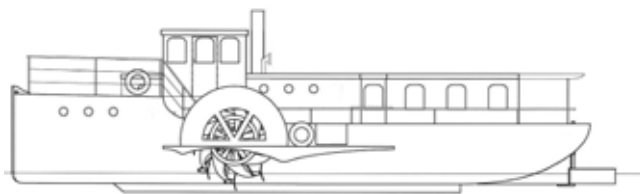
serwowano zjawiska obumierania takich gatunków drzew jak jesion i dąb, wiązane są one z niedostatkami wody. Te niezwykle bogate ostoje przyrody zagrożone są wyschnięciem. Poziom lustro wody w rzece Wiśle ma bezpośredni wpływ na poziom wód gruntowych na obszarach przyległych do rzeki. Dostrzeżono już postępujący proces wysychania i zarastania szczególnie cennego ścisłego rezerwatu wodnego „Wiślisko Kobyle”. Rezerwat znajduje się w starorzeczu Wisły w lesie „Grobla”, liczy on 1,5 km długości i 30-50 m szerokości. Jest on (był?) ważnym obszarem wodno-błotnym w Puszczy Niepołomickiej.

Zarastanie rezerwatu nie jest spowodowane naturalną sukcesją ekologiczną prowadzącą do jego wypłylenia i lądowania, lecz jest następstwem obniżania się poziomu lustra wody w starorzeczu na skutek obniżania się poziomu wód gruntowych.

Skutecznym rozwiązaniem prowadzącym do zahamowania postępującej erozji rzeki na omawianym odcinku oraz poprawy i ustabilizowania warunków gruntowo-wodnych na terenach przyległych do Wisły jest budowa stopnia wodnego „Niepołomice” oraz stopnia wodnego „Podwale” pod Nowym Brzeskiem.

Na skutek kryzysu lat 80-tych XX wieku zaawansowane już prace przygotowawcze nad budową stopnia wodnego „Niepołomice” zostały przerwane.

Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Niepołomickiej podjęło się działań na rzecz budowy w/w stopni wodnych i szeroko rozumianej rewitalizacji rzeki Wisły w Małopolsce. W celu przypomnienia i odtworzenia pięknych tradycji żeglugi śródlądowej w rejonie Niepołomic Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Niepołomickiej chce wybudować mały, bocznoładowy statek pasażerski, który swoim wyglądem i rozwiązaniami technicznymi będzie nawiązywał do statków, jakie kiedyś pływały po Wiśle.



Projekt Stefan Ekner

Statek wg projektu ma zanurzenie 40 cm, niestety na skutek erozji dennej za stopniem wodnym „Przewóz” stan szlaku żeglownego w Niepołomicach nie pozwala na eksploatację nawet takich jednostek pływających. Z powodu erozji dennej za stopniem wodnym „Przewóz” została przerwana ciągłość liniowa Drogi Wodnej Górnej Wisły. Bez realizacji budowy stopnia wodnego „Niepołomice” i w dalszej kolejności stopnia wodnego „Podwale” nie ma możliwości otwarcia czy wręcz odtworzenia drogi wodnej z i do Krakowa nawet na potrzeby ruchu turystycznego.

Od tych inwestycji zależy czy rzeka Wisła poniżej Krakowa będzie ulegać dalszej postępującej degradacji i zapomnieniu. Stopnie wodne wyposażone w funkcjonalne przepławki dla ryb, ekologiczne budowle regulacyjne z narzutu kamiennego i faszyny oraz elektrownie wodne wykorzystujące potencjał energetyczny zgromadzonej wody, nie są zagrożeniem dla środowiska naturalnego.

Przyszłe stopnie wodne na rzece Wiśle pomimo spowodowania trwałych przekształceń środowiska, korzystnie będą oddziaływać na poprawę stanu jakościowego środowiska przyrodniczego. Zostanie powstrzymana erozja dennej oraz nastąpi zwiększenie retencji dolinowej rzeki Wisły. Wysokość piętrzenia tych stopni wodnych będzie mieściła się w obrębie dość głęboko wyerodowanych brzegów rzeki. Dodatkowo przy stopniach wodnych zainstalowane zostaną przepływowe elektrownie wodne o mocy ok. 3 MW każda. Polska ma zobowiązania, które musi wypełnić w zakresie przedsięwzięć wykorzystania Odnawialnych Źródeł Energii i w zakresie ochrony powietrza.

Należy podkreślić, że Niepołomice położone są w strefie podmiejskiej Krakowskiego Obszaru Metropolitalnego, dla jego mieszkańców bardzo atrakcyjna jest Puszcza Niepołomicka. Duży ruch turystyczny powoduje niestety szkody we florze i faunie, las ten jest zbyt mały na taką liczbę odwiedzin. Nadleśnictwo Niepołomickie nie planuje ludziom w żaden sposób ograniczać dostępu do tego pięknego kompleksu leśnego.

Niewątpliwie propagowanie uroków rzeki i miejsc nad nią leżących oglądanych od strony wody przyczyni się do ograniczenia presji ze strony turystyki na Puszcę Niepołomicką, dzięki czemu zasoby przyrodnicze Puszczy Niepołomickiej zostaną zachowane dla przyszłych pokoleń.

Ruch na rzece będzie wpływał na procesy integracyjne miejscowości nadwiślańskich i zachęci do wspólnych ponad lokalnych przedsięwzięć. Turystyka wodna wszędzie generuje dochód i warto zaangażować się w tworzenie warunków do jej rozwoju. Dzięki temu rzeka nie będzie traktowana przez nadwiślańską ludność jako miejsce zrzutu śmieci i ścieków, ale jako miejsce pracy, rekreacji i wypoczynku.

Zasadniczym celem wiślanego szlaku żeglownego będzie zwiększenie dostępności komunikacyjnej regionu oraz kształtowanie przestrzeni turystycznej w zgodzie z zasadami ochrony środowiska i ochrony zasobów dziedzictwa kulturowego Małopolski. Miejmy nadzieję, że nadejdą czasy gdzie wyprawa kajakowa z Krakowa do Bochni będzie rzeczywistością a nie marzeniem.

*Pan Mieczysław Janusz Jagła jest prezesem Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Niepołomickiej, a pan Zbigniew Siedlarz jest koordynatorem Stowarzyszenia ds. Promocji i Rewitalizacji Wiślanego Szlaku Żeglownego.*

## WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE

### KWARTALNIK STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

**Redakcja:** Stanisław Kobiela - red. naczelny, Janina Kęsek, Dorota Korta, Ewelina Mroczek, Anna Londo.

Małgorzata Szczepara, Jan Paluch, Jarosław Przybyło, Jarosław Kucybała.

**Adres redakcji:** 32-700 Bochnia, Rynek 2, Dom Bochniaków, tel. (0-14) 612-34-79,

**e-mail:** w.bochenskie@wp.pl, bthm@vp.pl, **Strona internetowa:** www.bochniacy.pl

**Przygotowanie elektroniczne i druk:** Brzeska Oficyna Wydawnicza, 32-800 Brzesko,

ul. Czarnowiejska 1, tel. (0-14) 686-14-70, tel/fax: (0-14) 663-11-91, e-mail: oficyna@brzesko.net.pl



Jarosław Kucybała

## „Bitwa o Bochnię”

Inscenizacja historyczna wydarzeń z 6 września 1939 roku.

Pomysł organizacji rekonstrukcji historycznej w Bochni zrodził się w umysłach trzech osób: Krzysztofa Neściora właściciela Muzeum 4 Pułku Strzelców Podhalańskich, Ireneusza Sobasa Sekretarza miasta i moim już w 2008 roku. Po akceptacji Pana Burmistrza nasze wizje zaczęły nabierać kształtów, konkretyzowane i dostosowywane do skromnego budżetu planowanej imprezy. Przełomem stał się patronat Prezydenta RP nad imprezą i zgoda Ministra Obrony Narodowej na udział w imprezie 21 Brygady z Rzeszowa. Ogrom pracy zwłaszcza logistycznej spadł na Ireneusza Sobasa, Krzysztof z Cieszyna zajął się współpracą z grupami rekonstrukcji historycznej, a ja stroną militarno-historyczną. W międzyczasie inne inscenizacje „podkupiły” nam część rekonstruktorów, a obiecany na wystawę statyczną czołg 7TP pozostał pod Kancelarią Prezydenta.



Na domiar złego wojsko niespodziewanie wycofało się z pokazów dynamicznych na smykowskich błoniach. W dzień pokazów pogoda uraczyła nas ulewą dostarczając dodatkowych stresów. Na szczęście od południa pokazało się słońce oświetlając pokazy, które uważam za bardzo udane. Punktualnie po 15.00 nad Smykowem pojawił się samolot rozpoznawczy w niemieckich barwach, który obwieścił rozpoczęcie walk. Bochnia imitowana przez świetnie wykonane atrapy budynków została zdobyta przez rekonstruktorów w mundurach niemieckich przy współudziale czołgu Panzer II. Jednakże kontratak wykonany przez

polskie oddziały „zniszczył” czołg i wypędził „Niemców” z płonącego miasta. W tym momencie pięknie zaprezentowała się polska kawaleria wspomagając kontratak ułańską szarżą na wroga. Na polu bitwy można było podziwiać oprócz wymienionego czołgu, oryginalną armatę przeciwlotniczą Boforsa kal. 40 mm, odrestaurowaną polską tankietkę TK-3, replikę polskiego samochodu pancernego wz. 34, motocykle: Sokół 1000, BMW, Zindapp, Gnome-Rhone i repliki armat 75mm wz.97 i 37 mm wz. 36. Serdecznie dziękuję wszystkim zaangażowanym w to przedsięwzięcie rekonstruktorom, grupom ASG, harcerzom, a zwłaszcza dwóm Panom wymienionym na początku artykułu, którzy swoim uporem i pracowitością doprowadzili do sobotniego finału. Dziękuję Panu Burmistrzowi, pracownikom wydziału promocji UM, Pani (nieznanej mi z nazwiska) charakteryzatorce z TVN. Dziękuję wszystkim sponsorom, a szczególnie: Marek Krężołek (SURMETAL), Andrzej Świgost (AUTOPRODUKT), Jacek Bębenek (MARPEX). Dziękuję też Państwu za tak liczne przybycie. **Niech pamięć o bohaterach Września 1939 roku nie zginie w sercach Państwa.**

P.S.

Nasze lokalne media podczas odsłonięcia tablicy poświęconej poległym żołnierzom Września 1939 roku na cmentarzu św. Rozalii słusznie zauważyły różnicę w datach występującą na napisie wyrytym na kamieniu (6-7 wrzesień 1939r.) i na nowej tablicy (5-6 wrzesień 1939r.), lecz błędnie to zinterpretowały czyniąc z tego sensację. Dostępna bogata literatura źródłowa dotycząca walk toczonych na terenie Ziemi Bocheńskiej jednoznacznie wskazuje dni 5- 6 września 1939 roku jako dni walk wokół Bochni, których celem było zatrzymanie wroga i umożliwienie wycofania się Armii „Kraków” nad rzekę Dunajec. 7 września rano oddziały polskie przemęczone po nocnym marszu skupiły się wokół mostu na Dunajcu w Biskupicach Radłowskich, gdzie czekała ich następna krwawa bitwa...

Zdjęcia: Marek Rynowski



*Finałem obchodów 70 –tej rocznicy wybuchu II wojny św. na terenie Gminy Trzciana było odsłonięcie nowej tablicy pamiątkowej na grobie Michała Łukaszewicza w Trzcianie.*



Jarosław Kucybała

## Podporucznik Michał Łukaszewicz

Uroczystość odbyła się 17 września 2009 roku. Po uroczystej akademii zorganizowanej przez Zespół Placówek Oświatowych w Trzcianie, tłumnie przemaszzerowano na cmentarz parafialny, gdzie odsłonięto nową poprawioną tablicę na grobie zapomnianego czołgisty ppor. Michała Łukaszewicza oficera 10 BK. Członkowie Bocheńskiego Towarzystwa Historii Militarnej aktywnie uczestniczyli w wyjaśnianiu tajemnicy podch. Łukasiewicza (taki napis widniał na poprzedniej tablicy nagrobnej) i poszukiwaniach czołgu Vickers którym Michał dowodził.

Michał Łukaszewicz pochodził z Warszawy. W roku 1937 zdecydował się na karierę wojskową i złożył podanie do Szkoły Podchorążych Broni Pancernych w Modlinie. Szkoła, mimo



że nie miała długich tradycji, była bardzo prestiżowa, o przyjęcie w poczet uczniów w 1937 roku ubiegało się ponad 300 kandydatów. Michał znalazł się wśród 96 przyjętych. W klasie pierwszej program nauczania obejmował podstawowe wykształcenie piechoty, zapoznawał z budową sprzętu motorowego i pancernego oraz naukę jazdy. W lutym 1938 roku Michał awansował na starszego strzelca. Po pierwszym roku odbył praktykę w 1 Batalionie Pancernym w Poznaniu. Drugi rok nauki to pogłębianie umiejętności w posługiwaniu się sprzętem i uzbrojeniem. W trakcie roku przyznano mu stopień kaprała. Z dniem 1 lipca 1939 roku wyjechał na praktykę podoficerską do 2 Batalionu Pancernego w Żurawicy, będąc w stopniu plutonowego. Jednostka wojskowa w Żurawicy była typowo pancerną jednostką. Posiadała wszystkie typy czołgów będące na wyposażeniu Wojska polskiego: 7TP, Vickers, TKS, TK-3, TKF i przestarzałe Renault F-17. W trakcie mobilizacji Michał awansował na dowódcę plutonu czołgów Vickers 121 Kompani Czołgów Lekkich przydzielonej 10 BK. Dowódca plutonu oprócz dowodzenia swoim czołgiem miał pod rozkazami jesz-

cze 4 Vickersy, w tym dwa dwuwieżowe z karabinami maszynowymi. Z tym oddziałem Michał pojechał na wojnę przechodząc szlak bojowy 10 Brygady Kawalerii płk Stanisława Maczka. Walczył pod Naprawą, Kasiną Wielką, Wiśniową, aż w końcu dotarł w okolice Trzciany gdzie poległ, prawdopodobnie osłaniając odwrót swojego plutonu. Generał Stanisław Maczek tak po latach wspominał swoje Vickersy: „W myślach ślę gorące podziękowania tej dzielnej kompanii: za uratowanie sytuacji pod Naprawą, za wybitny udział w natarciu pod Kasiną, za dwojenie i trojenie się na wschodnim skrzydle brygady, za to, że samą obecnością swą podtrzymywały morale oddziału, za to że od najtrudniejszego zadania nie wykręcały się mówiąc, że są tylko starymi szkolnymi gratami” Michał Łukaszewicz nie doczekał promocji na stopień oficerski, siedem dni po jego śmierci 13 września 1939 roku Naczelny Wódz awansował podchorążych z drugiego roku kształcenia do stopnia podporucznika ze starszeństwem od 1 września 1939 roku. Wątpliwe jest, aby rozkaz ten zdołano rozesłać w formie pisemnej z Włodzimierza Wołyńskiego lub z Młynowa, dokąd następnego dnia przeniosło się Naczelne Dowództwo. Oficjalne potwierdzenie tych faktów nastąpiło w 1940 roku. Ministerstwo Spraw Wojskowych potwierdziło w dzienniku personalnym nr 2 z dnia 2 marca 1940 roku wcześniejszą de-



cyzję Naczelnego Wodza, publikując jednocześnie nazwiska 52 podchorążych drugiej promocji służby stałej, którzy otrzymali awanse. Wśród awansowanych był: ś. p. podporucznik Michał Łukaszewicz.

Źródła:

- R. Szubański – Szkoła Podchorążych Broni Pancernych - Pruszków 1993
- Dokumenty archiwum CAW dot. podchorążych broni pancernych
- Wojskowy Przegląd Historyczny
- Materiały Oddziału ZBOWiD w Bochni z 25.09. 1965 r.
- A. Nawrocki – 2 Batalion Pancerny (Żurawica 1935-1939) - Pruszków 2006

Stanisław Kobiela

## Proces załogi KL Auschwitz-Birkenau w Krakowie w 1947 r. – cz.5 zakończenie

*Musi się ustawicznie wskazywać na to czym był Oświęcim (1967r.)*

*dr Hans Münch-lekarz SS uniewinniony w 22.XII.1947*

### Znane i nieznanne losy zbrodniarzy

24 stycznia 1948 roku na szubienicy w więzieniu Montelupich zasłużoną śmierć poniosło 21 zbrodniarzy z obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, skazanych wyrokiem Najwyższego Trybunału Narodowego w Krakowie. Pozostało przy życiu 19 funkcjonariuszy sądzonych w tym procesie i skazanych na kary więzienia oraz jeden uniewinniony dr Hans Münch. Zapewne Czytelnik chciałby wiedzieć, jakie były ich losy w polskich więzieniach. Czy dr Johann Kremer i Artur Breitwieser, którym w drodze ulaskawienia Prezydent Bierut zamienił karę śmierci na dożywocie oraz skazani na dożywotnie więzienie: Hans Koch, Karl Seufert, Luise Helene Danz, Detloff Nebbe i Adolf Medefind dożyli swoich ostatnich dni w polskim więzieniu? Co stało się z szóstką zbrodniarzy (Lorenz, Orlovsky, Lächert, Bulow, Romeikat i Weber) skazanych na karę 15 lat więzienia i Erichem Dingesem skazanym na 5 lat więzienia?

Dr Hans Münch w toku procesu oddał sędziemu śledczemu Janowi Sehnowi swoje opracowanie napisane w więzieniu 24 listopada 1947 r. p.t. *Der Hunger Und Lebenserwartung im KL Auschwitz* (Głód i czas przeżycia w KL Auschwitz) i po wyroku uniewinniającym może jeszcze w grudniu 1947 r. lub w styczniu 1948 r. wyjechał do Niemiec, zamieszkał



*dr Hans Münch w 1947 i 1997 r.*

w miejscowości Rosshaupten i otworzył tam praktykę lekarską. W 1967 r. na prośbę redakcji „Przeglądu Lekarskiego Oświęcimskiego” dokonał uzupełnień do przekładu polskiego i angielskiego (*Starvation and survival time in the Auschwitz camp*) i jego praca ukazała się drukiem po polsku w tym wydawnictwie w 1967 r. W latach 70-tych wypowiadał się wielokrotnie w telewizji na temat zbrodni ludobójstwa hitlerowskiego i głodu w obozie koncentracyjnym.

W lutym 1948 r. skazani w procesie krakowskim zostali rozparcelowani do innych więzień w Polsce. Likwidowano także pozostałe po zbrodniarzach rzeczy. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Krakowie pismem z 27 lutego 1948 r. zwróciła się do Prokuratora Sądu Okręgowego w Krakowie o przekazanie tych rzeczy do Komisji tłumacząc, że *listy pisane przez nich przed śmiercią i pozostałe po nich pisma i dokumenty mogą być przyczynkiem do wyjaśnienia psychologii i życia tych, którzy kaźnię oświęcimską stworzyli,*

*zaś umundurowanie i przedmioty wyposażenia SS-mańskiego są dzisiaj rzadkością, a nadal potrzebne są esesmańskie mundurki do identyfikacji SS-manów*, których procesy obecnie się toczą. Dzień wcześniej I prokurator NTN przesłał do NTN całą korespondencję adresowaną do skazanych w tym procesie.

Taki wykaz przedmiotów o które prosiła Komisja został sporządzony, a wśród nich znalazła się biblia, z którą nie rozstawał się w więzieniu Artur Liebehenschel i broszurka „Faust” po Marii Mandel. Zapewne chodzi o słynną tragedię Johanna Wolfganga Goethego pt. „Faust”<sup>1</sup>. Jeszcze w lutym nadszedł spóźniony list adresowany do nieżyjącej już Teresy Rosi Brandl od jej siostry.

Dla poznania dalszych losów zbrodniarzy sądzonych w Krakowie należało by zrobić pełną kwerendę w polskich zakładach karnych, gdyż takich informacji brakuje. Nie wiemy na przykład jak zachowywał się w polskim więzieniu zagorzały nazista i służbista Detloff Nebbe, siejący w obozie postrach nawet wśród SS-manów. W czasie procesu wykazywał hardość posuniętą do granic bezczelności. Czy w polskim więzieniu zrozumiał sens wymierzonej mu kary, czy może nadal był butny i arogancki, jak gauleiter Gdańska Albert Forster, a informacja o wymierzonych mu karach dyscyplinarnych była by odzwierciedleniem jego postawy<sup>2</sup>. Nie zachował się żaden ślad, gdzie odbywali karę dożywocia ulaskawieni dr Kremer i Artur Breitwieser, a także Seufert i Medefind.

### Smutny koniec Hansa Kocha

Hans Koch odsiadywał karę dożywotniego więzienia w Gdańsku, w więzieniu przy ulicy Kurkowej 12. Całe jego nieszczęście polegało na tym, że z zawodu był asystentem laboratoryjnym i dlatego w Auschwitz przydzielono mu stanowisko dezynfektora. Karę dożywocia otrzymał za wrzucanie cyklonu D do komór gazowych. Po każdej akcji nie mógł spać i upijał się do nieprzytomności. NTN zaliczył go grupy oskarżonych, którym nie



*Hans Koch*

można było przypisać sadystycznych skłonności i znęcania się nad więźniami. W więzieniu cierpiał głód. Zapadł na gruźlicę i 14 lipca 1955 roku zmarł w szpitalu więziennym w Gdańsku<sup>3</sup>. Administracja więzienia widząc jego zły stan zdrowia, zaawansowaną gruźlicę próbowała mu pomóc i z urzędu wystąpiła do Prokuratury Wojewódzkiej w Krakowie o przerwę w karze, ale tej urzędowej prośby nie uwzględniono, ze względu na charakter przestępstwa.

### Metamorfoza zbrodniarki ?

Nadzorcynie obozowe Luise Helene Danz, Alice Orlovsky trafiły na krótki czas do więzienia w Tarnowie, skąd



*Johann Kremer z 1947 r. i z 1960 r. zawsze pochylała głowę w ukłonie. W więzieniu nauczyła się dobrze języka polskiego. Pewnego dnia (już w Fordonie) przystąpiła do Rachwałowej i dobrą polszczyzną poprosiła ją o pożyczanie Trylogii Henryka Sienkiewicza, której egzemplarz Rachwałowa miała w celi. *Od-tąd stała się rzecz dziwna* – kontynuuje Rachwałowa – *jeśli tylko mogła, a ja zechciałam rozmawiać ze mną wyłącznie o Trylogii. Była zafascynowana tym dziełem i zakochała się w Andrzeju Kmicicu. Chłonęła moje słowa, objaśniając tło historyczne powieści. Nie istniało dla niej nic i nikt, więzienie stało się obojętne. Przeczytała Trylogię po raz drugi, a potem po innych książkach Sienkiewicza – po raz trzeci*<sup>4</sup>.*

Pewnego razu powiedziała, że dlatego była w Auschwitz, aby ponieść karę, a następnie otrzymać wielką nagrodę – przeczytać Trylogię. Danz ostrzegała Rachwałową przed



Luise Danz i Alice Orłowski

Orłowską, mówiła, że to kapuś i jej nie znosiła. Przez Trylogię i Sienkiewicza pokochała kulturę polską całym swoim sercem. Kiedy Rachwałowa opuszczała więzienie w październiku 1956 r. ofiarowała jej upragnioną Trylogię, a Danz rozplakała się ze szczęścia. Kiedy z kolei ona około roku 1960 opuszczała więzienie i wyjeżdżała po 12 latach do RFN miała podobno – tak twierdzi Rachwałowa – ten egzemplarz w ręce<sup>5</sup>.

### Surowość kar w pierwszych latach po wojnie

Trafnie stwierdził red. Dariusz Baliszewski na łamach tygodnika „Wprost” (nr 13/2007), że panuje obecnie fałszywy pogląd, iż w czasach PRL-u tamtejsze władze z dużą determinacją domagały się ścigania hitlerowskich zbrodniarzy wojennych i surowego ich osądzenia i ukarania. Takie deklaracje wynikające z Manifestu PKWN urzeczywistniły się istotnie, ale tylko w pierwszych dwóch latach po wojnie. Wyroki wydawane na mocy dekretu PKWN z sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy wojennych winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego były surowe, a represyjność dekretu polegała na braku instancji odwoławczej. Na jeden dzień przed wejściem w życie tego dekretu, 3 grudnia 1944 r. na terenie wyzwolonego obozu koncentracyjnego na Majdanku pod Lublinem powieszono publicznie po krótkim procesie pięciu przypadkowo schwytych członków załogi tego obozu. Z dużą aprobatą ponad 200 000 tłumu (przy spóźnionym proteście polskich intelektualistów) odbyła się 4 lipca 1946 r. na 11 szubienicach na wzgórzu Stolzenberg w Gdańsku publiczna egzekucja 11 zbrodniarzy ze

Stutthofu w tym pięciu kobiet-nadzorczyń obozowych i kolejna także publiczna egzekucja gauleitera Kraju Warty Artura Greisera na stokach poznańskiej cytadeli - 21 lipca 1946 r. Egzekucje te inspirowane były przykładami z ZSRR (dziesiątki filmowanych publicznych egzekucji hitlerowców z t.zw. Einsatzgruppen) i innych krajów demokracji ludowej. Na Stolzenbergu wprowadzono dodatkową atrakcję. Wzorując się na egzekucji b. niemieckiego „protektora” Czech i Moraw Hansa Franka w Pradze w maju 1946 r., w roli katów wystąpić musieli byli więźniowie obozu koncentracyjnego w Stutthofie.

Po procesie członków załogi KL Auschwitz-Birkenau w Krakowie zainteresowanie mediów polskich przeniosło się z procesów zbrodniarzy hitlerowskich na publiczne procesy działaczy polskiego podziemia niepodległościowego. Na podstawie tego samego dekretu PKWN działacze ci otrzymywali wyroki śmierci, z tą jedynie różnicą, że wyroki wykonywane były potajemnie, najczęściej w piwnicach więzień strzałem w tył głowy. Inni skazani na długoletnie więzienia często siedzieli w celach razem z funkcjonariuszami hitlerowskich obozów koncentracyjnych, co było szczególnie bolesne dla byłych ofiar tych obozów. Przykład Rachwałowej i Marii Mandel nie był przecież odosobniony. Wystarczy przeczytać książkę Kazimierza Moczarskiego „Rozmowy z katem”<sup>6</sup>.

### Znikający zbrodniarze

W ramach ekstradycji przekazano Polsce do osądzenia 1817 zbrodniarzy niemieckich (z samej strefy amerykańskiej Niemiec 1315), ale – stwierdza red. Dariusz Baliszewski – przed sądami polskimi stanęło tylko 1670. Do dzisiaj nie wiadomo, co stało się ze 147 osobami.

Do ciekawych wniosków doszła pani dr Kobierska-Motas, która stwierdziła, że od początku lat 50. można zauważyć zjawisko masowego znikania z polskich więzień niemieckich zbrodniarzy wojennych, nawet takich, którzy otrzymali wyroki śmierci za udział w egzekucjach i mordowaniu ludności cywilnej na terenie Warszawy, Tarnowskich Gór i Częstochowy. Opuścili polskie więzienia i wyjechali do Niemiec: Hermann Altman szef Gestapo Piotrkowie Trybunalskim, Stilman – szef Gestapo w Poznaniu, Olga Loos z Gestapo w Białymstoku zwana „krwawą Olgą”, Napp Gramso dowódca plutonu egzekucyjnego z poznańskiej cytadeli.

Dopiero po latach okazało się, do jakich celów potrzebni byli komunistycznym organom ścigania tacy zbrodniarze. Siedzącemu w celi śmierci Leubnerowi dostarczono gestapowskie pieczęcie i inne potrzebne akcesoria i on tworzył antydatowane dowody współpracy z Gestapo działaczy z miejscowego ZWZ-AK. Na ich podstawie aresztowani działacze polskiego podziemia otrzymali wyroki śmierci wykonywane natychmiast strzałem w tył głowy w piwnicach tego samego więzienia.

Nie zostało ostatecznie wyjaśnione co stało się z gauleiterem Gdańska Albertem Forsterem, skazanym 29 kwietnia 1948 r. przez NTN na karę śmierci. Mówiono o wielkim skarbie, wywiezionym pod koniec wojny przez Forstera z Gdańska w trzech wagonach i gdzieś ukrytych. Według niepotwierdzonych informacji Forster miał zaproponować współpracę i wykorzystanie swoich kontaktów na terenie okupowanych Niemiec. Nie wiemy ile w tym jest prawdy. Krążyły plotki, że Forster miał w celi więźnia ordynansa, który słał mu pryczę, czyścił buty, parzył herbatę lub kawę, ale prawdą jest, że otrzymywał codziennie gazetę „Głos Wybrzeża” i wybraną literaturę, że uczył się intensywnie języka polskiego. Sporządził kilka obszernych elaboratów, w których

sugerował ich wykorzystanie przez ówczesne władze. Z Gdańska przewieziony został później, w tajemnicy, do więzienia mokotowskiego w Warszawie i żył tam nadal co najmniej do 1952 r., mimo, że prezydent Bierut nie skorzystał wobec niego z prawa łaski. Nie wiadomo także czy odręczna sporządzona ołówkiem informacja na jednym z pism, że Forster zmarł 28 lutego 1952 r. jest prawdziwa<sup>7</sup>.

### Amnestia z 1956 roku

Legalne podstawy do zwalniania zbrodniarzy hitlerowskich z polskich więzień w drugiej połowie lat 50-tych stworzyła ustawa z 27 kwietnia 1956 r. o amnestii. Nie wyłączono z amnestii



dr Johann Kremer w 1947 i 1960 r.

osób skazanych za zbrodnie ludobójstwa. Ograniczenie dotyczyło tylko ścigania osób podejrzanych o czyny z art. 1 § 1 wspomnianego wyżej dekretu PKWN. Dzięki takiej konstrukcji przepisów ustawy o amnestii wszyscy skazani w procesie krakowskim zbrodniarze, którzy przeżyli, opuścili polskie więzienia i wyjechali do Niemieckiej Republiki Federalnej.

Dr Johann Paul Kremer wrócił do rodzinnego Münster w 1958 roku i tam otworzył praktykę lekarską. Niebawem został aresztowany i stanął przed sądem niemieckim. Skazany na 10 lat więzienia i dożywotnie pozbawienie tytułu profesora i doktora filozofii kary pozbawienia wolności nie odbył ponieważ uznano, że już swoje odcierpiał w Polsce. Pozostała w mocy jedynie utrata tytułów naukowych. Kremer był świadkiem w czasie III procesu oświęcimskiego odbywającego się we Frankfurcie nad Menem w latach 1963-1965. Pytany o sanitariusza SS Josefa Klehra, oskarżonego w tym procesie o zabijanie więźniów zastrzykami fenolu w serce (w obecności dr Kremera) i skazanego następnie na dożywotnie więzienie powiedział: *Na Klehra nie mogę nic złego powiedzieć, ale był on całkowicie podporządkowany lekarzowi garnizonowemu. A ja, cóż – byłem tylko piątym kołem u wozu*<sup>8</sup>. Zmarł w 1965 roku.

Drugi ułaskawiony przez Prezydenta Bieruta Artur Breitwieser odpowiadał jako oskarżony w III procesie oświęcimskim. Zarzucono mu wrzucanie cyklonu B do komór gazowych w Auschwitz. W czasie wizji lokalnej na terenie obozu okazało się, że świadek nie mógł tego wydarzenia zaobserwować. Artur Breitwieser został uniewinniony. Zmarł w 1978 r.

### Krwawa Brygida przed Sądem Krajowym w Dusseldorfie

Hildegart Lächert słynna „Krwawa Brygida” z Majdanka opuściła więzienia w Krakowie w 1956 r. przedterminowo zwolniona na mocy amnestii z 27 kwietnia 1956 roku i zamieszkała w Reichartshausen. Przewisko „Krwawej Brygidy” nadały jej więźniarki Majdanka, ponieważ biła zawsze aż do ukazania się krwi, a ponadto – uznając, że jest z zawodu pielęgniarką – lubiła przeprowadzać kijem lub listwą brutalne ”badania ginekologiczne” więźniarek. Alice Orlovsky oskarżana o zabijanie noworodków i niemowląt uderzeniem główki dziecka o mur, albo kamienny próg wyszła z więzienia rok później. Przed rozpoczęciem służby w obozach była właścicielką restauracji w Akwizgranie. Teraz wróciła do swo-

jego przedwojennego zawodu jako gospodyni w różnych hotelach, dzięki temu uzyskała stałą rentę w 1965 roku.

W 1975 r. obie te nadzorzynie zostały postawione w stan oskarżenia i zasiadły na ławie oskarżonych w III procesie (17 osób) z załogi obozu koncentracyjnego na Majdanku koło Lublina, toczącym się w latach 1975-1981 przed Sądem Krajowym w Dusseldorfie zwanym powszechnie procesem majdankowskim.



Hildegart Lächert w 1947 i 1980 r.

73-letnia Alice Orlovsky wskutek starczych dolegliwości zmarła w 1976 r. w toku procesu. Na drugi dzień po jej śmierci na ławie oskarżonych w miejscu gdzie zawsze siedziała nieznana ręka umieściła wielki bukiet żółtych chryzantem.

„Krwawa Brygida” już na początku procesu zarzuciła prokuratorowi Dieterowi Ambachowi: *odpowiadamy dzisiaj za sprawę całego narodu niemieckiego, ale Pan Bóg da nam siłę, abyśmy mogły nadal dźwigać ten ciężar. Była wojna. Każdy musiał coś zrobić dla swojej ojczyzny. My również musiałyśmy*. Prokurator Ambach na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego przedstawił Hildegartę Lächert w galerii trzech najbardziej brutalnych nadzorzyn Majdanka obok nieżyjącej komendantki Oberaufseherin Elsy Lieschen Fridy Ehrich<sup>9</sup> i odpowiadającej w tym procesie Hermine Braunsteiner-Ryan, adjutantki Ehrich i zarzucił wielokrotnie morderstwa popełniane w Majdanku.

W kolejnych dniach procesu świadkowie, wśród których było 12 b. więźniarek Majdanka i trzy nadzorzynie z tego obozu, opisywali wyczyny „Krwawej Brygidy” na terenie Majdanka, udowodniali, że przewisko jakie nadały jej więźniarki było nad wyraz trafne. I wtedy stała się rzecz dziwna, która zaskoczy-



ła samą oskarżoną: *Gdy zaczęło się to wszystko z „Krwawą Brygidą”, z dziećmi, wtedy się to przyplątało. Zauważyłam, że mam to – zeznawała Lächert - swędziło mnie na całym ciele. Wszędzie miałam czerwone plamy i drapałam się aż do ran. Odwijając bandaż, którymi owinięte miała ręce od czubów palców po ramiona oraz bandaż na nogach pokazywała na sali sądowej krwawe wrzody. Tak wyglądam na całym ciele – płakała, usiłując spowodować przerwę w procesie - swędzi okropnie. Najpierw pojawiają się na całym ciele małe, czerwone miejsca, na plecach, na pośladkach. Wszędzie mam te plamy. Jeden ze świadków Polak dr Nowak odpowiedział, że są to „bakterie sumienia”.*

A na sali sądowej pod jej adresem padały słowa oskarżenia: *była taka młoda i piękna, ale to nie była kobieta, ona była bestią.*

*To był prawdziwy potwór (świadek Jutta Scharff). Była jak zwierzę żądne krwi. Gdy rozmawiała z esesmanami lub koleżankami była wesoła i miła. Gdy do nas mówiła i nas biła, jej twarz robiła się straszna, to nie była twarz kobiety (świadek Henryka Ostrowska). Szczuła psy na ludzi, a jej pies mógł poszarpać człowieka na kawałki. Do psa mówiła: „Człowieku, bierz psa”. My byliśmy psami. (świadek Marilla Reich). Weszła Brygida z młodą dziewczyną i powiedziała „Dzisiaj zostanie powieszona...podeszła do stołka, kopnęła go i powiesiła ją (świadkowie Maria Kaufmann-Krasowska, Hela Rosenbaum, Janina Latowicz). Cyniczna odpowiedź oskarżonej była całą jej obroną: Przystawało się być człowiekiem. Nie można było rozwijać swojego ja<sup>10</sup>.*

Wyrok w sprawie zbrodniarzy z Majdanka ogłoszony został 30 czerwca 1981 r. Zapadło tylko osiem wyroków skazujących. Karę dożywotniego więzienia otrzymała Hermine Braunsteiner za zbiorowe morderstwo (*gemeinschaftlicher Mord*). Hildegard Lächert otrzymała karę 12 lat więzienia za współdziałanie w morderstwie (*gemeinschaftliche Beihilfe zum Mord*). Pozostałych sześciu esesmanów otrzymało wyroki od 10 lat do 3 lat pozbawienia wolności. Uniewinniono nadzorczynię Herminę Bóther, Charlotę Meyer i Rosę Süß oraz lekarza SS Heinricha Schmidta. Hermine Braunsteiner wyszła z więzienia już w 1990 r. z ciężką cukrzycą i zmarła w kwietniu 1999 roku. Hildegard Lächert karę 12 lat więzienia odbywała w więzieniu w Heidelbergu. Zmarła w 1996 r. do śmierci zmagając się z tą nieznaną chorobą.

Luisa Helene Danz skazana 22 grudnia 1947 roku w Krakowie na karę dożywotniego więzienia, korzystając z ogłoszonej w 1956 r. amnestii opuściła polskie więzienie 20 sierpnia 1957 r. W 1996 r. stanęła po raz drugi przed sądem oskarżona o zbrodnie, jakich dopuściła się pod koniec wojny w małym obozie koncentracyjnym w Malchow, w którym pełniła funkcję Oberaufseherin i w czasie ewakuacji tego obozu do Lipska. Na jej polecenie więźniarki na czas transportu nie otrzymały pożywienia i głodowały trzy dni. Oskarżona była także o spowodowanie śmierci małej dziewczynki w Malchow. Proces toczył się z przerwami do 2005 roku. Postępowanie zostało jednak umorzono ze względu na zły stan zdrowia oskarżonej, która dzisiaj (jeśli żyje) ma 92 lata.

Rodzi się pytanie czy można było w 1947 roku przeprowadzić dowody obciążające Hildegard Lächert, Alice Orlovsky, Luise Danz ujawnione dopiero po 25 latach w procesie majdankowskim? Czy w takim wypadku nie podzieliły by one losu Marii Mandel i Theresy Brandl? Odpowiedź na te pytania nie jest łatwa. Być może trafne jest częściowo stwierdzenie prokuratora Dietera Ambacha: *Lächert skazano w procesie oświęcimskim za czyny popełnione w Oświęcimiu. O ile pojawiało się wtedy w Polsce słowo „Majdanek”, to tylko na marginesie. W każdym razie nie zarzucano jej wtedy zabójstwa. Skazano ją na 15 lat, ale nie skazano jej za zabójstwo.* Takie argumenty wywodził Ambach, dlatego, aby obronie wytrącić ewentualny zarzut „res iudicata” czyli rzeczy już wcześniej osądzonej.

Jak wynika z uzasadnienia wyroku NTN z 22 grudnia 1947 r. Lächert została skazana za bicie więźniarek zarówno w Majdanku jak i w Auschwitz-Birkenau *najczęściej kijem, bykowcem po piersiach i twarzy i to bez najmniejszego powodu i obrzucanie ich obelżywymi wyzwiskami<sup>11</sup>*, ale nie za współdziałanie w morderstwach. Znamienne jest jednak to, że żaden świadek zeznający w procesie majdankowskim nie składał zeznań w 1947 r. Może przebywali w tym czasie za granicą, nie kojarzyli, że w procesie zbrodniarzy KL Auschwitz-Birkenau mogą występować zbrodniarze z Majdanka, może przeszkodą udziału w procesie był brak

paszportu i wizy do Polski, a może byli aresztowani za działalność podziemną przez NKWD lub UB jak Stanisława Rachwałowa. Nie można wykluczyć, że media zagraniczne pisząc o procesie w Krakowie pomijały wątek Majdanka i Malchow.

Jedno jest pewne. Nikt do tej pory nie usiłował rozwikłać tej zagadki, a przecież są to sprawy ważne. Już same imiona świadków Jutta, Marilla, Gabriele, Lucina, Zippora, Lucie brzmią obcojęzycznie, co mogło by wskazywać na ich zamieszkanie za granicą w owym czasie.

### Aby uniknąć kary

W procesie krakowskim w 1947 r. świadkami były w przeważającej mierze były więźniarki obozu Auschwitz-Birkenau, w którym Lächert służyła pod koniec wojny niecałe trzy miesiące (Piątkowska, Żywulska, Wilińska, Dubas, Bloch, Nelken). Sędziowie Najwyższego Trybunału Narodowego dysponowali zatem częściowym materiałem dowodowym i na jego podstawie przyjęli, że przecież oskarżona w pewnych okresach odnosiła się do więźniarek zupełnie poprawnie. Nie zauważyli kamuflażu oskarżonej charakterystycznego dla większości zbrodniarzy hitlerowskich pod koniec wojny świadomych zbliżającej się odpowiedzialności za popełnione zbrodnie i jej zachowanie łagodniejsze w Auschwitz-Birkenau niż w Majdanku skwitowali w uzasadnieniu wyroku „pięknie brzmiącym” zdaniem: *Oskarżona miała bowiem zmienne usposobienie. W okresach dobrego humoru była dobrą dla więźniarek, a w okresach złości znęcała się nad nimi<sup>12</sup>.* Podobne argumenty podano w odniesieniu do Alice Orlovski, która nawet w KL Auschwitz-Birkenau uratowała życie córce świadka Loli Biberstein.

Doskonałym przykładem podobnego kamuflażu i także diametralnej zmiany zachowania był przecież jeden z największych katów Auschwitz sam Hans Aumeier. Po odejściu z Auschwitz w wiadomych okolicznościach został skierowany do Norwegii, gdzie utworzył obóz koncentracyjny na 3000 więźniów w miejscowości Grini. Został jego komendantem, ale wobec więźniów był łagodny, współpracował w norweskim Czerwonym Krzyżu. 7 maja 1945 r. zwolnił więźniów i zamknął obóz. Aresztowany miesiąc później w mundurze SS ujawnił swoją tożsamość. Przebywał w obozie jenieckim w Cagle koło Londynu i liczył być może na to, że nikt nie rozpozna w nim oświęcimskiego zbrodniarza.

### Masowa zagłada

Obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau był miejscem straszliwej i największej masowej zbrodni popełnionej przez hitlerowców w czasie II wojny światowej. Mordowani byli tutaj głównie Żydzi za przynależność do narodu żydowskiego, Cyganie jako element obcy i nieprzydatny ekonomicznie, Polacy za to, że zajmowali niemiecką przestrzeń życiową i nie chcieli poddać się przemocy. Uśmierceni byli tutaj osadzani wbrew prawu międzynarodowemu jeńcy wojenni – głównie radzieccy i na mniejszą skalę więźniowie Jugosłowianie, Francuzi, Niemcy i Austriacy.

Po zakończeniu wojny pojawiły się jednak znaczne różnice w ocenie i obliczeniach ilu ludzi zamordowano w Auschwitz-Birkenau. Różnili się nie tylko świadkowie zeznający na procesach oświęcimskich, ale także zasiadający na ławie oskarżonych realizatorzy tej straszliwej zbrodni ludobójstwa. Sam Rudolf Höss przesłuchiwany tuż po aresztowaniu w miejscowości Minden 16 marca 1946 r. powiedział: *Ja na polecenie otrzymane od Himmlera w maju 1941 r. zorganizowałem osobiście zagazowanie 2 mi-*

lionów ludzi w okresie między czerwcem-lipcem 1941, a końcem 1943 r. w którym byłem komendantem Oświęcimia. W czasie procesu norymberskiego zeznał, że do 1 grudnia 1943 r. zgładzono i zagazowano, a następnie spalono przynajmniej 2 500 000 ofiar, ponad 500 000 zginęło z chorób, czyli razem 3 000 000 ofiar. Liczba ta stanowi 70 – 80 % wszystkich więźniów Oświęcimia.. Na swoim procesie w Polsce w 1946 r. wyjaśnił, że liczby, które podawał pochodziły od Eichmana : *uważam, że liczba 2500 000 ofiar jest o wiele za wysoka. Możliwości zagłady miały swoje granice i w Oświęcimiu. Liczby podawane przez byłych więźniów są wytworami fantazji i nie są oparte na żadnych podstawach.* W styczniu 1947 r. powiedział : *W czasie mej działalności w Oświęcimiu zginęły tam miliony ludzi, których dokładnej liczby nie jestem w stanie ustalić.*

Maksymilian Grabner szef Politische Abteilung w Auschwitz-Birkenau w latach 1940-1943 zanim jeszcze zasiadł na ławie oskarżonych w procesie krakowskim potwierdził, że w tym okresie *zabito co najmniej 3 miliony ludzi* (zeznania złożone w Wiedniu 16.09.1945 r.) inny funkcjonariusz (Wilhelm Boger) wskazał na liczbę 4 milionów ludzi. O tej samej liczbie 4 milionów ludzi mówiła przesłuchiwana w więzieniu Montelupich Maria Mandel. Powiedziała także, że kiedy po aresztowaniu jej 10 sierpnia 1945 r. znalazła się w Dachau, gdzie urządzono więzienie dla zbrodniarzy wojennych (War Crimes Cage – PWE 29) słyszała od osadzonych w tym obozie niemieckich jeńców liczby od 2 do 6 milionów ofiar obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Taką też liczbę przyjął sędzia śledczy Jan Sehn, który prowadził postępowanie przygotowawcze w procesie Rudolfa Hossa i 40 członków załogi oświęcimskiej i takie ustalenia liczbowe utrwały się w historiografii na długie lata.

Temat ustalenia liczby ofiar obozu Auschwitz-Birkenau powrócił dopiero w 1993 r. Na konferencji zorganizowanej w Warszawie przez Instytut Historii PAN stwierdzono, że trzy państwa dotknięte II wojną światową Polska, Jugosławia i ZSRR nie uporały się z bilansem własnych strat ogólnych oraz liczby ofiar obozu Auschwitz-Birkenau i nie są w stanie podjąć dyskusji toczonych w historiografii zachodnioeuropejskiej, a także izraelskiej zwłaszcza wobec twierdzeń, że w obozie tym zginęło mniej niż milion ludzi, a nie 4 miliony oraz, że ta ostatnia liczba ustalona została w warunkach powojennej psychozy wywołanej ogromem popełnionych zbrodni.

Nowego wyliczenia ilości ofiar podjął się odważnie historyk Muzeum Auschwitz-Birkenau dr Franciszek Piper. Dokonał on analizy wszystkich możliwych źródeł i natrafił na istotne bariery i trudności. Okazało się bowiem, że spośród przywiezionych do obozu ludzi tylko część z nich rejestrowano i numerowano, ogromną resztę kierowano prosto z rampy kolejowej wprost do komór gazowych i w dokumentacji obozowej nie pozostał po nich żaden ślad. Dr Piper w wyniku konfrontacji i szczegółowej analizy wielu źródeł oraz stosując rachunek prawdopodobieństwa doszedł do przekonania, że w Auschwitz-Birkenau zginęło łącznie około 200 000 więźniów zarejestrowanych i co najmniej 1 100 000 ludzi nie zarejestrowanych spośród 1 300 000 przywiezionych. Sumując liczbę zarejestrowanych więźniów i niezarejestrowanych (1 300 000) ustalili, że z tej liczby zginęło w przybliżeniu 960 000 Żydów, 70-75 000 Polaków, 21 000 Cyganów i 15 000 radzieckich jeńców wojennych i 10-15 000 zarejestrowanych więźniów innych narodowości (Białorusinów, Ukraińców, Czechów, Jugosłowian, Francuzów, Niemców, Austriaków. Zmiana liczby ofiar obozu Auschwitz-Birkenau nie

była sprawą łatwą. Trzeba było pokonać bariery psychologiczne. Po różnych polemikach, a nawet atakach na autora tej egzegezy uświadomiono sobie, że utrzymywanie błędnych wyliczeń byłoby nieuczciwe. Zmiana liczby ofiar tego obozu weszła na trwałe do świadomości historycznej Polaków<sup>13</sup>, co nie zmienia faktu, że w KL Auschwitz-Birkenau dokonywano zbrodni ludobójstwa.

### Obóz zagłady – wynalazkiem XX wieku

Trafnie stwierdził znakomity polski psychiatra Antoni Kępiński (1918-1972), że obozy zagłady były wynalazkiem XX wieku, ale wynalazek ten nie polegał na zmasowanej agresji i sadyzmie, ani na wprowadzeniu nowoczesnych metod masowego uśmiercania ofiar, ale na odarcie człowieka z jego istoty i traktowaniu go jako numeru. I naruszenie tej prostej, ale podstawowej zasady prowadzi do zbrodni<sup>14</sup>.

Obok zwyrodniałców, których nie brakowało także i w procesie załogi KL Auchwitz-Birkenau zasiadali na ławie oskarżonych funkcjonariusze obozowi, którzy uważali się za ludzi porządných, uczciwych, zdyscyplinowanych obywateli III Rzeszy. Oni byli *dobrzy w stosunku do ludzi, ale nie do numerów* – pisze Kępiński. Taki był Liebehenschel, Möckel, może dr Johann Kremer, a nawet sam Rudolf Höss. Żaden z nich nie był sadystą.

W procesach załóg obozów koncentracyjnych: Belsen, Dachau, Buchenwald, Ravensbrück, Neugamme, Mauthausen etc. wszyscy zbrodniarze wojenni w ostatnim słowie uważali się za niewinnych. Czy kłamali? – pyta Kępiński i odpowiada: *Nie ! Oni rzeczywiście czuli się niewinni popełnionych zbrodni. Czy można czuć się winnym wymordowania milionów much, albo komarów? Prawdopodobnie do ostatniej chwili przed śmiercią nie zauważyli swojego błędu myślenia, że wskutek zbrodniczej, chorośliwej ideologii przestali widzieć w człowieku człowieka.*

**Stanisław Kobiela**

#### Przypisy :

- <sup>1</sup> Gauleiter Gdańska Albert Forster skazany na karę śmierci w 1946 r. czytał w polskim więzieniu w Gdańsku dzieła Homera, Goethego, Schillera i celtycki poemat w wersji książkowej Josepha Bediera „Dzieje Tristana i Izoldy” i Nowy Testament.
- <sup>2</sup> Informacje o zachowaniu się wspomnianego w przypisie 1 Forstera ujawnił niedawno na podstawie „Wykazu kar dyscyplinarnych” Andrzej Gąsiorowski w artykule „Albert Forster w więzieniu gdańskim w świetle dokumentów [w: Więzienie w Gdańsku w systemach represji XX wieku nr 46 „Przeglądu Więziennictwa Polskiego”] : „rozbił..., namalował hakenkreuz na szybie, używał ohydnych słów na Polaków” za co otrzymywał kary dyscyplinarne karceru, twardego łoża etc.)
- <sup>3</sup> zob. Waldemar Kowalski, *Dwie strony krat . Z historii więzienia w Gdańsku*, Gdańsk 2003 s 133 oraz akta więzienne Hansa Kocha APG sygn.akt 2376/470,
- <sup>4</sup> zob. Stanisława Rachwałowa – *Spotkanie z Marią Mandel* (Przegląd Lekarski 1990 s.
- <sup>5</sup> tamże
- <sup>6</sup> Kazimierz Moczarski, *Rozmowy z katem*, PWN Warszawa 1975 - wersja nie ocenowana 1992 r.
- <sup>7</sup> Andrzej Gąsiorowski – op.cit
- <sup>8</sup> Kazimierz Kąkol, *Sąd nierychliwy, frankfurcki proces oprawców z Oświęcimia*, Warszawa 1966, s. 135,
- <sup>9</sup> Elsa Lieschen Frida Ehrich (1914-1948) SS-Oberaufseherin obozów koncentracyjnych KL Lublin (Majdanek), KL Kraków-Plaszów, KL Neuengamme. Po wojnie skazana w Polsce na karę śmierci, stracona 26.10.1948 r.,
- <sup>10</sup> Eberhard Fechner, *Proces. Obóz na Majdanku w świetle wypowiedzi uczestników rozprawy przed Sądem Krajowym w Dusseldorfie*, Lublin 1996, Stanisław Kania, Proces zbrodniarzy z Majdanka, Warszawa 1987,
- <sup>11</sup> Tadeusz Cyprian, Jerzy Sawicki, *Siedem procesów przez Najwyższym Trybunałem Narodowym*, Poznań 1962, s. 239,
- <sup>12</sup> tamże,
- <sup>13</sup> Franciszek Piper. *Ilu ludzi zginęło w KL Auschwitz*, Muzeum Oświęcim-Brzezinka, 2005,
- <sup>14</sup> Antoni Kępiński, *Refleksje oświęcimskie*, Kraków 2005

Wykorzystano zdjęcia z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, portalu internetowego pani Joanny Czopowicz [www.ssaufseherin.blog.pl](http://www.ssaufseherin.blog.pl) i archiwum SBIMZB

*Piloci polskiego lotnictwa obserwacyjnego i łącznikowego zasłużyli na miano „cichych bohaterów września 1939 r.” Jednym z pilotów latających na przestarzałych maszynach w obliczu przyniatającej przewagi Luftwaffe był Franciszek Dubiel spoczywający na bocheńskim cmentarzu przy ul. Orackiej.*



**Jarosław Kucybała**

## Kapral podchorąży Franciszek Dubiel

Franciszek Dubiel według dokumentacji, jaka pozostała w Bochni był lotnikiem z 6 pułku lotniczego Lwów zmarłym w bocheńskim szpitalu. Zachowała się też informacja o dacie i miejscu urodzenia -1916 rok, Frampol koło Biłgoraja.

Wobec braku jakiegokolwiek innej informacji dotyczącej zmarłego umieściłem zapytanie dotyczące Franka na forum internetowym Gminy Frampol. Po pół roku oczekiwania dostałem maila od pana Sławomira Wąska, który napisał: „Niestety wiedza o przodkach, także bohaterach, umiera albo razem z nimi, albo z ich najbliższymi. Zatem, każdego czeka kiedyś zapomnienie. Osoba, o którą Pan pyta to brat mojej ś.p. babci.” Siła internetu jest doprawdy imponująca! Niestety pamiętek po Franku było niewiele: dwie fotografie, wiadomość, że był słuchaczem Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie i został zestrzelony przez swoich we wrześniu 1939 roku. Najważniejszą była informacja o Dęblinie, ponieważ zachowały się wywiezione do Londynu wykazy słuchaczy „Szkoły orląt”. W 1935 r. w Szkole Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie wprowadzono 3-letni system szkolenia, na drugim i trzecim roku szkolono osobno pilotów (60% uczniów) i osobno obserwatorów. W latach poprzedzających wybuch wojny Dęblin stał się jednym z największych i najlepszych ośrodków szkolenia lotniczego w Europie. Franciszek rozpoczął szkolenie w 1937 roku (wg. wykazów słuchaczy),



które powinno zakończyć się w 1940 roku promocją na stopień oficera. Jednakże jak podają źródła został zwolniony ze szkoły na podstawie rozkazu nr 210/38. Nie było to karne zwolnienie, lecz

raczej z powodu nie zdanego egzaminu lub choroby. W czasie mobilizacji został przydzielony do grupy liniowej jako pełnoprawny pilot w stopniu kaprala podchorążego. W sierpniu 1939 roku znalazł się we Lwowie na lotnisku Skniłów z przydziałem do 6 pułku lotniczego. Tu niestety kończą się fakty dotyczące losów Franciszka a zaczynają się moje przypuszczenia. 6 Pułk lotniczy w sierpniu 1939 r. został przeformowany w Bazę Lotniczą nr 6, eskadry myśliwskie(161 i 162) oraz eskadry obserwacyjne (63 i 66) podporządkowane zostały dowódcy lotnictwa Armii „Łódź”, a 64 i 65 eskadra bombowa podporządkowane zostały dowódcy Brygady Bombowej. Utworzono też nowe pododdziały lotnicze: pluton łącznikowy nr 11 i nr 12 (przydzielone Armii „Modlin”). Prześledziłem szlaki bojowe tych eskadr, żadna nie działała w rejonie Bochni! Zainteresowała mnie natomiast wzmianka w książce Jerzego Pawlaka „Polskie eskadry w wojnie obronnej 1939” dotycząca 26 Eskadry Obserwacyjnej, autor opisując działania eskadry podaje: „4.IX.1939 – *Pobiednik koło*

*Mogily por. Król z kpr. Tala-gą wykonali zadanie dla D-cy Armii „Kraków”. W tym dniu otrzymano z Bazy nr 6 jeden samolot R-XIIID wraz z załogą. Po południu nastąpiła zmiana lotniska do m. Kszczonów koło Nowego Korczyna”*

Jest prawdopodobne, że tym samolotem przyleciał ze Lwowa Franciszek Dubiel i podczas przebazowania został zestrzelony omyłkowo przez swoich. Rannego przewieziono do bocheńskiego szpitala, w którym zmarł 6 września 1939 roku. Samolot R-XIIID Lublin wyprodukowany przez LWS w Lublinie był w 1939 roku zupełnie przestarzały. Przez pilotów nazywany był „pasikonikiem”. Był rozwinięciem typu R-XIV, a jego numer „trzynasty”- uważany za pechowy, został nadany przez konstruktora inż. Jerzego Rudlickiego celowo. Prototypowy egzemplarz oblatywał płk pil. Jerzy Kossowski, wykonując na nim wiązanek intensywnej akrobacji, stwierdził w pewnej chwili, że nastąpiło ścięcie sworznia mocującego drążek sterowy. Nie mogąc dalej sterować samolotem, pilot na wysokości 700 m wyskoczył ze spadochronem. Samolot zaś, zamiast roztrzaskać się o ziemię, wykonał jeszcze zwitkę korkociągu... i... gładko wylądował na łące, nie doznając niemal żadnych uszkodzeń. Po tym niesłychanym wydarzeniu, świadczącym jednak o znakomitych własnościach maszyny konstruktor nie bał się „trzynastki”. „Pasikonik” posiadał małą prędkość maksymalną(185 km/h), słaby silnik(220KM), słabe uzbrojenie(1 k-m na obrotnicy) co powodowało, że stawał się łatwym łupem dla wroga. 26 Eskadra straciła wszystkie samoloty (18 września spalono ostatnie 3 „Lubliny” i „Czaple”) i przekroczyła granicę polsko – rumuńską 20 września 1939 roku. Eskadry obserwacyjne wykonały ponad 470 zadań rozpoznawczych i ok. 107 lotów łącznościowych, często postrzelane, na resztkach paliwa, z ranną załogą wracały na swoje polowe lotniska, aby dostarczyć informacje o nieprzyjacielu i ponownie lecieć – gdyż załóg i samolotów było mało... Niestety naszemu bohaterowi zabrakło szczęścia.



Zwracam się z uprzejmą prośbą do czytelników, ktokolwiek by coś wiedział na temat rozbitego samolotu we wrześniu 1939 roku proszę o kontakt z redakcją.

Źródła:

J. Pawlak –Polskie eskadry w Wojnie Obronnej 1939  
Jerzy B. Cynk – Siły lotnicze Polski i Niemiec Wrzesień 1939  
TbiU nr 65 – Samolot towarzyszący Lublin R-XIII  
Materiały i zdjęcia z archiwum rodziny.

# BOCHNIANA

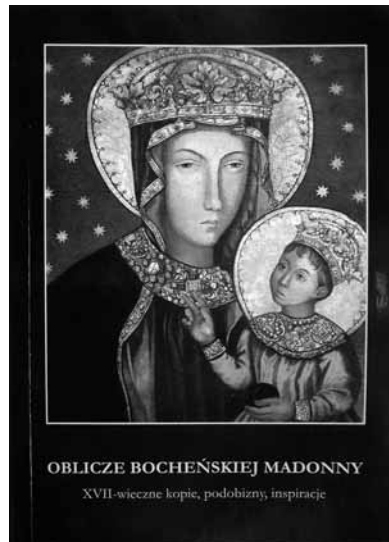
## Oblicze bocheńskiej Madonny

Z okazji 75-lecia koronacji Obrazu Matki Bożej Bocheńskiej do rąk Czytelników staraniem Muzeum im. prof. Stanisława Fischera trafia niezwykle wartościowa i starannie wydana książeczka zatytułowana: „OBLICZE BOCHEŃSKIEJ MADONNY. XVII-wieczne kopie, podobizny, inspiracje”. Autorkami pracy są panie Janina Kęsek i Grażyna Potępa. Przez pięć lat podejmowany był wysiłek dotarcia do kopii i podobizn cudownego obrazu Matki Bożej Bocheńskiej w kraju i za granicą, które dzisiaj – zaprezentowane w wydawnictwie i na muzealnej wystawie otwartej 8 października b.r. dobitnie świadczą o sile kultu związanego z tym obrazem.

W pracy otrzymujemy historię kultu bocheńskiej Hodegetrii z bocheńskiego kościoła dominikanów p.w. „Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny” i opis cudownego zjawiska łez i krwawego potu na obliczu Matki Bożej, jakie miało miejsce 28 lipca 1637 r. Autorki pokazują podobieństwa i różnice, jakie można zauważyć w bocheńskim obrazie, zarówno w odniesieniu do częstochowskiego oryginału obrazu Czarnej Madonny jak i kopii i podobizn obrazów wzorowanych na bocheńskiej Hodegetrii.

Przy pierwszym porównaniu zaskakuje obserwatora brak dłoni Marii wskazującej na Dzieciątka, która jest wyraźnie widoczna, a wymowny gest dłoni wskazującej na Zbawiciela jest jednym z ważniejszych cech Cudownego Obrazu Jasnogórskiej Pani. Nie wykluczają Autorki, że bocheński obraz Madonny z Dzieciątkiem został obcięty wraz z dłonią, na co wskazuje kwadratowy format (a nie prostokątny) obrazu, zachwianie proporcji w kompozycji wizerunku i odwinięcie brzegu płaszcza z prawej strony. Hipotezę o obcięciu obrazu postawili znakomici znawcy sztuki prof. Tadeusz Chrzanowski i konserwator Marian Kornecki, a także prof. Wojciech Kurpik. Profesor Kurpik twierdzi, że obraz jest dość *silnie przemalowany i nie można mieć pewności co do jego pierwotnej formy*. Od ostatniej konserwacji obrazu przeprowadzonej przez Waleriana Kasprzyka w latach 1954-1955 minęło pół wieku. Obecnie przy pomocy nowoczesnych metod można by ujawnić niejedną tajemnicę skrywaną pod zewnętrzną warstwą farby.

O ile kopie bocheńskiego cudownego obrazu M.B. Bocheńskiej łatwe są do ustalenia po zamieszczonych na nich inskrypcjach lub krwawych łzach (Czarna Madonna na Jasnej Górze nie płakała), o tyle podobizny, nie mające takich znamion, ale jedynie podobieństwo po wyrazie twarzy Madonny są trudniejsze do wskazania, dlatego też Autorkom należy wyrazić szczególne uznanie za trud podjętych poszukiwań i ich niezwykle efekty.



Omówiono więc tutaj 11 kopii bocheńskiej Hodegetrii w Biesiadkach i Gosprzydowej (2 obrazy) w diecezji tarnowskiej, Brzezinach w diecezji łódzkiej, Smardzewie w diecezji płockiej, Wierzchach w diecezji wrocławskiej, w Palandze i Kulach (2 obrazy) na Litwie, Bieczu i Żywcu oraz kilkadziesiąt obrazów wykazujących silne podobieństwa do obrazu bocheńskiego znajdujących się w siedmiu archidiecezjach i dziesięciu diecezjach polskich oraz w Wiener Neustadt w Austrii i Szeged na Węgrzech. W literaturze przedmiotu wiele z tych wizerunków zalicza się do „rodziny bocheńskich obrazów”.

W bogato ilustrowanej kolorowymi zdjęciami 175 stronicowej książeczce (tak nazywam pracę, wyłącznie ze względu na jej format) dowiadujemy się o układzie kompozycyjnym obrazu, o jego zasłonach, a więc kotarach z lambrekinami z miękkiej „mięsistej” tkaniny, ozdobionej grubym wzorem z motywem roślinnym, zakończonej złotymi frędzlami, albo zasuwach w postaci innego obrazu. Dowiadujemy się o sukniach, wotach i sukienkach Matki Bożej Bocheńskiej. *Sam obrzęd odświeżania i zasłaniania obrazu stanowił dla uczestników duże przeżycie – czytamy. Dokonywano go przy udziale wszystkich zakonników konwentu, śpiewających chóralnie. Ołtarz odświeżał sam przeor Dominikanów przed codzienną pierwszą mszą o godzinie 5-tej.* Bardzo ciekawa jest wiadomość, że w tym uroczystym momencie śpiewano pieśń „Witaj gwiazdo morza” albo zamiennie „Salve Regina”.

## Antologia Pieśni Maryjnej

To wprawdzie nie książka, ale koncert Kameralnego Chóru ORGANUM pod dyrekcją prof. Bogusława Grzybka przy Klubie Inteligencji Katolickiej Krakowie, który odbył się 8 października b.r. w salach wystawowych Muzeum im. prof. Stanisława Fischera w czasie otwarcia wystawy obrazów Matki Bożej Bocheńskiej. Repertuar koncertu ułożony z pieśni maryjnych rozpoczął się Bogurodzicą, a zakończył Pieśnią do Matki Boskiej Bocheńskiej ułożonej przez organistę bocheńskiego pana Stanisława Kotlewicza w 1934 r. Profesor Grzybek nadał tej znanej w Bochni pieśni, śpiewanej nieco stereotypowo w bocheńskiej Bazylice i na procesjach, nowe niezwykle piękne brzmienie, odświeżył ją dodając do niej piękną barwę i rytm. Koncert był filmowany kamerą video. Mamy więc nadzieję, że zarejestrowaną pieśń będzie można odtworzyć choćby w celach porównawczych. Drugim *bochnianum* na koncercie była anonimowa pieśń maryjna „Witaj gwiazdo morza” z XVII wieku w opracowaniu B. Fungo. Na prośbę Auterek prezentowanej wyżej książki profesor Bogusław Grzybek odnalazł w zbiorach starych pieśni kościelnych na Wawelu tę pieśń i po nowej aranżacji chór ORGANUM wykonał ją w czasie koncertu. Śpiewali ją zawsze bocheńscy Dominikanie w momencie odświeżania i zasłaniania cudownego obrazu Matki Bożej Bocheńskiej w nieistniejącym dzisiaj dominikańskim kościele p.w. „Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny”.

Stanisław Kobiela

## Opowieść o Stanisławie Fischerze

Kiedy 50 lat temu w poddominikańskim budynku przy Rynku 20 uroczyste otwarto podwoje Muzeum Ziemi Bocheńskiej, chyba nikt wówczas nie sięgał wyobraźnią tak daleko, że oprócz podstawowej funkcji kolekcjonerskiej i opiekuna pamiątek będzie ono spełniać rolę najważniejszego, żywego ośrodka promieniującego kulturą i tradycją na całą społeczność Ziemi Bocheńskiej i poza nią. Jakże więc była szczęśliwą ręką, która dała początek tak pomyślnemu badawczo-popularyzatorskiemu rozwojowi Muzeum, które później otrzymało imię swego twórcy i pierwszego kustosa – Stanisława Fischera.

2 października b.r. w reprezentacyjnej Sali Malarstwa Polskiego XIX i XX wieku przy wspaniałej frekwencji sympatyków spotkań muzealnych i bocheńskich miejskich i powiatowych władz, Jan Flaszka, historyk, wieloletni dyrektor Muzeum przedstawił swoją kolejną publikację z cyklu bochniana, tym razem poświęconą jednej z najwybitniejszych, zasłużonych dla Bochni, kultury i nauki postaci – Stanisławowi Fischerowi.

Książkę zatytułowaną *Stanisław Fischer odkrywca i miłośnik ziemi bocheńskiej* wydało w jubileuszowym roku 2009 w starannej edycji, na kredowym papierze Starostwo Powiatowe w Bochni, a wydrukowała Brzeska Oficyna Wydawnicza. Koncepcja redakcyjna umożliwiła wielopłaszczyznowe przedstawienie głównego tematu. Autor wkomponowuje Profesora w przestrzeń kulturową miasta i ziemi bocheńskiej, tę historyczną i tę krajobrazową z uwzględnieniem stanu dotychczasowej wiedzy i badań i w nawiązaniu do istniejącego w Bochni środowiska artystycznego oraz badawczego, a także w kręgu rodzinnym, przyjaciół i sympatyków. Dzięki zastosowaniu modnej dzisiaj wizualizacji powstała książka – album pełna fotografii malarskich Profesora (piękne zdjęcia z żywością barw wykonali Bogdan Mrówka, Andrzej Różycki, Piotr Szczygłowski i Wojciech Salomon) oraz fotografii, na ogół w sepii wybranych z rodzinnych i muzealnych zbiorów Bochni i Nowego Wiśnicza. Przy okazji przypomniano starszemu pokoleniu bocheńskich fotografów: Janinę Gargulową, Stanisława Muchę, Stanisława Famielca, w tekście zaś Klementynę Mien (również artystkę malarzkę). Tak bogata artystycznie malarska i fotograficzna ilustracja rozszerza i uplastycznia słowo autora wzbogacone cytatami z listów, fragmentami relacji, opinii w tym również własnych autora książki. Cały ten zespół środków układa się w biografię Stanisława Fischera, przedstawioną tu bez ambicji szczegółowego rejestru.

Książka Jana Flaszki jest ciepłą, ładnie opowiedzianą opowieścią o człowieku, który pokochał ziemię, na której mieszkał od 1908 roku, który odkrył i sformułował jej tożsamość, w jej historii i tradycji tak duchowej jak i materialnej. Napisana z ogromną sympatią i uznaniem wynikającym ze zrozumienia, jakie może łączyć ludzi tych samych zainteresowań, wrażliwości, chodzących tymi samymi ścieżkami. Autor nazwał Stanisława Fischera „renesansowym”, uzasadniając to wskazuje:

- na jego kolekcjonerską pasję, wrażliwego na piękno i przemijanie zbieracza śladów przeszłości, które odkrywa, zabezpiecza od zniszczenia, zapomnienia opisując lub utrwalając w malarskiej wizji, dokumentując rysunkiem,

- na zatroskanie o rozwój rodzimego potencjału talentów – generalnie przyczynił się do założenia po wojnie wielu placówek edukacyjno-oświatowych w tym Liceum Technik Plastycznych w Nowym Wiśniczu w 1947 r. oraz bocheńskiego Muzeum w 1959 r. któremu darował swoje zbiory sztuki ludowej, etnograficzne, dokumenty, obrazy itp.,

- na intuicję, uzdolnienia badawcze, wiedzę historyka, biografisty, obdarzonego talentem interesującej i pięknej narracji pisarza, którego prace są fundamentem bibliografii do dziejów Bochni, jej kościoła parafialnego, kopalni soli, bocheńskiego gimnazjum, w którym uczył języka łacińskiego i historii oraz historii i sztuki, nazewnictwa podbocheńskich i dalszych wsi.

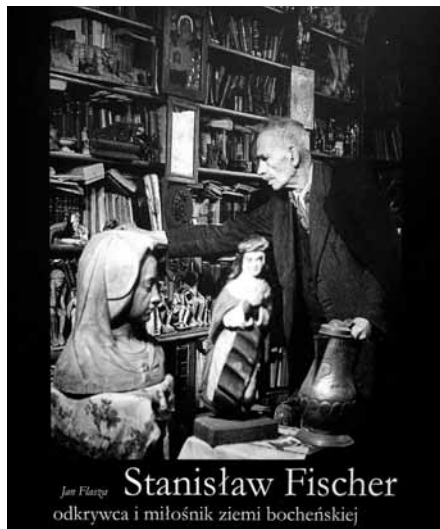
Autor wymieniając główne tytuły prac Fischera, sygnalizuje ich treść podkreśla wartości badawcze i literackie - co podnosi wartość opracowania. W książce uderza ogromna swoboda poruszania się jej autora w tematach lokalnej historii, kultury i sztuki. Działalność Profesora umieszcza w tle historycznych wydarzeń i w środowisku artystów, badaczy i tych z którymi pozostawał w przyjaźni. Znajdziemy więc tutaj nazwiska Piotra Galasa, Marcina Samlickiego, Marii Bielawskiej, Jan Gębicy, Jerzego Żurawlewa. Cytowane fragmenty listów wskazują na rozległe kontakty ze środowiskami uniwersyteckimi, polskiej archiwistyki i muzealnictwa. W pewnym

sensie otrzymaliśmy rys i impresję epoki w kulturze lokalnej bocheńszczyzny przypadającej na przełom wieków i pierwszą połowę XX wieku.

Popularyzatorska cecha tego opracowania niewątpliwie zapewnia mu szeroki krąg czytelników, jednak na spotkaniu promocyjnym zabrzmiał głos upominający się o monograficzne badawczo-dokumentacyjne oparte na szerokiej bazie bibliograficznej przedstawienie życia i działalności Stanisława Fischera. Należy przyznać, że sam Autor we wstępie do Czytelnika pisze, że *pełna biografia Stanisława Fischera uwzględniająca wszystkie aspekty tej osobowości, zapewne kiedyś powstanie i w ramach tej publikacji nie da się zamknąć zbyt bogatego, intensywnego, nieszablonowego i nader ciekawego życia Profesora*. Powołuje się na ogromnie wartościowy zarys biograficzny S. Fischera autorstwa dr Józefa Piotrowicza *Życie i działalność Stanisława Fischera (1879-1967)* opublikowany w 1974 r. w 4 tomie wydawnictwa Muzeum Żup Krakowskich „Studia i materiały do dziejów żup solnych w Polsce”

Wizualna część książki, niemal pinakoteka jest tak sformułowana, że tworzy kolejne jej rozdziały zapewniając estetyczne odczucia i wywołując tęsknotę za minionym czasem. Chyba w żadnym dotychczasowym opracowaniu nie znajdziemy tak bogatego zbioru szkiców, rysunków, akwarel, olejnych obrazów Profesora.

Ewelina Mroczek



Tadeusz Cepak (Warszawa)

# Wspomnienie o Stanisławie Ożegalskim



Ze Stanisławem Ożegalskim spotkałem się po raz pierwszy na początku 1949 roku w Jeleniej Górze, na terenie wspólnego kompleksu obiektów koszarowych, gdzie od 1948 r. organizowana była Oficerska Szkoła Piechoty Nr 2. Stanisław w stopniu kapitana pełnił już bardzo odpowiedzialną funkcję kwatermistrza szkoły. Dystans służbowy między oficerem – członkiem kierownictwa szkoły

a młodym podchorążym, codziennie zaskakiwanym bogatymi przejawami życia podchorążackiego wykluczał wtedy skojarzenie nazwiska kwatermistrza szkoły z ziemią bocheńską. Jednakże dwa lata wcześniej – w okresie gimnazjalnych wakacji – wraz z grupą koleżanek i kolegów z bocheńskiego Gimnazjum i Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego przebywaliśmy na kolonii w nowo wybudowanym modrzewiowym dworku w Kamionnej należącym do dóbr ziemskich rodu Ożegalskich.

W czasie spotkań towarzyskich, już jako członek kadry szkoły, obserwowałem jak bardzo interesował się osobami pochodzącymi ze stron bocheńskich. Wkrótce okazało się, że Stanisław urodził się w Borysławiu 19 października 1919 roku. Ojciec – żołnierz zawodowy – w stopniu majora był dowódcą pułku strzelców konnych. Stanisław szkołę podstawową, gimnazjum i maturę ukończył w Borysławiu.

W sierpniu 1938 roku został powołany do służby wojskowej, w ramach której odbył przeszkolenie w szkole Podchorążych Łączności w Zegrzu, po czym skierowany został – zgodnie z ówczesnymi zasadami przygotowań rezerw osobowych WP – na praktykę podchorążacką do jednostki łączności 24 Dywizji Piechoty. W Polsce trwa napięta atmosfera przygotowań do wojny. Dywizja, objęta planami mobilizacyjnymi, nie zdążyła się zorganizować „w trybie powszechnej mobilizacji” (tzn. do 31 sierpnia 1939 r.), początkowo jako odwód strategiczny „Kutno” z ostatecznym przeznaczeniem i przydziałem do składu Armii „Karpaty”.

W wyniku niespodziewanej agresji sowieckiej jednostki 24 DP dostały się do rosyjskiej niewoli. Stanisław Ożegalski – podchorąży rezerwy – trafił do obozu jenieckiego w Starobielsku. Cudem uniknął tragicznego losu jeńców tego obozu, został zwolniony i powrócił do Lwowa, gdzie w owym czasie mieszkała jego rodzina. Pod koniec listopada 1940 roku wyruszył do rodzinnego majątku w Kamionnej. Tam wraz ze stryjem zajął się gospodarką.

Po aresztowaniu przez gestapo stryja i wywiezieniu go do Oświęcimia sam kierował gospodarstwem. Wybudował pięk-

ny modrzewiowy dworek, w którym w surowym stanie pojawiła się pierwsza w 1947 roku kolonia uczniów bocheńskiego gimnazjum.

W kwietniu 1945 roku posiadłość Ożegalskich objęta została tzw. reformą rolną, rozległe pola zostały pokryte palikami wytyczającymi granice poletek nowych właścicieli. Stary spichlerz świecił pustkami, a na Stradomie stał stary młyn wodny. Te straty dotkliwie odczuł Stanisław. Zdecydował, że pozostanie w wojsku.

W maju 1945 roku został pozytywnie zweryfikowany i jako oficer rozpoczął długie, trudne zawodowe życie wojskowe w służbach kwatermistrzowskich.

Zaczął w Centrum Wyszczolenia Sanitarnego w Łodzi, następnie w 1949 r. został przeniesiony do Jeleniej Góry na stanowisko kwatermistrza OSP 2, a po jej rozformowaniu w październiku 1955 r. pełnił funkcję Szefa Służb Kwatermistrzowskich w Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej. Z Jeleniej Góry przeniesiony został na stanowisko komendanta Wojskowego Zespołu Wypoczynkowego w Szklarskiej Porębie. Na swojej długiej drodze służby wojskowej ponownie wrócił do Łodzi na stanowisko kwatermistrza Wojskowej Akademii Medycznej, by po kilku latach zostać kwatermistrzem Centralnego Szpitala Klinicznego WAM w Warszawie, w którym kierownicze stanowiska zajmowali już absolwenci łódzkiej Akademii, znający pułkownika Stanisława Ożegalskiego jako szefa wymagającego, doskonale przygotowanego w swojej specjalności, sumiennego gospodarza (szpital przechodził okres intensywnej rozbudowy) a zarazem ludzkiego, wrażliwego na ludzkie sprawy, zawsze koleżeńskiego.

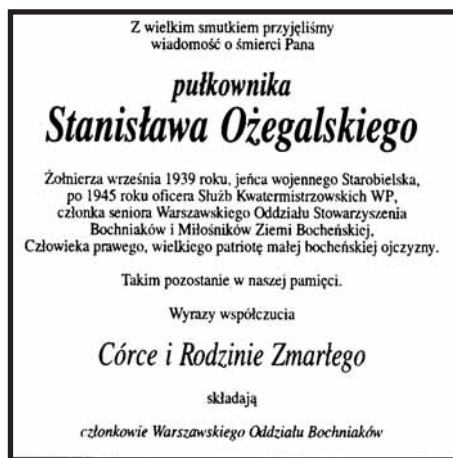
Niezależnie od rozległych spraw i zadań służbowych znajdował czas na spotkania z członkami Stowarzyszenia Borysławiaków oraz na dużą aktywność w życiu Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, którego Zarząd Główny uhonorował tytułem Seniora Stowarzyszenia.

Niezależnie od rozległych spraw i zadań służbowych znajdował czas na spotkania z członkami Stowarzyszenia Borysławiaków oraz na dużą aktywność w życiu Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, którego Zarząd Główny uhonorował tytułem Seniora Stowarzyszenia.

Interesowała Go treść każdego numeru „Wiadomości Bocheńskich”, które dostarczał Józef Szeliga gdy Seniora zmogła choroba. Marzenie odwiedzenia Kamionnej i okolic zrealizował z pomocą prof. Stanisława Pachuty w roku 2001, chociaż podupał mocno na zdrowiu. Żywy telefoniczny kontakt utrzymywał długo z mieszkańcami i władzami gminy. Do ostatnich dni rozmówców zadziwiał doskonałą pamięcią o zdarzeniach i ludziach. Ziemia bocheńska była mu zawsze bliska. Takim pozostanie w naszej pamięci.

*Tadeusz Cepak*

*Gen.bryg. dr Tadeusz Cepak jest prezesem Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej.*



## Dwa koncerty w Bochni i Łapczycy dedykowane Franciszce Platównie

W bieżącym roku mija 35 rocznica śmierci wybitnej polskiej wokalistki, światowej sławy Franciszki Platówny, związanej z Operą Lwowską, Warszawską, a po II wojnie światowej z Operą Wrocławską, której była współtwórczynią.

Franciszka Rotter-Platówna pochodziła z Łapczycy, gdzie jej ojciec był organistą w miejscowej parafii. Dla uczczenia pamięci tak wybitnej artystki pan Andrzej Migdał prezes Oddziału Wrocławskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej wraz z p. profesorem Eugeniuszem Sąsiadkiem b. uczniem, a następnie kolegą Franciszki Platówny z grona profesorskiego Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego we Wrocławiu zorganizowali dwa koncerty: arii i pieśni w Bochni i pieśni kościelnej Łapczycy dedykowane naszej wybitnej Rodaczce.

Stało się to możliwe dzięki życzliwości i zaangażowaniu Profesorów Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego we Wrocławiu, Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego w Katowicach i studentów polskich uczelni muzycznych przebywających na wakacyjnym kursie wokalnym w Krynicy Górskiej, Wójta Gminy Bochnia, Szkoły Muzycznej im. Jerzego Żurawlewa w Bochni i naszego Stowarzyszenia. Kierownictwo artystyczne objęła pani prof. Michalina Growiec z Akademii Muzycznej we Wrocławiu.



Od lewej: A. Migdał, E. Mroczek, prof. E. Sąsiadek, prof. M. Growiec, M. Korody-Chrzan, B. Suwara, Z. Chwałkowski.

W niedzielę 12 lipca b.r. o godzinie 16.00 przy pięknej pogodzie do sali amfiteatralnej bocheńskiej Szkoły Muzycznej przybyli tłumnie mieszkańcy Bochni i przebywający tutaj wczasowicze. Spotkanie otworzył dyrektor Szkoły Muzycznej prof. Krzysztof Krawczyk witając gości. Następnie Andrzej Migdał przedstawił związki artystki z Łapczycą, Bochnią i naszym Stowarzyszeniem.

Profesor Akademii Muzycznej we Wrocławiu Eugeniusz Sąsiadek b. uczeń, a później kolega Artystki z grona pedagogicznego tej Akademii mówił o jej dokonaniach artystycznych i kolejno zapowiadał występujących na koncercie artystów zarówno Profesorów jak i Studentów tych Uczelni. Akompaniowały panie Leokadia Sochacka, Anna Lasek i Julia Laskowska.



Pierwszy utwór Stanisława Niewiadomskiego „Na gody” wykonała studentka Akademii Muzycznej w Gdańsku Róża Bodrzyńska (mezzosopran). Pieśń „Różyczki” współczesnego kompozytora czeskiego M. Sznajder-Trnawskiego zaśpiewała Magdalena Stefaniak absolwentka PSM w Pile a studentka Akademii, Karolina Cywis w AM w Katowicach zaprezentowała się w Arii Zerliny z „Don Giovanniego” Wolfganga Amadeusza Mozarta.

Wszystkie utwory wykonywano w językach w których powstały. Natalia Skrycka (mezzosopran) z AM w Katowicach ujawniła także talent aktorski w pieśni czarownicy *Hexenlied* Feliksa Mendelsohna-Bartholdiego. W dwóch ariach ze „Strasznego Dworu” Stanisława Moniuszki zaprezentowali się student AM w Katowicach Marcin Korbut (bas), który zaśpiewał arię Skołuby, a następnie profesor Feliks Widera (tenor) w arii Stefana. Nie brakowało na sali wątków dramatycznych. Kiedy Skołuba w komnacie w wieży zamkowej straszy tchórzliwego Macieja i w końcu potężnym basem woła do niego: *Boisz się?* siedzący w pierwszym rzędzie prof. Eugeniusz Sąsiadek udając trzęsącego się ze strachu Macieja odpowiada: *Nie!* A na to Skołuba-student pyta złośliwie Macieja-profesora: *Nie?* i radzi mu: *Zażyj tabaki!*

Doskonałym talentem aktorskim i wokalnym popisał się także Szymon Komasa (bas-baryton) w pięknej pieśni Wolframa von Eschenbacha *O du mein holdes Abendstern* z III aktu opery Wagnera „Tannhauser”. Studentka Katarzyna Wawrzyniuk (sopran) z AM w Łodzi wykonała arię Toski z opery „Tosca” Giuseppe Pucciniego. Jeszcze raz usłyszeliśmy muzykę Wagnera – monolog Wotana z opery „Złoto Renu”, a koncert w Szkole Muzycznej zakończył najszlachetniejszy chyba mozartowski szlagier - duet *La ci darem la mano* (Podajmy sobie ręce) z „Don Giovanniego” w wykonaniu Katarzyny Wawrzyniuk (sopran) studentki AM Łódź i Szymona Komasy (bas-baryton) z AM we Wrocławiu.

O godzinie 18.30 w 700-letnich murach Kazimierzowskiego Królewskiego kościoła w Łapczycy p.w. Narodzenia NMP odbył się koncert pieśni kościelnej. Gotyckie sklepienie świątyni, pamiętające występy Franciszki Platówny stworzyło doskonale akustyczne warunki do śpiewu. Zebranych mieszkańców Łapczycy i Bochni witał ks. proboszcz Józef Pajor, Wójt Gminy Bochnia p. Jerzy Lysy i p. Andrzej Migdał.

W programie koncertu znalazły się utwory mistrzów późnego renesansu, baroku, klasycyzmu, romantyzmu i kompozytorów współczesnych. *Ave Maria* Giulio Cacciniego zaśpiewała studentka Magdalena Stefaniak, pieśń Claudia Monteverdiego *Mortal cosa son io* Marcin Korbut (bas) z AM Kielce, *O del Mio dolce Andor* Christopha Willibalda Glucka Róża Bodrzyńska (mezzosopran) z AM Gdańsk, *Eja Mater* ze „Stabat Mater” Giovanniego Battisty Pergolesiego Natalia Skrycka (mezzosopran) z AM Kielce, najsłynniejszy utwór religijny Cesara Francka *Panis Angelicus* – Karolina Ciwis z AM Kielce, duet *Son Nata al. lagrimar* Jerzego Fryderyka Händla – Magdalena Stefaniak (sopran) (PSM-Piła, AM Gdańsk) i Róża Bodrzyńska (mezzosopran) z AM Gdańsk. *Offertorium* J. Maklakiewicza pani Michalina Growiec profesor Akademii Muzycznej w Katowicach, *Ave Maria* Camila Saint-Saensa profesor tej Akademii Feliks Widera (tenor) a koncert zakoń-

czył duet *Ave Maria* Gaetano Donizettiego wykonany przez Katarzynę Wawrzyniuk (sopran) z AM Łódź i Tomasza Rudnickiego (baryton) z AM Wrocław.

Po ogromnych, niekończących się brawach i podziękowaniu Artystom przez organizatorów i księdza Proboszcza oraz po pamiątkowych fotografiach złożono wiązanki kwiatów na grobie ojca Franciszki Platówny na cmentarzu przy kościele. Należy podkreślić, że Artyści urządzili oba koncerty bezinteresownie oddając w ten sposób – o czym mówił w Bochni prof. Eugeniusz Sąsiadek – hołd Artystce, która związana była z Bochnią i Łapczycą.

Obu koncertom towarzyszyły wystawy fotografii z życia Franciszki Platówny (zob także art. *Franciszka Platówna. Z Łapczycy na sceny operowe świata* w nr 4/2008 „Wiadomości Bocheńskich”).

S. Kobiela



## Jarosław Kucybała Hangar lotniczy w Domu Bochniaków

Miłośnicy lotnictwa zgromadzeni w piątek 5 czerwca 2009 roku w Domu Bochniaków mieli okazję posłuchać wykładu dr Krzysztofa Wielgusa, poświęconego działalności lotnictwa na Ziemi Bocheńskiej.

Prelegent jest pracownikiem naukowym Politechniki Krakowskiej na Wydziale Architektury Krajobrazu, rzeczoznawcą ds. zabytków techniki Ministerstwa Kultury i Sztuki i autorem wspaniałych publikacji z zakresu historii lotnictwa, historii obronności, architektury obronnej. Jest autorem lub współautorem wielu architektonicznych projektów, z których część jest realizowana, bądź zatwierdzona do realizacji jak choćby: Park Kulturowy wokół Muzeum Lotnictwa w Krakowie, Plan Rewitalizacji twierdz Zamość i Przemysł, Bulwar Lotników Alianckich w Krakowie i wielu innych.

Krzysztof Wielgus jest autorytetem dla wielu ludzi „zakochanych” w technice lat minionych i postacią dla której nie ma spraw „zbyt trudnych” do realizacji.

Jest jedną z tych krakowskich osobistości, którym zarówno miasto jak i cały region wiele zawdzięcza. Podczas prawie



dwugodzinnego wykładu można było się dowiedzieć o początkach lotnictwa w Galicji, lotnisku na Rajszuli (w Proszówkach), balonach obserwacyjnych. Druga część wykładu była poświęcona drugiej wojnie światowej. Okolice Bochni stanowiły obszar, nad którym przelatywały samoloty z pomocą dla polskiego podziemia, wykorzystali to Niemcy polując na samotne bombowce i dokonując przy pomocy nocnych myśliwców współpracujących z radarem „egzekucji” na samotnych i prawie bezbronnych maszynach.

Bocheńskie Towarzystwo Historii Militarnej tradycyjnie przygotowało wystawę towarzyszącą prelekcji i poświęconą lotnictwu, gromadząc ogromną ilość eksponatów z katastrof lotniczych II wojny św. takich jak : resztki B-24 z Nieszkwic Wlk., Olszyn, Żdzar, resztki Halifaxa z Banicy, PZL Łoś z Dłutówka, He-111 i II -2 z Beskidów, Pe-2 z puszczy niepołomickiej, B-17 z Podolan i wiele innych. Dziękujemy panu S. Domańskiemu i Zespołowi Szkół Gminnych w Nieszkwicach Wlk za wypożyczenie eksponatów na wystawę. Zapraszamy na następne spotkania!



# KRONIKA

## Nagrody Orkana dla Bochnian

Kapituła Nagrody im. Władysława Orkana pod przewodnictwem vice marszałka Sejmu RP Jarosława Kalinowskiego, realizując ideę popierania i wyróżniania ludzi aktywnych i twórczych – po raz dziewiąty przyznała nagrody i wyróżnienia. Wśród odznaczonych znaleźli się również Bochniaci – Nagrody honorowe otrzymali:

Józef Styczeń, dyrektor Krakowskiego Banku Spółdzielczego w Bochni, za mecenat nad środowiskiem artystycznym lokalnym, regionalnym i ogólnopolskim.

Stanisław Kobiela, prezes Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, za całokształt pracy społecznej na rzecz środowisk regionalnych, lokalnych, za inicjowanie wielu akcji artystycznych i społecznych, za bezkompromisowość w ochronie rodzimego krajobrazu i polskiej kultury.

Gala wręczenia Nagród przez Pana Jarosława Kalinowskiego odbyła się 29 maja 2009 r. w Bielsku Białej – w Bielskim Centrum Kultury. Gospodarzami uroczystości bogatej w dodatkowe imprezy byli: starosta bielski Pan Andrzej Płonka i wicestarosta Pan Mirosław Szymła - główny inicjator tegorocznej VII Edycji Ogólnopolskiej Nagrody Władysława Orkana oraz Kanclerz Nagrody – Pan Tadeusz Skoczek.

Redakcja Wiadomości Bocheńskich i Zarząd Główny Stowarzyszenia Bochniaków serdecznie gratulują wyróżnionym Panom. Cieszymy się, szczególnie z uznania zasług i aktywności przedstawiciela Stowarzyszenia. Jest to również pokreślenie ważnej roli i osiągnięć naszej organizacji – której cele i zadania Laureat kontynuuje - tak w środowisku Bochni i Wiśnicza oraz przez Oddziały Stowarzyszenia w innych miastach Polski.

Szerzej o laureatach i uroczystości edycji Nagrody im. Orkana można przeczytać w portalu – [www.potrawy-regionalne.pl](http://www.potrawy-regionalne.pl) (w zakładce inicjowanej portretem Patrona).

E.M.

## Jubileusz Centralnej Biblioteki Wojskowej

W czerwcu b.r. delegacje Zarządu Oddziału Warszawskiego i Zarządu Głównego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej wzięły udział w Jubileuszu 90 rocznicy powstania Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Jubileusz świętowano 13 czerwca w budynku Biblioteki. Stowarzyszenie nasze od lat utrzymuje stałe kontakty z Biblioteką. Tam też jest miejsce spotkań Oddziału Warszawskiego. Założycielem i pierwszym dyrektorem Biblioteki w latach 1919-1933 był bochnianin por. dr Marian Łodyński, mediewista, bibliofil. Reprezentacyjną salę konferencyjną Biblioteki nazwano Jego imieniem, a na kamiennej tablicy opisano Jego zasługi.

Pani dyrektor dr hab. Aleksandra Skrabacz otwierając Jubileusz przedstawiła misję jakie pełni Biblioteka : naukową, społeczną i ochrony dziedzictwa narodowego. Mówiła o zbiorach bibliotecznych (ponad 610 tys. woluminów, o wydawnictwach Biblioteki oraz o nowoczesnym elektroniczno-komputerowym zapleczu ułatwiającym czytelnikom korzystanie ze zbiorów. Zastępca dyrektora pani Krystyna Piwowarska, (pochodząca z Bochni) opublikowała w jubileuszowym wydaniu 2009 kwartalnika BELLONA interesujący artykuł „Zarys historii Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego”.

W uroczystości brali udział przedstawiciele Sejmu, Senatu RP, MON i bibliotek wojskowych z kraju. Oddział Warszawski Stowarzyszenia reprezentował prezes Oddziału gen. bryg. Tadeusz Cepak, a Zarząd Główny Stowarzyszenia wiceprezes Ewelina Mroczek. Złożyliśmy okolicznościowe adresy dołączając do innych gratulacji. W czasie jubileuszu odsłonięto płaskorzeźbę Marszałka.

W kulturalnych rozmowach z panią Dyrektorem i zaproszonymi gośćmi odczuliśmy wielką sympatię do naszego Stowarzyszenia i Bochni. Jubileuszowi towarzyszyła wystawa ze zbiorów Biblioteki p.t. „90 na 90”. Zaprezentowano urządzenia elektroniczne najnowszej generacji. Stowarzyszenie nasze ma także w Bibliotece skromną cegiełkę-dar od Stowarzyszenia w postaci programów Windows, dlatego jesteśmy wymienieni na tablicy darczyńców. Trudno nam było się oderwać od zaprezentowanych na wystawie zbiorów specjalnych CBW, a więc starodruków, rękopisów, fotografii, map, kart pocztowych etc.

(E.M.)

## Koncert ku czci Franciszki Płatówny

12 lipca z inicjatywy Andrzeja Migdała prezesa Oddziału Wrocławskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej zorganizowany został koncert pieśni i duetów operowych w Sali amfiteatralnej Państwowej Szkoły Muzycznej im. Jerzego Żurawlewa w Bochni i koncert pieśni kościelnej w kazimierzowskim kościele p.w. Narodzenia NPM w Łapczycy. zob. artykuł str. 39.

## Odnowiony Dom Bochniaków

W sierpniu b.r. wykonano malowanie pomieszczeń siedziby Stowarzyszenia Bochniaków w Bochni ul.Rynek 2. Roboty wykonała solidnie i w krótkim czasie na podstawie zawartej umowy Firma Budowlana „Gurgul” z Limanowej, ta sama, która wykonywała remont elewacji frontowej tegoż budynku. Na wykonane roboty wykonawca udzielił 3- letniej gwarancji. Stara powłoka malarska ścian, sufitów oraz stolarki i schodów miała ponad 12 lat i była mocno zniszczona i zabrudzona. Przed nałożeniem nowych farb konieczne dokonanie renowacji i wzmocnienia środkiem gruntującym podłoża, usunięcie pęknięć i zacieków. Odnowiono również malowanie schodów drewnianych, osłon grzejników i rur inst. Nad zachowaniem należytej technologii, jakości robót czuwał Jan Paluch jako inspektor nadzoru a koordynował Stanisław Dobranowski w czasie wydłużonych codziennych dyżurów i czynnym zainteresowaniu Zarządu Stowarzyszenia stroną kosztową jak również doбором kolorystyki pomieszczeń. Dużo wysiłku i starań kosztowało przywrócenie pomieszczeń do normalnego użytkowania w czym sprawnie uporała się sekretarz biura Krystyna Janus wraz z zespołem członków Stowarzyszenia. Uzyskany efekt po zakończeniu robót dodał nowego blasku naszej siedzibie co również zauważyli goście i uczestnicy imprez rocznicowych, które się odbyły już w odnowionych pomieszczeniach w początkach września. Koszt robót malarskich wyniósł około 14 tys. zł. i został sfinansowany ze środków własnych Stowarzyszenia.

## Wystawa „Bochnianie- Żołnierze Września 1939 r.” Koncert „A gdy pobudka zagra o świcie”.

1 września po otwarciu i zwiedzeniu wystawy zorganizowanej w salach Oddziału Bocheńskiego Państwowego Archiwum w Krakowie przy ulicy Konstytucji 3 Maja zaproszeni goście

przeszli do „Domu Bochniaków”, gdzie przygotowaliśmy wystawę fotograficzną p.t. „Bochnianie w wojnie obronnej 1939 r.” Zaprezentowano na niej ok. 200 fotografii przedstawiających Bochnian, którzy walczyli we Wrześniu 1939 r. wśród nich kilkudziesięciu odznaczonych Orderem Virtuti Militari oraz ich dalsze dramatyczne i bohaterskie losy w ruchu oporu, (m.in. w Powstaniu Warszawskim, tych którzy zginęli zamordowani w hitlerowskich kacetach, a także przez NKWD w Katyniu, Miednoje i innych miejscach kaźni; żołnierzy Września 39, którzy z Syberii przedostali się do Armii gen. Andersa i odbyli szlak bojowy pełen chwały i bohaterstwa, brali udział i ginęli pod Monte Cassino, oraz tych, którzy walczyli w Dywizjonie Bombowy 301 i Bochnian, którzy po dramatycznych przeżyciach wojennych nie złożyli broni i walczyli nadal o wolną Polskę, za co otrzymywali surowe wyroki z karą śmierci włącznie.

Oczywiście na wystawie nie dało się zamieścić fotografii i notek biograficznych wszystkich Bochnian uczestniczących w Wojnie Obronnej z oczywistych względów, ale przesłanie wystawy polega na pokazaniu, że Bochnianie po traumatycznych przeżyciach Września 39 r. nie zrezygnowali, podjęli walkę z wrogiem w Polce i za granicą dokonując w pełni świadomego wyboru, że także po zakończeniu II wojny światowej kontynuowali walkę o wolną Polskę. Wystawa uświadamia także odbiorcy, że Polska miała dwóch wrogów, którzy z premedytacją i bezwzględnością niszczyli naród polski.

Po dokonaniu otwarcia wystawy w jej atmosferze odbył się koncert pieśni żołnierskiej pt. „A gdy pobudka zagra o świcie”. Z udziałem wszystkich obecnych nasz chór kierowany przez kol. Stanisława Domańskiego zaśpiewał 26 pieśni i piosenek żołnierskich rozpoczynając od znanej pieśni „Rozkwitają pąki białych róż”. Wśród pieśni był Hymn Armii Krajowej, Koncert prowadziły kol. Ewelina Mroczek i Danuta Dąbrowska. Po koncercie dla uczestników spotkania podano żołnierską grochówkę.

### Na Wawelu i w Filharmonii Krakowskiej

W czerwcu b.r. późnym wieczorem członkowie Oddziału Bocheńskiego wybrali się na operę-buffo Gioacchino Rossiniego „Cyrułek Sewilski” wystawioną przez artystów Opery i Operetki Krakowskiej w języku włoskim na renesansowym dziedzińcu królewskiego zamku na Wawelu. Nie odstraszył nas deszcz i naciągająca wiosenna burza. Zaopatrzeni w peleryny wysłuchaliśmy całej opery. Kiedy pojawiły się na niebie gwiazdy, nagle zabłysły błyskawice i grzmoty piorunów, a była to słynna „La Tempesta” z II aktu opery. Artyści krakowscy w koloraturach, ariach i duetach wzniesli się na wyżyny bel canta.

16 października byliśmy w Filharmonii Krakowskiej im. Karola Szymanowskiego na koncercie muzyki Wolfganga Amadeusza Mozarta i Sergiusza Prokofiewa. Wystąpiła Orkiestra Filharmonii Krakowskiej, której gościnnie przewodził Michał Maciaszczyk, dyrygent i skrzypek-solista, laureat prestiżowych nagród w dziedzinie wiolinistyki, koncertmistrz Wiedeńskiej Orkiestry Kameralnej, Wiener Secession Players oraz Das Kammerensemble Wien, współpracujący z Wiedeńskimi Filharmonikami i Orkiestrą Opery Wiedeńskiej. Artysta po solowej grze na skrzypkach otrzymał niemiłkące owacje publiczności wypełniającej salę koncertową do ostatniego miejsca. Po divertimentach Mozarta i jego koncercie skrzypcowym G-dur nr 3 KV 216, zabrzmiała słynna „Symfonia Klasyczna” D-dur Sergiusza Prokofiewa, która rozpoczęła epokę

neoklasycyzmu w muzyce i koncert skrzypcowy A-dur. Wyjazd na te wydarzenia muzyczne w Krakowie zorganizowały panie Krysia Janus i Ania Londo, które od kilku lat organizują podobne nasze eskapady do Krakowa.

Po koncercie przyłączyliśmy się do młodzieży, która z okazji Dnia Papieskiego zgromadziła się pod „Oknem Papieża” przy ulicy Franciszkańskiej 3 i tam uczestnicząc w śpiewach zaśpiewaliśmy na koniec „Barkę”.

*E.M*

### Mecz szachowo-brydżowy Bochnia-Wieliczka

W ramach obchodów Dni św. Kingi odbył się w Wieliczce w dniu 25 lipca b.r. VII mecz szachowo-brydżowy o puchar Pierścień św. Kingi pod patronatem burmistrza Wieliczki. Miejscem rozgrywek była sala Magistratu w Wieliczce. W dwumeczu szachowym bocheńska drużyna w składzie; Edward Dorociński- kapitan, Piotr Widła, Mieczysław Hamuda, Marcin Tyrka, Karol Marzec, Krzysztof Sowiński uległa po wyrównanej walce drużynie Wieliczki w stosunku 5 ~ : 6 ~ pkt. W drużynie Wieliczki wystąpił aktualny mistrz świata - kat. wiekowej do 10 lat Jan Krzysztof Duda, który odnotował dwa zwycięstwa, podobnie jak Piotr Widła z Bochni. W rywalizacji w brydżu sportowym team z Bochni w składzie; Jan Paluch- Andrzej Ołdakowski, Bronisław Mucha- Wacław Wyżga zwyciężył reprezentantów Wieliczki przekonywująco w stosunku 25 : 5 imp. Puchar przechodni – Pierścień św. Kingi tym razem powędrował do Wieliczki, która zdobyła go po raz pierwszy w dotychczasowej siedmioletniej historii rozgrywek. Puchar został przekazany przez Jana Palucha - V-ce Prezesa Stowarzyszenia Bochniaków wraz z gratulacjami Pani Jadwidze Duda - Przewodniczącej Stowarzyszenia Wieliczkan, dzięki której zaangażowaniu kontynuowane są sympatyczne kontakty kulturalne i sportowe między naszymi miastami. Swoją obecnością zaszczylił również to spotkanie Bogdan Kosturkiewicz Burmistrz miasta Bochni.

*J.P.*

### Dr Zbylut Twardowski w Domu Bochniaków

10 września na zaproszenie Oddziału Bocheńskiego naszego Stowarzyszenia odwiedził nas światowej sławy nefrolog prof. dr med. Zbylut Twardowski z małżonką dr Haliną Twardowską, stale zamieszkały w Stanach Zjednoczonych. Spotkanie prowadził dr Wiesław Tłalka członek Zarządu Oddziału Bocheńskiego. Profesor mówił o swoich związkach w Bochni oraz o najnowszych osiągnięciach światowej nefrologii. Wykład Profesora wzbudził ogromne zainteresowanie publiczności. Pod koniec spotkania chór Stowarzyszenia pożegnał PT. Gości, którzy zadeklarowali członkostwo w Stowarzyszeniu podpisując deklaracje. Kilka dni temu otrzymaliśmy od Państwa Twardowskich piękny kolorowy album ze stanu Missouri, w którym mieszkają : „Missouri Simply Beautiful”.

### Konferencja w Częstochowie

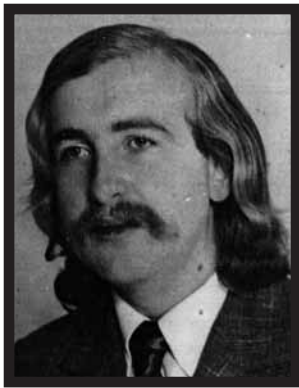
W dniach 25 - 26 czerwca 2009 r. w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie odbyła się Międzynarodowa Konferencja Naukowa poświęcona Muzeum Polskiemu w Rapperswilu. Wzięli w niej udział naukowcy z Polski i Szwajcarii zajmujący się historią Muzeum. Obecna na konferencji dyrektor Muzeum Polskiego w Rapperswilu - Anna Buchmann stwierdziła , że los Muzeum jest nadal nie pewny. Wychodząc na przeciw postulatam władz

gminy Rapperswil polskie Ministerstwo Kultury zgodziło się sfinansować nową aranżację ekspozycji muzealnej. Tego zadania podjęło się Muzeum Historii Polski. Ale kryzys może przeszkodzić całemu przedsięwzięciu. Istotną cechą działalności Muzeum była zawsze zgodna współpraca Polaków ze Szwajcarami, którzy popierali polskie aspiracje wolnościowe i byli rzecznikami polskiej przynależności ideowo-kulturowej do Europy Zachodniej. Mamy nadzieję, że tak będzie dalej. W konferencji brali udział także członkowie Stowarzyszenia Bochniaków: kol. Małgorzata Szczepara i Dorota Korta oraz prezes S. Kobiela. Wielkim powodzeniem wśród uczestników konferencji cieszyły się ostatnie Wiadomości Bocheńskie z artykułem poświęconym Rapperswilowi. Uczestnicy konferencji zwiedzili Klasztor Jasnogórski poznając archiwalia nieudostępniane na co dzień turystom.

## NEKROLOG

### Zbigniew Ellnain (1949-2009)

22 września b.r. zmarł w Limanowej, w wieku 60 lat. Zbigniew Ellnain. Został pochowany w rodzinnej Żegocinie. Syn Seweryna



Ellnaina, profesora geografii i dyrektora Liceum Ogólnokształcącego im. króla Kazimierza Wielkiego był absolwentem tej szkoły i magistrem prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wykazywał się dużą aktywnością w Stowarzyszeniu Miłośników Ziemi Żegocińskiej, którego był członkiem-założycielem. Zamiłowania historyczne, pietyzm dla przeszłości wyraził się szczególnie w trosce o stan cmentarzy wojennych z I wojny światowej.

Z jego inicjatywy i przy jego osobistym zaangażowaniu uporządkowano kwatery wojenne cmentarza głównego i przy murze kościelnym parafii p.w. św. Mikołaja w Żegocinie m.in. uzupełniono i odczyszczono tablice nagrobne i krzyże.

Należał do czynnych członków Bractwa Krzyżowców przy Oddziale PTTK w Świdnicy, które skupia pasjonatów tego tematu z Polski, Niemiec i Czech. Bractwo rejestruje i oznacza tabliczkami informacyjnymi t.zw. krzyże pokutne pozostałe po dawnych wiekach, których najwięcej można znaleźć na Śląsku.

Zbigniew Ellnain był autorem cenionych przez Czytelników artykułów publikowanych na łamach „Wiadomości Bocheńskich”. Jego prace redakcyjne odkrywały czytelnikom historię, walory artystyczne i tradycje dworów polskich i innych zabytków Ziemi Limanowskiej i Bocheńskiej, a więc cmentarzy wojennych z I wojny światowej i rzeźby ludowej w drewnie i kamieniu. Pisał z erudycją, na podstawie szerokiej kwerendy bibliograficznej i z zapalem konesera. Był znawcą heraldyki, rodów szlacheckich i magnackich.

W smutku składamy wyrazy głębokiego współczucia Rodzinie zmarłego oraz Jego Przyjaciołom.

*Redakcja*

### Nagrobek Kaspra Turka

Jak co roku, tak i teraz 1 listopada będziemy kwestować na cmentarzu przy trzech bramach: głównej, od strony ulicy Karosek i od ulicy Polnej. Pieniądze zebrane z poprzednich dwóch lat przeznaczylimy na konserwację pomnika na grobie Kaspra Turka, powstańca z 1863 roku w kwaterze II cmentarza.

Kasper Turek syn Karola i Rozalii Feliksiewicz urodził się w Bochni 1 stycznia 1840 roku. Był rodzonym bratem Józefa, późniejszego burmistrza. Po ukończeniu studiów w Instytucie Technicznym w Krakowie, pracował w bocheńskiej kopalni. W 1863 roku poszedł ochotniczo do powstania. Jego powstańcze losy nie są znane. Po powstaniu wrócił do Bochni i do pracy w kopalni dochodząc z czasem do stopnia sztygara. Pełnił też funkcję radnego miejskiego. Był zamożnym człowiekiem posiadał a Bochni dwa domy, mieszkał w jednym z nich przy Górnym Rynku. Ożenił się z Julią Eleonorą z Bernackich, z którą miał liczną rodzinę: cztery córki Marię, Julię, Klotyldę i Helenę oraz syna Władysława. Kasper Turek zmarł w Bochni 20 września 1907 roku. W 1916 roku zmarła jego żona Julia. W Bochni nie ma już nikogo z tej rodziny. Ostatnim z żyjących wnuków Kaspra i Julii Turków był Zbigniew Kolarz mieszkający w Gorzowie Wielkopolskim, syn Heleny i Antoniego Kolarza, ale i on zmarł kilka lat temu. Pomnik na grobie małżonków Turków konserwowany jest przez krakowskiego konserwatora pana Jarosława Lisa.

## KRONIKA MUZEUM

Po wakacjach działalność muzeum wznowiono 3 września, specjalnym Czwartkowym Wieczorem Pamięci, podczas którego pracownik Muzeum Narodowego Piotr Wilkosz, wygłosił wykład *Niepołomickie Pociągi Pancerne*. Również we tym miesiącu (17-go IX) w ramach programu Czwartkowych Spotkań Muzealnych, historyk Ryszard Rybka zaprezentował temat *Znaczenie garnizonu bocheńskiego, w okresie II Rzeczypospolitej i jego wkład w obronę państwa we wrześniu 1939 roku*.

W dniu 26 września Muzeum im. Stanisława Fischera w Bochni obchodziło jubileusz 50-lecia działalności. Na uroczystości obecni byli przedstawiciele władz, zaproszeni goście z partnerskich miast ze Słowacji ( z Kežmarku, Bardejowa i Lewoczy) oraz z Niemiec ( z Bad Salzdetfurth) z muzeów polskich, ( z Krakowa, Tarnowa, Nowego Wiśnicza, Wieliczki, Sandomierza, Zamościa, Tarnobrzegu i in. ), członkowie Rady Muzealnej, współpracujący z muzeum konserwatorzy oraz benefaktorzy muzeum. Podczas tej uroczystości dyrektor Muzeum Jan Flaszka odznaczony został srebrnym medalem „Gloria Artis”. Odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” otrzymały: Janina Kęsek, Iwona Zawidzka i Aneta Stachoń. Uroczystość uświetnił recital Janusza Grzesza „Powrót Konrada” inspirowany literaturą i malarstwem z muzealnej galerii.

W dniu 1 października odbyło się IX spotkanie z cyklu „Oblicza medycyny”, podczas którego dr Łukasz Łuczaj opowiadał o roślinach jedzonych na przednówku w dawnej Galicji i zaprezentował wyniki swych badań nad zielnymi bukietami i wiankami święconymi w polskich kościołach.

Następnego dnia, 2 października, wyjątkowo w piątek, odbyła się promocja książki dyrektora muzeum Jana Flaszki, napisana w roku 50-lecia muzeum o fundatorze muzeum *Stanisław Fischer, odkrywca i miłośnik ziemi bocheńskiej*. Szersze omówienie tej pozycji przedstawiamy w osobnym artykule.

75 Rocznice koronacji cudownego obrazu Pani Bocheńskiej muzeum uczciło wystawą *Jest w Bochni obraz Matki Chrystusowej..., XVII wieczne kopie i podobizny obrazu Matki Bożej Bocheńskiej*. Wystawie towarzyszy książeczka-katalog. Przed wernisażem odbył się koncert staropolskich pieśni maryjnych w wykonaniu Chóru Akademickiego „Organum” pod dyrekcją p. Bogusława Grzybka. Następnego dnia odbyła się sesja naukowa z udziałem historyków sztuki i konserwatorów z Polski i Litwy. **J.K.**

Michalina Pięchowa

# Krym za czasów Adama Mickiewicza a dziś



*Trzytygodniowa przeszło podróż – pisał Malewski – współtowarzysz A. Mickiewicza – nie zostawiła nic przyjemnego, ale też i nic przykrego po sobie. Trzej zesłańcy: Mickiewicz, Malewski, Jeżowski, przemierzali bowiem w saniach długą drogę z Petersburga do Odessy. Od tego czasu upłynęło ponad*

180 lat. Nasza zaś podróż z Humania do Odessy (300 km.) trwała kilka godzin. Wrażenia z niej raczej mało przyjemne: drogi kiepskie, pustkowie, tu i ówdzie bardzo biedne wsie.

Odessa jest miastem młodym, liczącym 200 lat, mimo to niezwykle urokliwym z racji secesyjnych kamienic, imponujących bulwarów oraz mozaiki narodowościowej mieszkańców. Już w czasach naszego poety Odessa była ośrodkiem życia gospodarczego, kulturalnego, a także towarzyskiego. W bogatym mieście portowym otworzyły się salony polskiej arystokracji przed znanym już poetą oraz ofiarą carskiej polityki. Mieszkał przy ulicy Katarzyny II. Tam więc skierowaliśmy nasze kroki. Na frontowej ścianie kamienicy, w której się zatrzymał poeta, widnieje tablica z popiersiem naszego Wieszcza

W trzy miesiące po przyjeździe Mickiewicz wziął udział w wyprawie na Krym. Wspaniałe krajobrazy Taurydy, góry i morze, piękno dzikiej przyrody, urok ruin oraz pamiątek historycznych kusily Adama do uczestnictwa w wycieczce. Płynąc z Odessy do Sewastopolu w towarzystwie Sobańskich, Henryka Rzewuskiego, gen. Witta i Bocznika, poeta nie zdawał sobie sprawy z politycznego celu podróży. I my nie bawimy zbyt długo w tym międzynarodowym porcie. Przed nami 12 godzin jazdy i 600 kilometrów do pokonania długość linii brzegowej Krymu wynosi 2000 km, jego obszar 27 000 km<sup>2</sup>, który obecnie zamieszkuje 2,6 miliona mieszkańców. *Część Krymu – wspominał po latach Mickiewicz – między górami a morzem jest jedną z najpiękniejszych krain świata. Niebo jest tak czyste i klimat tak łagodny jak we Włoszech. Ale zieloność jest piękniejsza. Spotykają się lasy i cienie, o co tak trudno we Włoszech.*

Podzielamy opinię Wieszcza i urzeczeni pięknem krajobrazu przyglądamy się czarnym cyprysom strzelającym prostopadłe w błękit, soczystej zieleni wzgórz, dzikim skałom wznoszącym się pionowo nad spokojną taflą morza, całkowicie błękitnego na przekór swej nazwie. Mimo woli przypominają się słowa sonetu „Cisza morska”:

*Już wstązkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,  
Cichymi gra piersiami rozjaśniona woda;  
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda.*

Tak, jak opisany step był dla Mickiewicza jedynie drogą wiodącą ku morzu, tak cisza morska stanowiła zapowiedź burzy, której poeta poświęcił sonet IV.

Płynąc statkiem wzdłuż strzępiastych brzegów Krymu, nie mieliśmy okazji przeżyć morskiej nawałnicy. Przed naszymi oczyma, z jednej strony rozciągała się spokojna tafla morza – sięgająca swymi krańcami linii horyzontalnej, z drugiej przysiadły urokliwe szczyty, z zieleni, których wyłaniały się białe mury willi oraz sanatoriów. Czy byliśmy u wschodnich wybrzeży, czy też zachodnich Krymu zawsze towarzyszył nam Ajudah, skała o kształcie niedźwiedzia pijącego wodę morską.

*Lubię spoglądać wsparty na Judahu skale,  
Jak spienione bałwany to w czarne szeregi  
Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi  
W milionowych tęczach kołują wspaniale.*  
s. XVIII

Na tle tej właśnie skały malarz Wańkiewicz utrwalił portret Mickiewicza. Płótno nosi tytuł „Mickiewicz wsparty na Judahu skale”, a oglądać możemy je w Muzeum Narodowym w Warszawie. Spełniło się proroctwo stwierdzenie Adama, że „wieki uplotą ozdobę jego skroni.” Upłynęły lata, Mickiewicz zdobył światową sławę, a Czatyrdah tak, jak za czasów polskiego poety, nadal wznosi się „głuchy, nieruchomy”, a jego, „turban z chmur haftując błyskawic potoki.” s. XIII. Towarzyszy nam, gdy jedziemy do Baczysaraju.

*„Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina.  
Zmiotane czołem baszów ganki i przedsienia,  
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,  
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina”*  
s. VI

To, co ujrzelśmy, jest potwierdzeniem słów poety. Dawna stolica chanów stanowi symbol Wschodu. Panuje w niej orientalna atmosfera, a zapach ziół, szczególnie lawendy roznosi się po okolicy. Nasze oczy przyciąga pałac zbudowany w pierwszej poł. XVI wieku. W jego architekturze dostrzec można wpływy ormiańskie, arabskie i włoskie. Bogactwo oraz piękno tej budowli służyło członkom jedynej krymskiej dynastii Girejów. Podziwiamy poszczególne obiekty. Podchodzimy do Fontanny Łez. Jej poświęcił swój poemat pt. „Fontanna Baczysaraju” Aleksander Puszkina, jej dotyczy też sonet Mickiewicza:

*W środku sali wycięte z marmuru naczynie  
To fontanna haremu, dotąd stoi cało  
I perłowe tży sącząc woła przez pustynie:  
Gdzież jesteś, o miłości, potęgę i chwałę!*

Fontannę Łez zaprojektował Omer w latach 1734 – 1764. Przed rokiem 1787 usytuowana była koło mauzoleum Diljary Bikecz tj. przepięknej księżnej, ukochanej żony chana Girleja, prawdopodobnie Polki Marii Potockiej. Idziemy w stronę jej grobu, by podumać nad losem Polki, jak ongiś Mickiewicz. I fontannę i mauzoleum kazał wybudować zropaczony chan po stracie swej ukochanej. Myśląc o losie polskich branek, nieoczekiwanie spotykamy człowieka sprzedającego zioła, który odezwał się do nas po polsku. Okazało się, że pochodzi z Wieliczki. Tuż przed wybuchem wojny wyjechał z rodzicami do babci pod Tarnopol, kiedy Sowietci wkroczyli do Polski i rozpoczęli wywózki, ktoś doradził babci, by uciekli na Krym. Tym sposobem znalazł się tak daleko od Ojczyzny.

Tymczasem kończy się dzień, wracamy do Jałty.

*Już góry poczerniały, w dolinach noc głucha,  
Źródła szemrzą jak przez sen na łożu z bławatów.*

Promienie słońca kładą się na tafli morza, wstaje ranek, a my jedziemy do Livadii, wschodniej części Jałty, jej przedmieścia. Piękne, amfiteatralne położenie Jałty, wyszukana architektura i szereg innych czynników decydują o tym, że stanowi ona najzamożniejszy kurort na czarnomorskim wybrzeżu. Nazwa jej, jałos – brzeg, wywodzi się od greckiego słowa, bo też jego początki wiążą się z założycielami, czyli Grekami. W ciągu wieków przechodziła pod panowanie Genuńczyków, następnie Rosjan. Od momentu,

kiedy car Mikołaj II wraz z rodziną zaczął bywać w Livadii, Jałta rozrosła się i przekształciła w kurort.

Jesteśmy na miejscu, stoimy przed wspaniałym pałacem Mikołaja II, zbudowanego w latach 1910 – 1911. Biel ścian wyraźnie odbija od ciemnej zieleni wspaniałego parku. Ten kompleks pałacowo – parkowy, jakkolwiek piękny, budzi w nas, Polakach, niemiłe skojarzenia. To tu dokonano piątego rozbioru Polski, to właśnie tu w jednej z sal, przy okrągłym stole „wielcy” trzech zwycięskich mocarstw, bez wiedzy i zgody Polaków, ustalili granice naszej Ojczyzny. Postanowienia, nad którymi obradowano w dniach od 4 do 11 lutego 1945 roku, przeszły do historii pod nazwą konferencji jałtańskiej.

Aby poprawić sobie humory, jedziemy na południowy zachód od Jałty do Ałupki. Już z daleka dostrzegamy pałac z szarego kamienia w stylu mauretańskim, wybudowany w 1848 roku dla hr. Michała Woroncowa. Zaprojektowali go dwaj angielscy architekci. Warto przypomnieć, że żoną generała Woroncowa była córka Ksawerego Branickiego, a siostra Zofii Potockiej, właścicielki Krzeszowic. Sale pałacu stanowią kolekcję obrazów, rzeźb i mebli pochodzących głównie z końca XVIII i pierwszej połowy XIX. Zwiedziwszy je podziwiamy, ogrody i park, wracamy do hotelu, gdyż:

*Rzęźwią się wiatry, dzienna wolnieje posucha,  
Na barki Czatyrdahu spada lampa światów.* s. XII

Kiedyś Adam – Pielgrzym opuszczał Krym, by udać się do Moskwy – serca wroga, my zaś o 4-tej rano zostawiamy poza sobą Jałtę. Przed nami długa, uciążliwa droga prowadząca jednak do POLSKI.

*Michalina Pięchowa*

## Bocheńscy nauczyciele emeryci w drodze na Krym

Już słońce układało się powoli do snu, a ciepły, wiosenny zmierzch stopniowo zapadał, kiedy grupa nauczycieli zajmowała swe miejsca w autokarze. Godnym podziwu jest fakt, iż średnia wieku 65 – 70 nie stanowiła i nie stanowi przeszkody w pokonywaniu trudów podróży, a równocześnie zaspokajaniu chęci przeżywania wciąż nowych wrażeń. Od 20 lat nauczyciele – emeryci przemierzają drogi prowadzące do różnorodnych atrakcyjnych miejsc Europy. Tym razem szlaki miały prowadzić na Krym. Pierwszy odcinek trasy wynosił 900 km. Po kilkunastogodzinnej podróży dotarliśmy do Humania, którego nazwa i miejsce wywołały w nas nieprzyjemne skojarzenia. Na czele zbuntowanych chłopów i kozaków stanęli Gonta oraz Żeleźniak. W dniu 24 czerwca 1768r. wymordowali prawie całą ludność, załogę fortecy, szlachtę, duchownych, Żydów, łącznie ponad 15 tysięcy. Pacyfikację przeprowadziły wojska królewskie i rosyjskie.

Naszą uwagę zaprzętnął jednak nie Humań, ale Zofiówka lub Sofiówka, krajobrazowy park, liczący 150 ha powierzchni. Ongiś jeden z najpiękniejszych w Europie kompleks pałacowo – parkowy zaprojektowany przez Metzela jako prezent St. Szczęsnego Potockiego dla trzeciej żony, pięknej Zofii, Greczynki z pochodzenia. Depcząc po ścieżkach ogrodowych, przywołujemy znane nam obrazy dotyczące przeszłości.

W 18 w., kiedy modne były ogrody angielskie, król ST. August szczególnie troszczył się o rozwój kultury, otaczał więc troską pisarzy, malarzy, ludzi sztuki. Wspomagał finansowo, interesował się ich twórczością, zapraszał na spotkania, które weszły do literatury pod nazwą obiadów czwartkowych. Wśród wielu osobistości uczestniczył w nich również Stanisław Trembecki, dworak, wielbiciel carycy Katarzyny, przyjaciel targowiczana Szczęsnego Po-

tockiego. Spod jego pióra wyszły trzy poematy opisowe: Polanka, dotycząca posiadłości króla, Powązki, własności Izabelli Czartoryskiej oraz Sofiówka.

Ten ostatni był hymnem na cześć Potockiego i Zofii, liczył 500 wierszy, pisany trzynastozgłoskowcem zawierał uwagi nad życiem, opowieści o wymyślonych wydarzeniach, przede wszystkim jednak pochlebstwa, natomiast niewiele było opisów.

Poemat zaczyna się tak:

*Miła oku, a liczny rozżywiona płodem,  
Witaj, kraino mlekiem płynąca i miodem!*

-----  
*Czernią się żyzne role, lecz bryły tej ziemi  
Krwią przemokły, stłuszczone ciała podartemi.*

Pokój i szczęśliwość temu krajowi, zdaniem Trembeckiego, dała dopiero Katarzyna II „przez czyny nieśmiertelne swoje”. Swego czasu utwór ten był wysoko ceniony: Mickiewicz nie tylko napisał do niego objaśnienia, ale próbował przekładać go heksametrem łańskim, a nawet naśladował.

„Sofiówka” stanowi formę opowiadania autora, który ogląda gaiki, groty, skały, płynie łódką, zachwyca się roślinnością. Poemat kończy słowami pochwały i podziwu dla Zofii. Nic też dziwnego, iż za swe „dzieło” Trembecki otrzymał 2 tysiące czerwonych złotych od Szczęsnego.

Czy dziś coś pozostało z tej przeszłości? Panegiryk Trembeckiego nie przedstawia większej wartości, leży na półkach bibliotecznych przysypany pyłem zapomnienia, nazwisko Potockiego zapisało się w historii naszego narodu jako nazwisko zdrajcy i sprzedawczyka, jedynie ogrody przetrwały, urzekając zwiedzających.

Jaki był ich początek?

W XVIII wieku zapanowała moda na ogrody angielskie, przypominające dziką przyrodę. Bohaterka satyry Krasickiego tak je charakteryzuje:

*Niech będą z cyprysów gaiki,  
Mruczące po kamykach gdzieniegdzie strumyki,  
Tu kiosk, a tu meczek, holenderskie wanny,  
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyjanny,  
Wszystko jakby od niechcenia, jakby od igraszki...*

Wsluchujemy się zatem w szum wodotrysków, kaskad i strumyków, podziwiamy romantyczne mostki przerzucone nad nimi, spoglądamy na skały, relikty posągów i ozdób, a przede wszystkim zachwycamy się krzewami oraz egzotycznymi gatunkami drzew. Wiele mogłyby one powiedzieć szumem swych liści, gdyż zapewne były świadkami zabaw i uroczystości, które miały miejsce w tych zagajnikach.

Pod wpływem ciekawych opowieści przewodnika nasza wyobraźnia zaczyna pracować, tworzy obrazy przeszłości, które nakładają się na teraźniejszość... i widzimy snującą się po alejkach urodziwą parę w strojach francuskich. Zauroczeni widokiem oraz pięknym otoczeniem, z nowymi doświadczeniami przygotowujemy się do następnego etapu naszej podróży.

*Michalina Pięchowa*



## Spis treści:

1. Muzeum Motyli „Arthropoda”	s. 2
2. Edward Palik 1919-2008 wybitny przyrodnik-entomolog i odkrywca	s. 3
3. Moje bocheńskie wspominki cz. 2 – Krzysztof Kwaśniewski	s. 4
4. Powietrzna walka nad Kłajem – Wojciech Krajewski	s. 6
5. 100-lecie śmierci Heleny Modrzejewskiej – Stanisław Kobiela	s.10
6. OP „Spaleni” – Ewelina Mroczek	s.16
7. Zwrócona tożsamość – Anna Londo, Maria Włodarczyk-Langer	s.21
8. Wspomnienie o moim ojcu Andrzeju Więcku – Barbara Marszałek	s.24
9. Turystyczny szlak żeglugowy ? – Mieczysław J. Jagła, Zbigniew Siedlarz	s.25
10. Bitwa o Bochnię – Jarosław Kucybała	s.28
11. Podporucznik Michał Łukaszewicz – Jarosław Kucybała	s.29
12. Proces załogi KL Auschwitz-Birkenau, cz.5 – Stanisław Kobiela	s.30
13. Kapral podchorąży Franciszek Dubiel – Jarosław Kucybała	s.35
14. BOCHNIANA Oblicza bocheńskiej Madonny – S. Kobiela, Antologia Pieśni Maryjnej, Opowieść o Stanisławie Fischerze – E. Mroczek	s. 36 s. 37
15. Wspomnienie o Stanisławie Ożegalskim – Tadeusz Cepak	s.38
16. Dwa koncerty w Bochni i Łapczycy dedykowane Franciszce Płatównie	s.39
17. Hangar lotniczy w „Domu Bochniaków” – Jarosław Kucybała	s.40
18. KRONIKA	s.41
19. Krym za czasów Adama Mickiewicza – Michalina Pięchowa	s.44
20. Spis treści	s.46
21. Paweł Klasa i Marcin Gibała. Bocheńscy pasjonaci fotografii – K. Maćkowski	s.46

## Paweł Klasa i Marcin Gibała Pasjonaci bocheńskiej fotografii

W czasie Dni Bochni 2009 r. 22 czerwca b.r. w salach Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bochni otwarta została wystawa fotograficzna panów Pawła Klasy i Marcina Gibały zatytułowana „Ukryte piękno bocheńskiego grodu” - XLVIII Salon Artystyczny – Literacki.

\* \* \*

**Paweł Klasa** jest fotografem samoukiem, który swojej pasji poświęca każdą wolną chwilę. Jego zdjęcia można publicznie zobaczyć niezwykle rzadko, najczęściej na wystawach laureatów fotograficznych konkursów, w kręgach muzealnych i bibliotecznych. Od wielu lat fotografie jego publikowane są na okładce kwartalnika społeczno –kulturalnego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej – Wiadomości Bocheńskie. To jego wkład społeczny do działalności Stowarzyszenia. Trudno się dziwić. Pan Paweł urodził się w Bochni, zakochany w Bochni i jej okolicach dostrzega jej urok w każdej porze roku.

Niemal do perfekcji opanował technikę zdjęć krajobrazu, architektury, ludzi. Wszędzie potrafi znaleźć ciekawy temat, który zgłębia w każdym szczególe. Pomimo bogatego war-

ształu, rzadko kiedy naprawdę jest zadowolony ze swoich fotografii. Nie wynika to z fałszywej skromności. Uważa, że fotografik powinien stale doskonalić swój warsztat.

Prace swoje prezentował na wystawach w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Bochni i jej filiach, w Bibliotece w Grobli od 2000 roku. Otrzymywał nagrody : główną w konkursie fotograficznym „Skarby Małopolski” w Nowym Wiśniczu w 2001 r, II miejsce w konkursie Focusa organizowanego pod patronatem Twojego Magazynu Fotograficznego i Nikona w 2002 r., II miejsce w konkursie HP „Wakacje za jedno zdjęcie”, od 2003 r. do 2008 r. pierwsze miejsca w konkursach : „Oblicza dawnej Bochni” „Barwy jesieni w Wiśnicko-Lipnickim Parku Krajobrazowym w kategorii: zabytki i architektura, Jesienna Bochnia (MDK Bochnia). W tym samym czasie otrzymywał nagrody i wyróżnienia w konkursach „Kolej w fotografii 2002” Bydgoszcz, Białowieski Park Narodowy w cyklu „Parki narodowe” w Wielkim Konkursie fotograficznym „Female Life” wystawa w ZPAF, Muzeum Historii Fotografii „Kapliczki i krzyże przydrożne”, Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu „Skarby Małopolski” w latach 2003-2006, w Konkursie Fotograficznym „The Cutty Sark Tall Ships’ Races



Fot. Paweł Masa

Gdynia 2003”, Muzeum Historii Fotografii „Drewniana architektura sakralna Polski”, w XXV i XXVI Międzynarodowym konkursie fotograficznym im. Jana Sunderlanda „Krajobrazy górskie” 2005 i 2006. Oprócz „Wiadomości Bocheńskich jego fotografie zdobią Kalendarz bocheński z 2008 wydany przez Urząd Miasta Bochni. Można je także oglądać na portalu internetowym: <http://www.panoramio.com/user/2386741>

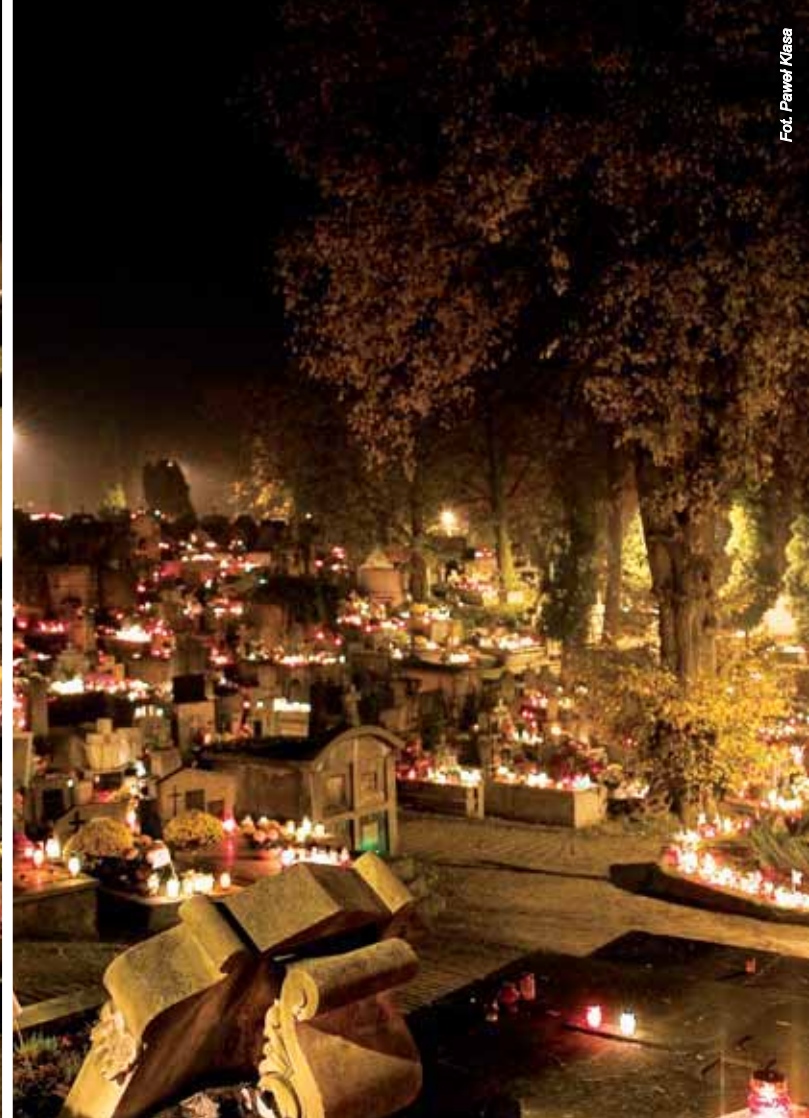
Praktyką artystycznych periodyków jest wysyłanie do fotografowanego miasta osoby, która nigdy wcześniej w nim nie była. Bo ponoć tylko ktoś taki może na nie spojrzeć w sposób daleki od konwencji, znaleźć magiczność w miejscach i sytuacjach, którą miejscowi fotografowie gotowi przyjmować za nic nieznaczącą prozę życia. Otóż przychodzi zweryfikować ten sąd. **Marcin Gibała** udowadnia, że o mieście, w którym się urodziło i mieszka, można opowiadać w sposób daleki od rutyny i konwencji. Ukryte piękno bocheńskiego grodu ukazuje nam miasto, które tylko z pozoru dobrze znamy. W prezentowanych przez Marcina pracach widzimy panoramy Bochni z otaczających ją wzgórz, szybu kopalni oraz wieży kościoła, poznajmy tajemnicę podziemnych kopalnianych korytarzy, odkrywamy charakterystyczne elementy architektury miasta wkomponowane w przyrodę wszystkich pór roku.

Fotografie Marcina to wypadkowa pasji i talentu. Cierpliwości pozwalającej miesiącami wyczekiwać na to jedyne,

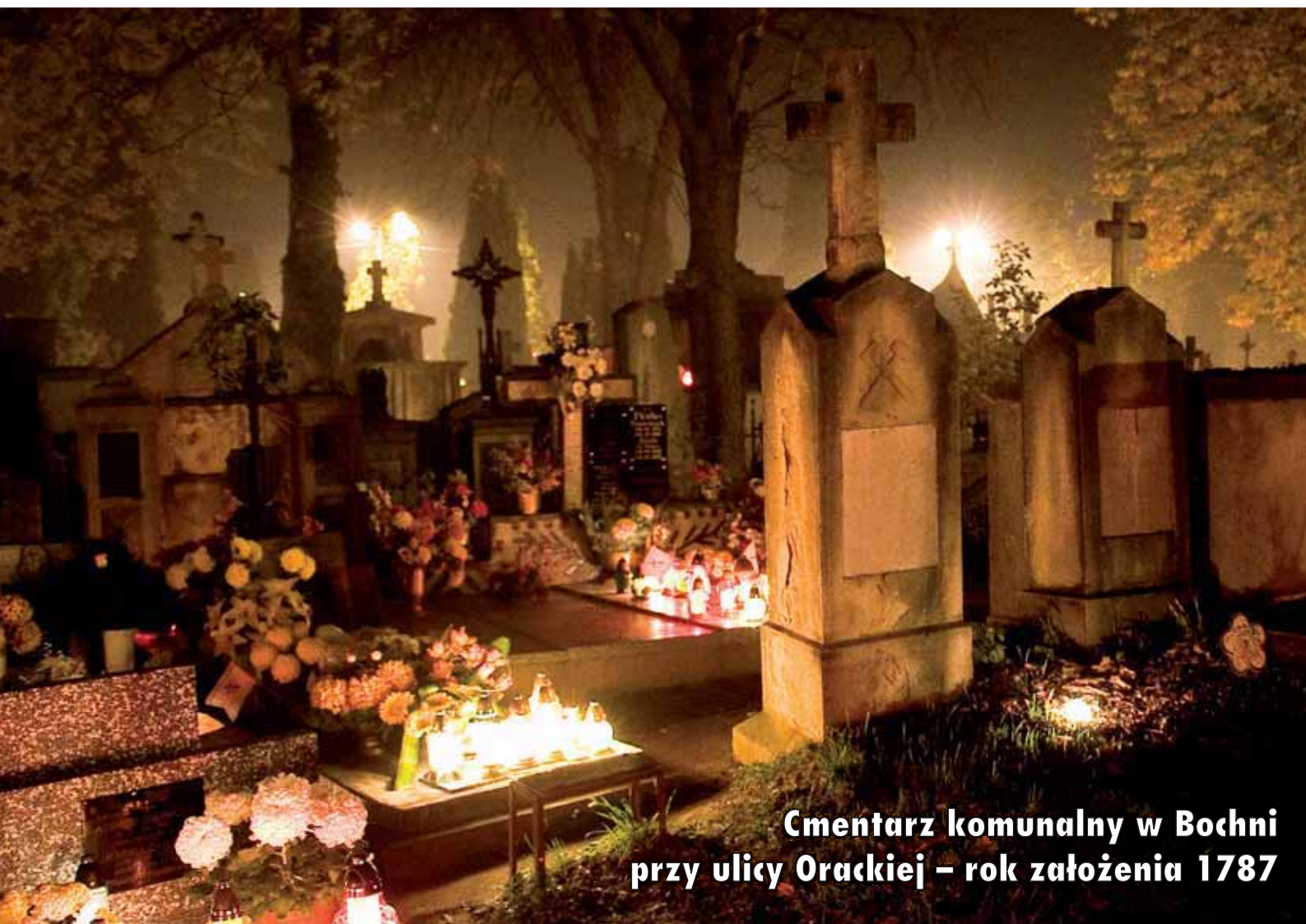
właściwe ujęcie. Wyobraźni, która materializuje się w fotografii. Wreszcie wrażliwości, która pozwala dostrzec urok i piękno tam, gdzie wydawać by się mogło, nie ma nic poza zwykłą codziennością. Fotografowanie to od lat realizowana przez pana Marcina pasja. Kiedy odkłada aparat, pełni funkcję dyrektora bocheńsko-brzeskiego oddziału Banku PeKaO. Choć, czy tak naprawdę kiedykolwiek przestaje robić zdjęcia? Wszak fotografie powstają z talentu i wyobraźni, a z nimi Marcin nigdy się nie rozstaje.

W 2002 roku zdobył I miejsce w konkursie fotograficznym “Wiśnicko-Lipnicki Park Krajobrazowy w obiektywie”, w 2003 uczestniczył w konkursie fotograficznym organizowanym przez Muzeum Archidiecezjalne i Muzeum Historii Fotografii w Krakowie pt. “Nagrobki i pomniki cmentarne”, a jego zdjęcie “Aniołek” – zamieszczono w katalogu wystawy pokonkursowej. W tym samym 2003 r. zdobył I miejsce w drugiej edycji konkursu fotograficznego zorganizowanego przez Parki Krajobrazowe Pogórza w Tarnowie wspólnie ze Starostwem Powiatowym w Bochni pt “Wiśnicko-Lipnicki Park Krajobrazowy w obiektywie”, w kategorii przyroda, a w 2004 r. prezentował swoje prace na wystawie w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Bochni zatytułowanej “Ukryte piękno polskiej przyrody”.

*W tekście wykorzystano fragmenty opracowania K. Maćkowskiego*



Fot. Paweł Klasa



**Cmentarz komunalny w Bochni przy ulicy Orackiej – rok założenia 1787**